

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/173

1962



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI :

ZNÓW KATYŃ

J. MIEROSZEWSKI :

WIZYTA U LUBONIÓW

St. KISIELEWSKI :

LIST DO "KULTURY"

ANKIETA "KULTURY"

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Znów Katyń</i>	5
Juliusz Mieroszewski:	<i>Wizyta u Lubionów</i>	9
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	21
Tymon Terlecki:	<i>Błaski i nędze gwiazdorstwa</i>	29
Marta Erdman:	<i>Popatrzcie, proszę, na Barbarę</i> ..	48

WIERSE

Marian Czuchnowski:	<i>Przechadzka w parku</i>	60
„ „	<i>Potęga zera</i>	62
„ „	<i>Rozmyślania w wielkim mieście</i> ..	62
„ „	<i>Ordynarny chłopiec pierwszy raz przy pracy</i>	63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	65
-------------	--------------------------------	----

KRAJ

Stefan Kisielewski:	<i>List do Redaktora „Kultury”</i>	72
---------------------	---	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Ciołkosz (opr.):	<i>Zagłada getta warszawskiego</i>	81
-----------------------	---	----

NOTATNIK SOCJALISTYCZNY

Michał Gamarnikow:	<i>Gospodarka planowa w społeczeństwie zamożnym</i>	95
Feliks Gross:	<i>5-ciogodzinny dzień pracy</i>	103
J. Lewartowski:	<i>Labour Party a Wspólny Rynek europejski</i>	104
A. C.:	<i>Socjalizm w Afryce i Azji</i>	105

KRONIKA KULTURALNA

Kazimierz Okulicz:	<i>O Łobodowskim i o „cywilizacji jagiellońskiej”</i>	109
—	<i>Komunikaty</i>	112

KSIAŻKI

Redakcja:	<i>Bez taryfy ulgowej</i>	115
Wiktor Sukiennicki:	<i>Dokumenty o stosunkach polsko-sowietkich</i>	116
Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Wspomnienia gen. Kopańskiego</i> ..	138
	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	144



M. Axel, J. Bajbuz, A.A. Dąbrowa, B. Grodek, J. Hoffman, A. Kawalkowski, J.S. Leśniewicz, M. Ośmiałowski, M. Sambor, J. Szygowski, L. Szymański, F. Śmieja, M. Wańkowicz, K. Wędziagolski:	<i>Listy do Redakcji</i>	145
Wacław Lednicki:	<i>Sprostowanie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec – Mars

1962

*Numer ufundowany
przez
Polonię Kanadyjską*

INSTYTUT



LITERACKI

ANKIETA "KULTURY"

W lipcu rb. upływa piętnaście lat od chwili powstania „Kultury”. Z tej okazji rozpisujemy specjalną Ankietę, aby dowiedzieć się co myślą Czytelnicy o naszej pracy.

Pytania kwestionariusza są jedynie orientacyjne i nie krępują uczestników w poruszaniu spraw niewymienionych.

Załączony kwestionariusz prosimy po wypełnieniu odesłać na adres Redakcji.

Apelujemy do naszych czytelników o wzięcie jak najliczniejszego udziału w Ankiecie. Pozwoli to nam na ulepszenie pisma i dostosowanie się w miarę możliwości do dezyderatów.

REDAKCJA

NA FUNDUSZ "KULTURY"

Halina Grodzicka, Buenos Aires (Argentyna)	34,00 NF
F.T.J., Chicago, Ill. (USA)	14,70 „
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela)	53,40 „
Xenia Gąsiorowska, Madison, Wis. (USA)	29,50 „
A. Jędrkiewicz, Rzym	25,00 „
Luta Hersch, Genewa, po raz siódmy	11,40 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz czwarty	50,00 „
R. Frikke, Toronto, Ont. (Kanada)	24,50 „

DZIEKUJEMY

NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

F.T.J., Chicago, Ill. (USA)	14,70 NF
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA)	49,00 „
Włodzimierz Popławski, Londyn	69,00 „
Jadwiga i Wiktor Szyryńscy, Grand Forks. N.D. (USA) ..	73,50 „
Konrad Tarwid, North Hollywood, Cal. (USA)	24,50 „
Andrzej Chciuk, zebrane na wieczorze literackim w Perth W.A. (Australia)	82,80 „
I. Z. (Szwajcaria)	11,40 „

LISTA OFIARODAWCÓW NA NUMER KANADYJSKI "KULTURY"

1. B. Ankowicz, Toronto, 1,00 dol.; 2. W. Bielecki, Windsor 2 dol.;
3. J. Bieńkowski, Toronto 5 dol.; 4. P. Brallson, Toronto 5 dol.; 5. Dr. T. Brzeziński, Montreal 5 dol.; 6. J. Bryk, Lakeview, 5 dol.; 7. Ks. J. Capiga, Hamilton, 25 dol.; 8. M. Cieszański, Toronto 10 dol.; E. i J. Chruścicy, Toronto 5 dol.; 10. Dr J. Deck, Toronto 10 dol.; 11. J. Dobrzański, Toronto 5 dol.; 12. F. Drabczyk, Toronto 3 dol.; 13. Mec. B.B. Dubieński, Winnipeg 15 dol.; 14. Dr A. Fidler, Ottawa 10 dol.;
15. Red. F. Głogowski, Toronto 5 dol.; 16. Dr S. Gołąb, Toronto 10 dol.;
17. Dr S. Grzybowski, Toronto 10 dol.; 18. K. Harajewicz, Toronto 5 dol.;
19. B. Hładki, Toronto 5 dol.; 20. W. Iwaniuk, Toronto 30 dol.; 21. K. Jabłoński, London Ont., 4 dol.; 22. A. Janicki, Chicago 5 dol.; 23. A. Jankiewicz, Montreal 10 dol.; 24. Dr W. Jegier, Montreal 5 dol.;
25. A. Juryk, Montreal 5 dol.; 26. J. Juralewicz, Scarborough, Ont. 20 dol.;
27. J. i Z. Kamieńscy, Toronto 10 dol.; 28. dr M.R. Kalinowski, Muskoka, Ont. 10 dol.;
29. Z. Karolczak, Toronto 5 dol.; 30. dr K. Kotłowski, North Battleford 5 dol.; 31. M. Korycki, Toronto 10 dol.;
32. W. Krajewski, Toronto 5 dol.; 33. R. Krochmal, St. Catharines 2 dol.;
34. J. Krukowski, Alberta 2 dol.; 35. M. Lewandowski, Scarborough 10 dol.;
36. J.K. Mazurkiewicz, Toronto 3 dol.; 37. dr J.K. Michalski, Toronto 15 dol.;
38. A. Misiak, Toronto 5 dol.; 39. P. Neuff, Toronto 10 dol.;
40. M i W. Olbryscy, Toronto 5 dol.; 41. S. Opolski, Toronto 12 dol.;
42. S. Orłowski, Richmond Hill 5 dol.; 43. W. Pajor, Toronto 5 dol.;
44. S. Piotrowicz, Toronto 2 dol.; 45. F. Polak, Oshawa 5 dol.;
46. J. Pokorny, Montreal 5 dol.; 47. L. Posyniak, Hudson Bay 5 dol.;
48. H. Pulido, Toronto 2 dol.; 49. A.K. Radomski, Jr. Toronto 20 dol.;
50. Z. Radomski, Toronto 10 dol.; 51. dr A. Ratinow, Toronto 10 dol.;
52. R. Ryba, Toronto 10 dol.; 53. J. i Z. Senderracy, Toronto 5 dol.;
54. J. Sławek, Brantford 5 dol.; 55. F. Skrobek, Toronto 10 dol.;
56. G. Słodkowski, Hamilton 5 dol.; 57. J. Sobieniak, Toronto 10 dol.;
58. T. Sokołowski, Toronto 10 dol.; 59. dr T. Sołowij, Montreal 10 dol.;
60. dr R. i M. Schneider, Toronto 4 dol.;
61. Prof. Czesław Skrzycki, Toronto 10 dol.;
62. I. i S. Syput, Toronto 10 dol.;
63. dr W. T. Szczuciński, St. Catharines 10 dol.;
64. A. i J. Tomaszewscy, Toronto 5 dol.;
65. dr W. Turek, Toronto 5 dol.;
66. inż. T. Tworowski, Toronto 20 dol.;
67. dr W. Wasserman, Toronto 5 dol.;
68. J. T. Więckowski, Toronto 10 dol.;
69. dr W.K. Włodkowski, Toronto 15 dol.;
70. dr J. Zawadzki, Toronto 10 dol.;
71. dr M. Zelcer, Toronto 5 dol.;
72. Anonimowo, Toronto 10 dol.;
73. Anonimowo, Toronto 2 dol.;
74. Anonimowo, Toronto 5 dol.;
75. Anonimowo, Toronto 5 dol.;
76. Anonimowo, Toronto 5 dol.;
77. Kongres Pol. Kanad. Okręg Toronto 25 dol.;
78. Związek Polaków w Kanadzie, Toronto 10 dol.;
79. Związek Polaków

w Kanadzie, Hamilton 5 dol.; 80. Klub Polski, Toronto 30 dol.; 81. United Steelworkers of Amer. (W. Bańkiewicz) Bancroft 20 dol.; 82. Dochód z Podwieczorku poetyckiego, Toronto 18 dol.; 83. Dochód z Wieczora Artystycznego, Toronto 137,10 dol.; 84. Procent bankowy 13,79 dol.; 85. Anna Heydenkorn, Toronto 20 dol.; 86. L. Kociejewski, Oxford Mills, Ont. 2 dol.; 87. S. Konopka 5 dol. Razem dol. 884,89.

FUNDUSZ WYDAWNICZY STAWAR PO ROSYJSKU

Zygmunt Olearczyk, Chicago, Ill. (USA)	24,00 NF
Zbigniew Raciszewski, Rocky River, Ohio (USA)	24,00 „
Aleksander Grzonka, Homestead, Fla (USA)	14,20 „
Zdzisław Szczubiński, Lizbona (Portugalia)	14,00 „
Bohdan Zayachkiwsky, West Hartford, Conn. (USA)	4,90 „
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA)	23,00 „
Mgr Stefan Tuszak, Harrison, N.J. (USA)	14,20 „
Bezimiennie (Anglia)	27,50 „
Tadeusz Wishgrot, California (USA)	29,00 „
Bezimiennie, Meksyk	14,20 „
Marc Hurvic, Paryż	13,00 „
Prof. Kazimierz Bulas, Houston, Texas (USA)	12,50 „
Władysław Żeleński, Paryż	14,00 „
Leszek Werwicki, Brookfield, Wis. (USA)	14,20 „
Kamil Zadembki, Bankstown, NSW (Australia)	13,80 „
Bezimiennie, Rzym	240,00 „
W. Iwanowski, Boston, Mass. (USA)	14,20 „
Monika Ejsmont-Antczak, Chicago, Ill. (USA)	14,20 „
Łucja Zaleska, Chicago, Ill. (USA)	14,00 „
N. Skrzyński, Bootle, Lancs, (Anglia)	13,80 „
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada)	14,20 „
Dr S.N. Korzeniowski, Ladd, Ill., (USA)	86,90 „

DZIEKUJEMY

Znów Katyń

W „Nieludzkiej Ziemi”, która ma się teraz ukazać w drugim wydaniu, nie zamierzam nic zmieniać, ani poprawiać. Przeżycia i obserwacje w niej spisane są wszystkie na osi poszukiwań zaginionych w Rosji kolegów z obozów Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. Książka ta była napisana z całkiem świeżej pamięci — poprawki groziłyby osłabieniem ścisłości i materialności ewokacji. Jedyna zmiana to parę aneksów, które do tej książki dołączam, tycząc one sprawy katyńskiej.

Chciałbym tylko we wstępie dodać parę faktów i uwag, powiązanych z tematem książki.



„Goebbelsowska prowokacja katyńska” — to słowa z tegoż, styczniowego przemówienia Władysława Gomułki na uroczystej akademii z powodu 20-lecia PPR.

Jaka taktyka partyjna dała Gomułce moralne prawo tymi trzema słowami skwitować Katyń, Katyń tę zbrodnię Stalina? Zdawać by się mogło, że teraz, po XXII Zjeździe Partii, w okresie, gdy Chruszczow z grobu wyrzuca Stalina, Gomułka mógłby zerwać z oficjalną wersją, której nikt w Polsce nie wierzy, i autora zbrodni nazwać. Jeżeli tego zrobić nie mógł, dlaczego przynajmniej nie milczał?



W końcu 1939 r. przybył do Lwowa Chruszczow. Był wówczas pierwszym sekretarzem K.C.K.P. (b) Ukrainy. Przemawiał na zebraniu na które sproszone intelektualistów i pisarzy lewicowych oraz komunistycznych, ukraińskich i polskich. Po przemó-

wieniu I Sekretarza zabierali głos również słuchacze. Wstał między innymi pewien komunista Ukrainiec i zwrócił się z apelem do Chruszczowa, by wpłynął na przerwanie wyrzynania Polaków na prowincji, według niego wyrzynanie to niczym się już wówczas nie tłumaczyło. Chruszczow w odpowiedzi zwymyślał przemawiającego, zarzucając mu w brutalnych słowach, że nie rozumie sensu „procesów historycznych””. (Na terenie Ukrainy był Starobielsk. Może to jeszcze dodatkowy powód przeciw ujawnieniu prawdy o trzech obozach?).



Agence France Presse podała z Moskwy 3 grudnia 1961 roku wiadomość, że Ilia Erenburg pisze książkę „o zbrodniach Stalina”. Erenburg puścił w obieg słowo „odwilż”. Erenburg w książce o Czechowie zwalcza socrealizm, Erenburg broni i kocha Francję, pisze ze łzami w oczach o swym przyjacielu Tuwimie, mnie kiedyś zapewniał jak bardzo kocha Polaków. Miałem cię nadziei, że w książce którą jakoby pisze, sprawę o Katyniu uczciwie poruszy. Dowiedziawszy się w styczniu, że jest przejazdem w Paryżu, napisałem do niego list, prosząc o spotkanie. Przypomniałem mu moją wizytę u niego w Moskwie, równo 20 lat temu. Szukałem wtedy pomocy i wskazówek jak trafić na ślad zaginionych kolegów. Pomóc mi wówczas nie mógł. Dotoczyłem do listu, jako materiał, ostateczne argumenty i wnioski w sprawie katyńskiej. By go nie zwodzić, wysłałem mu wraz z listem moją „Nieludzką ziemię” w tłumaczeniu francuskim, z zakreślonym opisem naszego moskiewskiego spotkania.

Ten opis na tyle uraził Erenburga, że w telefonicznej rozmowie spotkania odmówił, a w ostatnim zdaniu przed zerwaniem połączenia zarzucił mi, że nadesłałem na dobitek materiał, który go „wcale nie interesuje”. Otóż stwierdzam, że jedynym materiałem który mu wówczas przestałem, był właśnie opis sprawy katyńskiej, sporządzony przeze mnie w 1948 r. na podstawie wszystkich do tego czasu zebranych danych, a który całkowitą odpowiedzialność za zbrodnię katyńską składa na Rosję Sowiecką.

Raz jeszcze stwierdziłem, że Erenburg widocznie pisze, i będzie pisał, tak jak pisał dotąd, tylko o tym, o czym mu pisać każą, czy pisać pozwolą. Dla reżymowego komunisty moskiewskiej obediencji fałszowanie rzeczywistości, naciąganie jej — jest nawet obowiązkiem. Jeżeli chodzi o Katyń, obciążanie nim i tak obciążonego sumienia Niemców hitlerowskich, to jedynie dobry chwyt i wygodna taktyka. Jeżeli zaś chodzi o zbrodnię Stalina, mowa może być tylko o wyrokach, które dotyczyły drobnej części elity komunistycznej. Trzeba wśród tej „szarugi krwi” wy-

łuskać ostrożnie i ujawnić tylko to co użyteczne dla dzisiejszego kursu, i na to tylko są dobre trzy Erenburga. Co z tym wszystkim wspólnego ma jakaś wola prawdy?

Nic nam z takiej „śmiałości” kierowanej.



Książka moja o okrutnym dla Rosjan tytule, świadczy jednocześnie o moim przywiązaniu do Rosji. Zdaję sobie sprawę, że to stanowisko obce jest dzisiaj większości Polaków. Ale za wiele znałem i za wiele zawdzięczam Rosjanom najwyższej próby moralnej, rosyjskiej literaturze, za wiele doznałem serca od Rosjan, z którymi się zetknąłem w okresie, kiedy w Rosji stalinowskiej żyłem na względnej wolności. Spotykałem tam naprawdę braci, o których nawet w mojej książce nie śmiałem pisać, żeby im nie zaszkodzić; wierzę, że rzetelne i braterskie współzycie Polski i Rosji jest nie tylko możliwe, ale w przyszłości konieczne, więcej, że jesteśmy sobie pomimo naszej „tragicznej przeciwstawności” niezmiernie bliscy.

Co wiemy o narastającej młodzieży rosyjskiej? — tak mało, ale przecież coraz to dotykamy tamtej nieoficjalnej rzeczywistości poprzez dziwne łańcuszki spotkań.

„Polityka” z dn. 9-12.1961 zamieściła wiersz Jewtuszenki w tłumaczeniu Witolda Dąbrowskiego:

„Mówią mi:

„Jesteś odważny człowieku”.

Nieprawda!

Nigdy nie odwagę nie grzeszył —
po prostu uważałem za niegodną rzecz
bym

miął się poniżyć

aż do tchórzostwa kolegów.

Nie próbowałem świata w posadach podważyć.

Pisałem.

Cóż...

Donosów nie pisałem,

Smieszyło mnie, co dęte,

wysmiewałem fałsz,

i

staralem się dość głośno mówić, co myślałem.

Kiedys

potomni wspomną

— a będzie palił wstyd —

kiedy się już rozprawią z podłością i z blagą

*ten bardzo dziwny czas,
te dziwne czasy,
gdy
najwykleszą uczciwość nazwano odwagą.*

Czy się myślę, słysząc w tym wierszu głos wcale nie tylko Jewtuszenki, ale wielu Rosjan, których spotykałem w Rosji w najciemniejszym stalinowskim okresie? Wierzę, że ci ludzie, którzy „donosów nie piszą i wysmiewają fałsz” dojdą do głosu, że Rosja dzisiejsza to nie tylko Chruszczow i Erenburg, to także autor wiersza, który zacytowałem i jego bracia, których jest może więcej niż myślimy. Wiem również, że ci Rosjanie są mi bliscy i że żadna polityka tego nie odmieni. Może i moja książka kiedyś do Rosji dotrze — oni za zbrodnię katyńską nie są odpowiedzialni i oby dla nich Katyń był, jak i dla nas, ciemnym, groźnym wspomnieniem minionej na zawsze przeszłości.

Józef CZAPSKI

Maisons-Laffitte, luty 1962.



Drugie wydanie „Na nieludzkiej Ziemi” Józefa Czapskiego, wstęp do którego podajemy powyżej, ukaże się w najbliższych dniach. Wszyscy nasi czytelnicy na pewno rozumieją jak ważne jest by książka ta dotarła w jak największej ilości do kraju i do tej „nowej Rosji”, o której pisze Czapski, a w którą chcemy wierzyć. Ale tu nie wystarczy nasza samotna akcja. Obowiązkiem każdego jest nam w tym dopomóc. — Wysyłajcie tę książkę do Polski, do swoich krewnych i znajomych, wręczajcie ją przejezdnym. Nie wiercie „Luboniom”, którzy będą was straszyć, że jest to „narażanie ludzi”.

Ostatnie aresztowania czy procesy świadczą o narastającym ograniczaniu wolności. Ale wolność nie przychodzi sama: trzeba o nią walczyć. Jeśli zaś idzie o sprawę katyńską, to nie wierzymy aby znalazł się celnik, cenzor czy prokurator, który by miał moralną odwagę tę książkę ścigać. To przecież są Polacy.

Lękliwym przyjaciółom w kraju przypominamy, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że normalizacja stosunków z Rosją jest konieczna, ale jej nie osiągnięcie z pozycji klęczącej. Wstępem do jakiegokolwiek uczciwego dialogu jest wyjaśnienie krwawej przeszłości do końca.

REDAKCJA

Wizyta u Luboniów

Stefanowi Kisielewskiemu

Choć dziś marcowe słońeczko przezierają poprzez mokre chmury — owego styczniowego dnia biało było w Londynie. Śnieg podhalański jak ze wspomnień dzieciństwa — skrzypiał pod nogami, bo noc była mroźna i wyiskrzona.

Szliśmy do Luboniów zawiązaną boczną uliczką. Ale nie było owych Fałatowskich liliowych cieni jak w Polsce. Potężna łuna bliskiego Londynu nasyciała powietrze rozpyloną rdzą.

Dom Luboniów nawet na zewnątrz wygląda jak ilustracja wycięta z katalogu „Ideal Home Exhibition”. Garaż z „Consulem” — ogródek z różami — całość w jasnych barwach i w połysku codziennie czyszczonych metali.

No, a wewnątrz to coś dla inżyniera i znawcy, coś dla metafizyka materialnego postępu. Ujęte w piękny nowoczesny kształt aparaty elektryczne, które w zimie grzeją, a w lecie chłodzą. Oczywiście niemieckie — Anglicy nie produkują takich wymyślności. Elektryczne koce wsłane w pastelowe łóżka. Może to i praktyczne — ale łóżko włączone do kontaktu jak lampa czy żelazko jakoś mnie przeraża.

Ile razy jesteście u Luboniów patrzę nerwowo w stronę okien bo wydaje mi się, że to są szyby wystawowe poprzez które przygląda się nam publiczność.

Ale drogi Czytelniku nie myśl, że jestem wrogiem komfortu i dobrobytu. Jestem entuzjastą amerykańskiej zasady: „każdemu ponad jego potrzeby”.

Uwielbiam wszystkie „gadżety” i przyznam się, że chciałbym mieć taką „elektronową” kuchnię jak Lubonjowie i patrzeć przez taflę z ogniotrwałego szkła (czy z plastyku) jak kura obraca się na automatycznym rożnie. To bardzo zabawne i pobudzające apetyt. Ale łoża małżeńskie w owych jasnych, optymistycznych, pastelowych barwach zalecanych przez firmy specjali-

zujące się w „glamorous bedding” włączane do kontaktu to już może trochę za wiele. Myślę sobie po staroświecku, że łóżka i trumny nie ma powodu elektryfikować.

Nas (w dwóch pokojach zawałonych książkami i gazetami) Luboń uważa za reakcjonistów. Bo my, emigranci, a on obywatel angielski i przyjaciel Polski Ludowej. Emigrant jest reakcjonistą z definicji. Jest w dodatku głupi, bo niczego nie rozumie. Cóż może być dla małomieszczańskiego inteligenta bardziej pociągającego jak mieszkać w zelektryfikowanym, udywanionym, i „wypoliszowanym” domu i równocześnie mówić „my”. My w Kraju budujemy socjalizm, nami zachwyca się Europa, nasze filmy, nasza literatura. Luboń oczywiście jest fetowany w ambasadzie — z Kottem jest po imieniu — z Schaffem wymienia życzenia świąteczne. „Kultura”, Emigracja, Stawar, książki podziemnej sowieckiej literatury — to wszystko jest reakcja. Reakcyjna jest przede wszystkim Ameryka i Niemcy — choć musi się kupować ich elektryczne „gadżety”, bo w wiktoriańskiej Anglii nie można ich dostać. Reakcjonistą był również Henryk Holland, bo któż idący z postępem wyskakuje nagle przez okno.

Anglia jest rajem dla pewnego typu polskich inteligentów. Bo w Anglii można połączyć bezpiecznie i komfortowo snobistyczną, inteligentką lewicowość z pełnym zaspokojeniem żarliwego, niewyżytego, prymitywnego małomieszczaństwa. Prymitywnego i parweniuszowskiego, bo bez żadnych tradycji czy korzeni.

Nigdy nie mieliśmy prawdziwej „middle-class”, nigdy nie byliśmy małymi burżujami — ale można spokojnie stwierdzić — że zawsze chcieliśmy być małymi burżujami. W Anglii Lubonie spełnili to dziejowe marzenie. Mają rzeczy, nieprawdopodobną ilość rzeczy i dom któremu służą. Sprzątają, czyszczą, tapetują, odnawiają, przemaalowują, domeblowują, — jak rok długi w służbie domu. Ile miłości jest w tym wiernym, namiętnym, małoburżyskim posiadaniu — w tej pielęgnacji owej „realności”, która wyznacza ich miejsce w świecie. To już nie żadni uchodźcy — to nowa klasa posiadaczy, to ludzie, którzy po latach tułaczki „sta-nęli na własnych nogach”.

Ale myślę, że Luboń ma rację w pewnym szczególnym sensie pomawiając mnie o reakcyjność. Kiedyś, gdy po raz trzeci czy piąty oprowadzał mnie po swojej trzypiętrowej kamienicze — powiedziałem mu, że te niepokalane pokoje przypominają wystawę w „Times Furnishing Company”. Luboń roześmiał się i powiedział: „brak temu nawarstwienia, zadomowienia, swojskości — ale to narośnie za parę lat”.

Jednemu wystarczy do budowy domu parę lat. Mnie wydaje się, że to jest operacja obliczona na trzysta lat. Miałem dom pełen starych mebli i przedmiotów, które wiązały mnie z długim łańcuchem pokoleń mojej rodziny. Dom jest jeden i jak się go traci, to traci się go na zawsze.

Ale nie sentymentalizujmy. Bo oto Pani Zosja (Luboń) wnosi polską starkę i zakąski. Obecni: nasi gospodarze państwo Luboniowie, Polityk przez wielkie „P”, ja i moja żona.

Wypiłem kieliszek starki (która nie przypomina jubileuszowej starki Hawelki sprzed wojny ani w kolorze ani w smaku) i rzekłem w myśli do mojej zdumionej duszy: „po co oni mnie tu zaprosili?”.

Wypiłem jeszcze jeden kieliszek ludowej starki i przypomniałem sobie, że onego czasu był to ulubiony „drink” Ksawcia Pruszyńskiego.

Ale po co oni mnie tu zaprosili? Odpowiedź jest oczywista w swej logicznej prostocie. Ci panowie chcą się upewnić i potwierdzić — umocnić i uspokoić, poprzez prawo kontrastu. Jest się postępowym w kontraście z reakcjonistą — bogatym w kontraście z biedakiem — ma się rację w kontraście z tym, który tonie w błędach. Zaprosili mnie tutaj, by jeszcze raz zademonstrować że tonę — bo jeżeli ja tonę, to oni stąpają po twardym gruncie. Sukces musi być potwierdzony czyjąś klęską — wygrana czyjąś przegraną. Świadcami zwycięstwa są ci co przegrali. Zaproszono mnie tu w charakterze świadka.

Głos Lubonia dotarł niespodzianie do mojej świadomości choć zapewne perorował już od kwadransa. Nie powtarzam jego słów, lecz rekonstruuje jego myśli, które widzę w ich sensie dokładniej niż on sam.

„...emigracja polityczna była nonsensem od samego początku ale nikt nie miał odwagi do tego się przyznać. Należy pracę organiczną w Kraju zharmonizować z pracą organiczną na obczyźnie. Wszystko inne jest szkodliwą mrzonką.

— Szkodliwą, szkodliwą — mruknął Polityk, usiłując bez powodzenia dopiąć surduta na globie swego brzucha.

— Szkodliwą? — zapytałem naiwnie.

Wielki Polityk i Luboń wymienili tzw. porozumiewawcze spojrzenia. „Tu leży pochowany pies” pomyślałem po niemiecku, co stanowi dowód, że z języka opanowanego w dzieciństwie nie można wypłatać się przez całe życie.

— Kolega P. ma rację — podjął Luboń — wszystko co robi „Kultura” jest szkodliwe i bez sensu. A w szczególności szkodliwa jest pańska publicystyka, panie Juliuszu — śruba okrętowa kręci się w wodzie i popycha statek naprzód. Pan nie zdaje sobie sprawy, że nie ma owej wody, w której śruba pańskiej publicystyki mogłaby się kręcić. „Kultura” jest statkiem na mieliźnie a jej śruba publicystyczna wiruje w powietrzu. Nie ma w dzisiejszej sytuacji miejsca ani na pańską ani na żadną polską publicystykę. Wyrośliśmy z epoki gadulstwa i dyskutantstwa i wkroczyliśmy wreszcie na tory produkcji i pracy organicznej. Nie dostrzegacie podstawowych spraw. Sytuacja w Europie wschodniej — choć ewoluuje i będzie podlegać dalszej ewolucji — jest ustabilizowana. Jest ustabilizowana nie na lata, nie na dziesiątki lat, ale na stulecia. Czego Pan oczekuje? Oczekuje pan tego, czego i ja oczekuję — oczekuje pan następnej przegranej Zachodu. Ale dlaczego wasza działalność jest szkodliwa? Wasza działalność jest szkodliwa bo w szeregach wartościowej emigracyjnej inteligencji fundujecie kompleks niezawinionej winy. Za-

miast rzucić hasło: poprzez bogacenie się kraju i emigracji do liberalnej kultury wysoko uprzemysłowionego zamożnego społeczeństwa — wy usiłujecie wytworzyć fikcję romantycznej „innej Polski”. Odgrzewacie stuletnie hasła wolnościowe — prowadzicie własną politykę à la Adam Czartoryski, niepokoićcie sumienia pozytywnie myślących pracowitych ludzi — jesteście anachronistyczną, reakcyjną wysepką, która otoczona morzem nowoczesności odmawia kapitulacji. Polacy uwielbiają egzotykę i oryginalność. Patrzą na was, czytają wasze zwariowane artykuły i w tych ciężko i uczciwie pracujących, pogodzonych z realnym światem i rzeczywistą rzeczywistością ludziach budzi się poczucie fikcyjnej, bo niezawinionej i nierzeczywistej winy. Romantyzujecie inteligencję zamiast ją uziemiać, urealniać, popędzać do produkcji i rozsądku. I jeszcze macie pretensje do lewicowości i radykalizmu. Czym wy się różnicie od Andersa i jego białeogracyjnego „Orla Białego”? Niczym. Jesteście tak samo emigrancy i emigranckość podnosicie do rangi synonimu polskości. Polskość — drogi Panie — to jest produkcja. W waszym obłąkaniu doszłiscie do tego, że zwalczacie „Znak” i Kisielewskiego. Chcielibyście wbić klin między niego a Gomułkę. Ale nie zdajecie sobie sprawy, że Polska Gomułki to jest socjalizm i produkcja, a Polska Kisielewskiego to jest katolicyzm i produkcja. Zawsze produkcja i to produkcja uspołeczniona, socjalistyczna”.

Luboniowi ślina wyschła i zamilkł nagle jak zdjęta z gramofonu płyta.

Wielki Polityk pogładził się po łysinie jakby chciał się upewnić, że głowa nie stoczyła mu się z okrągłości korpusu. Przetarł usta chusteczką i spojrzał na mnie z nieklamana niechęcią.

„Wyście zbudowali barierę pomiędzy nami a Krajem. Wyobcowaliście nas — to są sprawy trudne do odrobienia”.

— Nie wiem o czym Pan mówi — zauważyłem spokojnie.

Wielki Polityk znów wymienił porozumiewawczy uśmiech z Luboniem.

— Dam Panu przykład, panie Juliuszu. Pan atakuje, piętnuje, krytykuje pisarzy, którzy drukują w paxowych „Kierunkach”. Krytykował Pan za to mnie i wielu innych. To w dużej mierze dzięki wam ludzie, którzy pragną drukować w Polsce — muszą godzić się na Pax. Miałem już wyrobioną pozycję przed wojną. Ale gdy dziś dzwonię do „Przeglądu Kulturalnego” to ci panowie udają, że nie wiedzą kim jestem. To samo w „Twórczości”, czy innych pismach — wszędzie. Gdziekolwiek człowiek się zwróci — izolacyjny mur. Mur przez was zbudowany. Bo intelektualistów polskich przebywających zagranicą identyfikuje się w kraju z „Kulturą”. Każdy myśli sobie: skoło Miłosz, Gombrowicz, Hostowiec, Czapski — to pewno i on.

Panie Juliuszu — nie można stanu wyjątkowego rozciągać na pokolenia. Jeżeli naród polski ma budować, produkować, przekształcać się w społeczeństwo przemysłowe z prawdziwego zdarzenia — to ten alarm musi być odwołany. Giedroyc i Pan wyje-

chaliście z kraju, gdy ogłaszano alarm dla miasta Warszawy i wam się zdaje, że ten alarm brzmi do tej pory. To jest owa „bariera dźwiękowa”, owa zaporę psychiczną, która oddziela was od kraju.

Nie bawcie się w kapitołińskie gęsi. Niech Pan w końcu pojmie, że alarmem w porę zatrabionym można czasem uratować tysiące istnień ludzkich, ale alarmem nie można niczego budować.

Chciałbym z Panem pomówić jak z kolegą i starym znajomym. Nasz gospodarz — (Polityk kiwnął uprzejmie głową w stronę Lubonia, który majstrował coś przy telewizji) — jest inżynierem. Ale wie Pan z kim widziałem się wczoraj u Dakowskiego? Z Trzymadłą — z Jackiem Trzymadło. Musi go Pan pamiętać z IKCa. Jacek przyjechał tutaj w odwiedziny do siostry. Przegadaliśmy dwie godziny.

Polityk nalał sobie kieliszek starki i zakąsił kanapką z serem. Kiwał wielką głową melancholijnie dramatyzując milczenie spowodowane konsumowaniem kanapki.

Wreszcie zapalił papierosa, poprawił się z głębokim, wspinałym fotelu i wystartował:

— Mówiliśmy z Trzymadłą o różnych sprawach a między innymi i o „Kulturze”. Jacek jest nadal dziennikarzem — i z pewnością czytuje Pan jego artykuły w „Tygodniku Powszechnym”. Otóż Jacek ujął wasz problem tak, jak ani Luboń ani ja nie potrafilibyśmy tego dokonać. W skrócie to wygląda następująco: U podstaw polityki „Kultury” leży zasadnicza sprzeczność. „Kultura” była jedynym periodykiem emigracyjnym, który wraz z krajem przeżywał Październik. Udzieliliście „kredytu” Gomułce, braliście żywy udział w dyskusji, odwiedzało was mnóstwo osób, pisywano o was i cytowano artykuły „Kultury”. Odcieśliście się od kontr-rewolucji białogwardyjskiej i poparliście ewolucję. Do dziś na papierze jesteście zwolennikami ewolucjonizmu — a więc powolnej liberalizacji i stopniowego przekształcania się ustroju PRL w nowoczesny, przemysłowy organizm państwowy.

Według opinii Jacka były tylko dwie drogi przed wami. W okresie Października — fala intelektualistów i inteligentów ruszyła na Zachód. Upojeni dyskutowali o naprawie Rzeczypospolitej po kawiarniach Paryża i Londynu. Potem rozpoczął się szturm na instytucje amerykańskie i zawrzała walka o stypendia i dłuższe wyjazdy zagranicę. Tylko aparatczycy siedzieli kamieniem na miejscu, bo wiedzieli, że losy Października rozegrają się w Warszawie i tylko w Warszawie.

Otóż Jacek jest zdania, że wówczas przegraliście swoją wielką stawkę. Trzeba było wrócić i pociągnąć za sobą wszystkich intelektualistów zgromadzonych wokół „Kultury”. Gdybyście jako pismo — w przeciwieństwie do „Po Prostu” czy ówczesnego „Sztandaru Młodych” — wykazali umiarkowanie i zmysł polityczny — „Kultura” wydawana w Warszawie mogłaby mieć tysiąckroć lepszą pozycję niż „Kierunki”. Oczywiście dla partii powrót „Kultury” byłby wielkim triumfem. Przez dłuższy czas

korzystalibyście z klauzuli wysokiego uprzywilejowania. Nad młodzieńcami z „Po Prostu” górowalibyście wiekiem, doświadczeniem, wyrobieniem politycznym i znajomością Zachodu. To byłby fundament na którym można było budować. Poza tym w oczach społeczeństwa bylibyście tymi, którzy zainicjowali powrót polskich intelektualistów z zagranicy do kraju.

— To jest jedno rozwiązanie — a jak wygląda drugie? — zapytałem.

— Jacek Trzymadło twierdzi, że w dalszej perspektywie uprzemysłowienie niesie z sobą pragmatyzm i laicyzację.

— Laicyzację?

Polityk pokiwał znacząco głową.

— W gruncie rzeczy kultura technologiczno-przemysłowa w swym ostatecznym wyrazie jest laicka i pragmatyczna zarówno w sensie religijnym jak politycznym. I tylko w tej płaszczyźnie nastąpić może kiedyś w Polsce powolne obumarcie sporu pomiędzy katolikami a komunistami. To są perspektywy a zarazem istotna treść ewolucjonizmu. Wszystkie inne interpretacje tego procesu historycznego są nonsensem. Nie rewizjonizm, nie „drugi etap”, nie „odwilż”, nie łagodzenie cenzury. Chcecie Polski pragmatycznej i liberalnej — musicie wpięrow przebudować jej kulturę. Kultura nie wyrasta z próżni tylko z bazy gospodarczo-społecznej. Gruszki nie rosną na wierzbach. Jeżeli ktoś chce mieć gruszki — musi zasadzić gruszę. Jeżeli ktoś chce mieć kulturę pragmatyczną liberalną, nowoczesną — wolną od dogmatycznych, średniowiecznych sporów — musi kołodziejów przemienić w wysoko kwalifikowanych robotników przemysłowych. I to jest jedyna polska „misja” w tej chwili o której warto mówić.

Drugą drogą jaka stała przed wami otworem — było w całości opowiedzieć się za ową „misją”. Trzeba wam było stać się rzecznikami polskiego ewolucjonizmu na Zachodzie — trzeba wam było uświadamiać Polaków zagranicznych i zjednoczyć ich w wspólnym froncie współpracy ze społeczeństwem polskim w kraju. Brakło wam odwagi zarówno wrócić do kraju — jak i brakło wam odwagi zdecydowawszy się pozostać zagranicą zerwać z emigranczością. Byliście dostatecznie inteligentni by opowiedzieć się za ewolucjonizmem, ale brakło wam odwagi wyciągnięcia z tego faktu oczywistych konsekwencji. I tu leży owa zasadnicza sprzeczność waszej postawy, o której mówił Trzymadło.

— Jeszcze jej nie widzę — zauważyłem już nieco podirytowany.

— Zaraz ją Pan zobaczy — podjął niezmordowany Polityk zapalając pięćdziesiątego papierosa.

— Mówimy jeszcze ciągle o orientacjach, ściślej o orientacjach wschodniej i zachodniej. Ale w ustach polskiego publicysty czy polityka to jest już tylko manieryzm. Na wschodzie Europy dokonały się wędrówki ludów i przesunięcia lądów. Polska już nigdy nie wróci na łono pańskiego Zachodu, tak jak Cypr czy Irak już nigdy nie wrócą na łono Turcji. To co się tam dokonało

to nie są zmiany granic — tylko erupcje sił geopolitycznych, które ustalają granice światów i cywilizacji na stulecia.

Wasza emigranckość polega na tym, że tych faktów nie chcecie uznać. Anglia nie ma wyboru między kontynentem a wyspą — ponieważ jest wyspą. Polska nie ma wyboru pomiędzy kontynentem a wyspą — ponieważ jest wyspą. Polska nie ma wyboru pomiędzy Wschodem a Zachodem — ponieważ leży na Wschodzie i przynależy do Wschodu.

I tu ma Pan ową kardynalną sprzeczność. Wasz cały ewolucjonizm jest bez sensu dopóki nie podpiszecie się rękami i nogami, głową i sercem pod wschodnią orientacją.



Wróciwszy do domu poprawiłem ogień na kominku, zapaliłem fajkę i usiadłszy w fotelu wyciągnąłem nogi przed siebie.

Późną nocą zapisałem w moim raptularzu co następuje:

„Pewien procent inteligentów polskich w kraju i zagranicą uległ mistyce „bazy”. Przez wiele lat sądzono i na Zachodzie, że uprzemysłowienie w Sowietach wyrazi się automatycznie ogólną liberalizacją, pragmatyzmem, a w końcu pełnym triumfem racjonalizmu. Niestety te nadzieje zostały tylko częściowo spełnione. Okazało się również, że dogmatyczna ideologia może znakomicie koegzystować z bardzo pragmatyczną polityką.

Racjonalizm w sensie intelektualnym, w sensie wolności od dogmatu — nie jest ubocznym produktem uprzemysłowienia i postępu technologicznego. Można sobie doskonale wyobrazić, że za 50 lat Rosja prześcignie Amerykę na polu produkcji przemysłowej lecz będzie nadal autorytatywnie, dogmatycznie rządzone mocarstwem.

Mój Boże — cóż bardziej ludzkiego i zrozumiałego niż taki obrazek: młody inżynier buduje fabrykę w Polsce. Stara się swe zadanie wykonać jak najlepiej w przekonaniu, że jak Polska przekroczy wreszcie ową granicę oddzielającą ją od krajów wysoko uprzemysłowionych i zamożnych — to wówczas ogólny dobrobyt przyniesie z sobą również i pełnię wolności.

Komuniści podtrzymują ten mit. Ograniczenia wolności usprawiedliwiają zawsze „stanem wyjątkowym”, spowodowanym walką o socjalizm. Ale gdy baza zostanie należycie rozbudowana — gdy bogactwo dóbr materialnych umożliwi przejście z socjalizmu do pełnego komunizmu — to choćby nawet państwo nie obumarło (o czym marzyli klasycy marksizmu), to w każdym razie znikną ograniczenia i nadejdzie era powszechnej wolności i dobrobytu. Dopóki jednak to nie nastąpi, konieczna jest dyscyplina, ograniczenia wolności osobistej, cenzura itd.

Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że ideologiczne dogmaty, ograniczenia wolności, cenzura — nie są potrzebne partii do budowy utopijnego raju — lecz po prostu i zwyczajnie

konieczne są do sprawowania dyktatury, innymi słowy do utrzymania się przy władzy.

Kultura technologiczna, wysoki stopień uprzemysłowienia i zamożności — niewątpliwie sprzyjają indyferentyzmowi religijnemu i ideologicznemu, ale bynajmniej nie gwarantują wolności i demokracji.

Ewolucjonizm, który głosi, że uprzemysłowienie i wysoka stopa życiowa niosą z sobą jako „historyczną konsekwencję” liberalizm i wolność — jest taką samą utopią jak „obumieranie państwa” w komunistycznej mitologii.

My, w „Kulturze”, przez ewolucjonizm rozumiemy stopniowe oddogmatyzowanie polskiego komunizmu pod naporem światłych kół w partii i w społeczeństwie. To muszą robić *ludzie* — odważni, przekonani, z charakterem. Tego za ludzi nie robi ani industrializacja ani powszechne podniesienie stopy życiowej ani nikt i nic. I pod tym względem nie należy okłamywać ani siebie ani innych.

Kartkuję raptularz i trafiam na świeżą notatkę o śmierci Hollanda. W roku 1957 przesiedział u mnie całą noc. Nie myślcie panowie partyjni, że wyciągamy po niego rękę. On był wasz do końca. Wybrał ostateczną wolność — zaszczuty. A może usłudzy ubecy pomogli trochę. Jeden otworzył okno a drugi go popchnął. Nikt się nigdy tego nie dowie.

Owego pamiętnego roku 1957 jeden z partyjnych towarzyszy Hollanda pisał na łamach „Nowej Kultury”:

„Nikt nie jest *zwolniony* z moralnej odpowiedzialności za popieranie zbrodni z tej racji, że został intelektualnie przekonany o jej nieuchronnym zwycięstwie. Nikt nie jest zwolniony z moralnego obowiązku walki przeciwko systemowi rządzenia, doktrynie lub stosunkom społecznym, które uważa za nikczemne — powołując się na to, że uważa je zarazem za historycznie konieczne”.

Lubonie na emigracji i w kraju nienawidzą nas za to, że może nie tak świetnie i precyzyjnie jak ów towarzysz partyjny Hollanda — ale przecież staramy się o owym obowiązku przypominać i samemu go pełnić. Nie stwarzamy kompleksu fikcyjnej winy. Wi na tych, którzy ów obowiązek moralny grzebią tchórzliwie pod kopcem oportunistycznych frazesów jest rzeczywista i konkretna. Z owego kardynalnego obowiązku nie zwalnia „praca organiczna” w kraju czy na emigracji.

Dziś rano otrzymałem z Paryża list Stefana Kisielewskiego do Redaktora „Kultury”. Kisiel jest sztandarowym politykiem Luboniów. Kisielewski — nie-komunista, katolik, patriota *zwalnia Polaków* z owego moralnego obowiązku, o którym jasno i rzeczowo pisał wspomniany powyżej młody polski komunista. Tego komunistę i znakomitego pisarza zredukował kiedyś Kisiel do poziomu „ucznia z pierwszego roku u Tatarkiewicza”.

Ale między tymi panami jest nie tylko różnica w kalibrze i w skali. Kisiel — nie-komunista jest filarem „Establishment”. On

i Zawieyski są państwowymi dygnitarzami i identyfikują swoje ambicje i interesy z interesami „Establishment”. Są cenni, bo jako członkowie grupy katolickiej udzielają „dyspensy” od obowiązku moralnego zacytowanego powyżej.

Trudno o bardziej ponure widowisko jak pisarz i dziennikarz broniący cenzury. Gdyby w Polsce przywrócono wolność słowa drukowanego — cytuję Kisiela — „po dwóch miesiącach napisano by wszystko co w ogóle jest do napisania po tym zaś okresie skonsternowani ludzie stwierdziliby, że nie ma nic więcej do zrobienia i że sprawy nie posunęły się ani o krok naprzód”.

Teraz nareszcie wiemy dlaczego w Polsce mamy cenzurę. Cenzura jest konieczna, by ludzi nie doprowadzić do konsternacji i do fatalnego stwierdzenia, że „nie ma nic więcej do zrobienia”. Powyższy sąd Kisiela o cenzurze przejdzie do historii dziennikarstwa polskiego.

Korespondent Agencji Reutera w depeszy datowanej z Warszawy (19.1.1962) opisał burzliwe posiedzenie klubu „Krzywego Koła”, na którym dyskutowano problem wolności słowa. Reuter w depeszy, którą przedrukowała cała prasa światowa — cytuje dumną wypowiedź Antoniego Słonimskiego: „domagajmy się wolności a wówczas wolność słowa nadejdzie automatycznie”. W tej samej depeszy zacytowane są słowa prof. Kotarbińskiego, który mówił o tragicznym konflikcie pomiędzy uczonymi humanistami a tymi, którzy dzierżą władzę. „Bez wolności słowa nauki humanistyczne nie mogą istnieć” — powiedział nestor polskiej filozofii.

Swą tegoroczną nagrodę literacką „Krzywe Koło” przyznało świetnemu filozofowi i pisarzowi właśnie temu, którego intelekt Kisiel-mędrzec przyrównał do poziomu umysłowego studenta z pierwszego roku u Tatarkiewicza.

„Krzywe Koło” nie poznało się na Kisielowskim, na jego obronie cenzury, na jego realizmie, na jego geopolitycznej ideologii, na jego świątobliwym „odpuście zupełnym” dla tych, którzy zrezygnowali z walki o wolność słowa i myśli. Przykro to powiedzieć, ale różnice pomiędzy nami nie wyczerpują się w „orientacjach” czy w taktyce politycznej. Różnimy się w ocenie podstawowej zasady moralnej.

Ale nie martw się Kisielu — Lubonie cię nie opuszczą. Realiści typu Lubonia wszędzie są w większości. Oni zawsze wybiorą cię do Sejmu — zawsze przyklasną — zawsze krzykną: „byczo jest!”.

Kisielu czy ci nie żal? Myślę, że czasem musi ci być żal.



Zbigniew Jordan w swoim doskonałym studium pt. „Rewizjonizm Polski” („Kultura” — grudzień 1961, styczeń-luty 1962) — zwrócił uwagę, że charakterystyczną cechą filozoficznego rewizjonizmu polskiego jest jego orientacja moralna.

Wydawać by się mogło, że walka o swobodę słowa, walka

z cenzurą, walka o wolność badań zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych — ze względów filozoficzno-moralnych winna być zadaniem przede wszystkim i w pierwszym rzędzie pisarzy katolickich.

Nie ma w Polsce katolickiego Leszka Kołakowskiego. Ani w skali talentu, ani w skali charakteru i odwagi. Nie ma w Polsce katolickiego rewizjonizmu. Jest tylko katolicki lojalizm w dwóch wydaniach.

Dawny „Tygodnik Powszechny” — (cytuję samokrytykę Kisiela) „był unikatem, rarogiem, pismem niezależnym czy opozycyjnym”.

Święta prawda. A dziś? Dziś (cytuję znów słowa Kisielowskiego) „Tygodnik Powszechny”... „stał się „salonem intelektualnym” katolików polskich „obrócił w koneksje polityczne (Koło Posłów, Rada Państwa)”.

Dodajmy od siebie „salonem intelektualnym” raczej nudnym.

W grudniu 1956 ukazał się programowy artykuł Stommy: „Idea i Siła” Od owej daty minęło niemal 6 lat. Z chwilą gdy „Tygodnik Powszechny” związał się ściśle z obecną administracją państwową poprzez Radę Państwa i Koło Posłów przestał być „rarogiem”, „pismem opozycyjnym”, a nawet przestał być tygodnikiem politycznym. Jeżeli wyłączyć felietony Kisiela to trzeba stwierdzić, że na łamach „Tygodnika Powszechnego” całymi miesiącami nie ukazują się żadne artykuły polityczne. Dosłownie żadne.

Wszystkim Luboniom w kraju i zagranicą to się bardzo podoba. Ten chwalebny i nabożny przykład stawia się „Kulturze” do naśladowania.

Lubonie głoszą żarliwie: „po co mówić i pisać o polityce skoro artykułem politycznym nie można niczego zmienić. Jak raz realistycznie uznamy, że na nic nie mamy wpływu to w konsekwencji będziemy mogli również uznać, że za nic nie odpowiadamy. Odpowiedzialność moralną będzie można wówczas zostawić pięknoduchom i rewizjonistom”.

Wiara Luboniów wszelkich maści i odcieni, że politykę mogą robić tylko ci, którzy są przy władzy — jest rysem bardzo wschodnim w psychice polskiej. Politykę robi się nie tylko „ukazem”, ale i wpływem. Ci, którzy są przy władzy i ci, którzy stoją przy tych, którzy są przy władzy — nigdy nie doceniają polityki metodą pośrednią, poprzez wpływ, poprzez słowo.

Kisiel, nieboże, upojony swoim poselstwem deklamuje: „polityki nie robi się gadaniem — smutne to dla publicystów”.

Jeżeli przez gadanie rozumieć pisanie, to cała polityczna, społeczna i wszelka działalność Kisielowskiego sprowadza się do pisania. Poselstwo Kisiela jest wartością zerową — natomiast jego pisarstwo jest niewątpliwie pozycją. Byłoby pozycją niepomiernej większą, gdyby Kisiel posłuchał mojej rady i pozostał niezależnym publicystą-krytykiem. Ale Kisiel uważał, że więcej chwały mu przyniesie grać rolę obłąkowanego, ocenzonego, „ludowego” Hamlecika — na scenie politycznej.

Kochany Kisielu — nie doceniasz samego siebie. Jako pisarz jesteś kimś — jako poseł w komunistycznym Sejmie jesteś zero. Zachodzi niebezpieczeństwo, że zerowy poseł Kisielewski zacznie wywierać niebezpieczny wpływ na pisarza Kisiela. Obawiam się, że już to się dzieje.

Ci co po obu stronach są przy władzy i robią „prawdziwą” politykę być może doprowadzą w końcu do wojny. Zadaniem tych, którzy uprawiają ową pogardzaną przez władców politykę wpływu i wzajemnego zrozumienia — jest nie dopuścić do katastrofy. Jeżeli kiedyś dojdzie do odprężenia i uzdrowienia obecnej sytuacji światowej — będzie to w pierwszym rzędzie zasługą ludzi, po obu stronach barykady, którzy walczą o podstawowe wartości jako fundament wzajemnego zbliżenia i porozumienia. Jedną z owych podstawowych wartości jest wolność słowa, wolność badań naukowych, wolność nie tylko od nędzy ale i od dogmatów.

Ów wpływ jest obustronny. Cytowany na tych stronach wielokrotnie Leszek Kołakowski wywarł na mnie (i nie tylko na mnie) wielki wpływ. Ostatnia seria artykułów prof. Schaffa dała mi również wiele materiału do refleksji i sądząc po tych artykułach należy przyjąć, że polska myśl marksistowska dokonała wielkiej ewolucji.

Profesor Schaff, którego czytam z uwagą — mimo, że nie zgadzam się z nim w podstawowych sprawach — jest mi stokroć razy bliższy niż Lubonie po obu stronach barykady. Ponieważ prof. Schaff zaczyna dzielić z nami wiarę, że jedyną rzeczą, która zmienia rzeczywistość jest myśl ludzka.

Dogmaty w rękach tych, którzy dysponują władzą determinują politykę. Ale niezależna myśl podważa dogmaty i stanowi nieznużone i w gruncie rzeczy niepokonalne dynamo ideału wolności. Nie mówię o wolności śnionej przez wieszczów i poetów. Mówię o wolności, której domaga się rozum.

Juliusz MIEROSZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

ZWIĄZKOWIEC

Jedyne pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień
Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne ko-
respondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w
Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników
jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich,
oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym
instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili
obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach
Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA :

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DZIEWCZYNA ZE STYLOSEM

Wśród fresków pompejańskich, zgromadzonych w neapoli-tańskim Museo Nazionale, znajduje się kilkanaście portretów. Jeden, jak świadczy współczesny napis, przedstawia miejscowego piekarza z żoną. O danych personalnych innych portretowanych brak wiadomości. Największe zainteresowanie zwiedzających budzi domniemany portret Saffony. Z owalnej obwódki patrzy uważnie młoda kobieta trzymająca przy ustach stylos. Dlaczego przyzwyczajono się widzieć w niej lesbijską poetkę, zmarłą śmiercią samobójczą z zawiedzionej miłości? Identyfikacja taka powstała zapewne z porównywania tego portretu z tematyką innych fresków. Widzimy na nich Herkulesa z maczugą, Orfeusza z lirą, Friksiosa z baranem o złotym runie itd. Niedaleko stąd do przypuszczenia, że młoda kobieta ze stylosem jest też jakąś znakomitością, a mianowicie najslawniejszą poetką świata antycznego.

Senior archeologów włoskich Amedeo Maiuri odnosi się jednak sceptycznie do tego przypuszczenia. W okresie powstania fresków pompejańskich — powiada — kształcenie się było rzeczą bardzo modną; młoda kobieta ze stylosem była zapewne tym, co dziś nazywamy studentką lub po prostu oszczędną gospodynią prowadzącą rachunki.

Inne portrety wiszące w tejże sali zdają się potwierdzać opinię uczonego archeologa. Są to przeważnie *laureati*, wiencześni wawrzynem. Z wyglądu ich widać jednak od razu, że laurów nie zdobyli w palestrze lub kierując kwadrygą, lecz wyróżnili się w konkurencjach wymagających zalet umysłu i wyobraźni. Prawdziwe czy imaginacyjne portrety ich zdobiły ściany pompejańskich mieszkań. Był to początek cesarstwa i złoty wiek literatury. Autorytet jej był tak wielki, że poeci brali udział we wszystkich festynach. Sztuka pisania wierszy — jak świadczy przykład Horacego i Martialisa — mogła prowadzić nawet do posiadania

własnego domu i otoczonej winnicą willi podmiejskiej. Znajomość greckiego — ówczesnej francuszczyzny — i umiejętność poprawnego pisania należały do obyczajów ówczesnego towarzystwa, złożonego przeważnie z dorobkiewiczów, których tradycje rodzinne nie sięgały wstecz poza niedawną wojnę cywilną. Z *Satiriconu* dowiadujemy się, że dla nadania sobie pozorów ludzi zamożnych i światowych nawet wędrowni oszuści pisywali zajmujące wiersze, których próbki znajdują się w powieści Petroniusza.

Udział kobiet w powszechnym dążeniu do kształcenia się był w Rzymie zjawiskiem nowym. Wnosić o tym można chociażby ze sposobu, w jaki Swetoniusz — piszący o sto lat wcześniej, jeszcze za czasów republiki — mówi o nieznanej skądinąd Sempronii, która miała jakiś skromny udział w sprzysiężeniu Katyliny. Sempronia — powiada — miała więcej dowcipu niż to przystoi porządnej kobiecie. Jesteśmy tu jeszcze daleko od dziewczyny ze stylosem.

Kobiety wykształcone mogą służyć za miarę epok i cywilizacji. Dla mężczyzn wykształcenie ogólne jest środkiem pomocniczym, użytecznym na forum i w małym Komitecie, pozwalającym wspinać się lekko po szczeblach kariery. Dla kobiet użyteczność ogólnego wykształcenia jest mniej oczywista. Dziś wprawdzie „dobre wykształcenie ogólne” wymagane jest, obok znajomości języków i stenografii, nawet od kandydatek na posadę sekretarki, ale jest to zjawisko ostatnich czasów, uboczny produkt emancypacji kobiet i pełnego zatrudnienia. Dawniej wykształcenie sprzyjało co najwyżej, jakkolwiek nie we wszystkich środowiskach, sukcesom towarzyskim.

Mówiąc o użyteczności nie należy tracić z oczu wątpliwości tego kryterium. Nie znając przyszłości nie możemy przewidzieć, co okaże się użyteczne. Najbardziej niepraktyczne na pozór wykształcenie może w pewnych okolicznościach oddać nieocenione usługi. Refleksję taką budzi np. przepych mauzoleum Galli Placidii w Rawennie. Córką Teodozego i siostrą cesarza Honoriusza, Galla Placidia była zakładnicą u Alaryka, króla Wizygotów, który woził ją z sobą na wszystkie wyprawy zakończone zdobyciem Rzymu. Jakie uzdolnienia pozwoliły młodej dziewczynie zachować się przy życiu wśród zmiennych kolei wojny, krwawych porachunków między wodzami Wizygotów, podejrzliwości barbarzyńców i wreszcie poślubić następcę Alaryka, Ataulfa? Widok wzniesionego przez nią w Rawennie mauzoleum pozwala przypuszczać, że jej rzymskie wykształcenie, szkolony na sławnych wzorach gust artystyczny i sama pomysłowość w dekoracyjnym zbytku dawały jej autorytet otaczany szacunkiem nawet u barbarzyńskich wojowników.

II

Użyteczność i bezużyteczność są tu zresztą bez znaczenia. Chodzi nam o wartość autonomiczną wykształcenia, o spojrze-

nie na nie chociażby tak, jak Horacy i Martialis patrzyli na wille z własną winnicą, będące dla nich celem samym w sobie, obchodzącym się bez żadnych innych motywacji. Jest to może mniej proste niż by się mogło wydawać. Aby znaleźć jakiś dobry przykład takiej oceny wykształcenia, trzeba się chyba cofnąć aż do Montaigné'a, który czytał tylko dla przyjemności i patrzył z politowaniem na lektury podejmowane w innych celach.

Mówiąc o pompejańskiej „Safonie” i Galli Placidii, mamy oczywiście na myśli wykształcenie humanistyczne. Porównywanie go z własną willą nie jest żartem, tak różne bowiem przedmioty zdradzają pewne pokrewieństwo jako obiekty posiadania. Oderwane od aspektów utylitarnych, wykształcenie takie sprowadza się do posiadania w pamięci minionego świata przeszłości w jego ciągłości i sprzecznościach, z jego czernią i pożąłą. Wśród odbywających się obecnie przemian, kiedy indywidualna własność przedmiotów i przedsiębiorstw ustępuje coraz bardziej miejsca posiadaniu uprawnień do płatnego zatrudnienia i ubezpieczeń społecznych, władanie w myśli idealną fortuną może mieć jeszcze wielką przyszłość.

III

Odwieczna przeciwstawność pokoleń ma obecnie poważniejsze niż kiedykolwiek przesłanki. Pokolenia, które wyszły z wielkiego kryzysu lat trzydziestych, potrafiły zorganizować bezprzykładną zamożność naszych czasów, ale — jak słusznie zauważa J.K. Gelbraith — zachowały pojęcia z okresu młodości, z czasów ubóstwa i oszczędności. Dopiero pokolenia sformowane po ostatniej wojnie będą wolne od tych wspomnień i uprzedzeń. Nie będą nosiły ubrań z garderoby rodziców i czekały latami na skromną posadę, nie będą znały brutalnych form walki o byt i tuberkulozy, która przez wieki dziesiątkowała elitę niedożywniej młodzieży.

Jak będą wyglądały pokolenia wychodzące z tej nowej fabryki? Co będzie dzieliło je od poprzednich? Czy napięcie różnic nie zagraża ciągłości naszej cywilizacji? Wiele okoliczności zdawałoby się na to wskazywać. Od Oslo do Neapolu stare dzielnice pełne tradycji i zabytków rozpadają się — jak w czasach Alaryka i Galli Placidii — pod kilofami barbarzyńców i na miejscu ich wznoszone są wieżowce, wszędzie takie same. Czy mieszkańcy ich zamkną się w konformizmie i napastliwej banalności architektów?

Na licytacjach widziałem portrety przodków, w błyszczących zbrojach, perukach lub kapeluszach z piórami, sprzedawane przez patrycjuszy, którzy, przenosząc się do nowych mieszkań, nie znajdowali w nich miejsca na antenatów i roztawiali się z nimi bez żalu i bez ceremonii. Nawet więzie i tradycje rodzinne rwą się jak pajęczyny. Historia toczy się wartko ku nieznanej przyszłości.

IV

Wielkim przemianom uległo również szkolnictwo. Już Napoleon żądał od szkół wyższych przede wszystkim dostarczania mu wyszkolonych techników i oficerów. Rządy republikańskie podzielały na ogół ten punkt widzenia. Parlamenty niechętnie uchwalają na oświatę wydatki nie posiadające oczywistej użyteczności. Szkoły wyższe przygotowują do wykonywania określonych zawodów; w programach ich nie ma więcej miejsca na *studium generale*, niedawno jeszcze uwzględniane na niektórych uniwersytetach.

Na początku powojennego okresu wpadł mi w ręce specjalny numer szwajcarskiego czasopisma uniwersyteckiego, w którym rektorzy, profesorowie i doktorzy zgodnym chórem odradzali młodzieży studia wyższe, nie prowadzące do zarobków i samodzielności. Krajowi — mówili — potrzebniejsi są technicy, wykwalifikowani robotnicy, rzemieślnicy. Wywody te, oparte na niepewnym kryterium użyteczności, okazały się tylko częściowo słuszne. Wynika z nich jasno tylko to, że szkolnictwo będzie coraz bardziej podporządkowane domniemanym wymaganiom rynku pracy. Nie wiem, czy najbardziej nawet giętki system szkolnictwa potrafi im sprostać. W przemyśle rodzą się co dnia nowe specjalności, i brak wyszkolonego w nich personelu grozi zahamowaniem produkcji i racjonalizacji w tej czy innej grupie zakładów przemysłowych. Fabryki muszą same przeszkalać i dokształcać swój personel lub szukać go za granicą. Co kilka dni czytam o otwarciu kursów szkolących w obsłudze jakichś nowych maszyn lub urządzeń technicznych.

Organizacja dobrobytu i rywalizacja gospodarcza między Wschodem i Zachodem stawiają dziś szkolnictwu zadania nowe, coraz luźniej związane z wykształceniem ogólnym, od którego zależy ciągłość naszej cywilizacji. Konserwacja jej przechodzi obecnie w inne, mniej wyszkolone ręce, rozbija się — jak w czasach dziewczyny pompejańskiej, uczącej się zapewne u jakiegoś sofisty — na wielką ilość wysiłków i inicjatyw indywidualnych. Niedawno widziałem w gazecie ogłoszenie pt. „Łacina jako hobby”, w którym klub pracowników handlowych zapraszał na kurs łaciny dla dorosłych. Czy zobaczymy znów — jak niegdyś we Włoszech — „akademie” miłośników wiedzy i literatury? Czasy Baroku przekazały nam do ewentualnego reaktywowania kilka pociągających nazw takich ugrupowań, jak np. *Accademia degli Oziosi* lub *degli Stravaganti*. Zresztą, jak zobaczymy niżej, kształcenie się szuka sobie nowych dróg i nowych form.

Sytuacja ta rzuca światło na sens i doniosłość, jakie posiada obecnie oświata pozaszkolna. Pozostaje nam życzyć sobie, aby reżyserzy „kultury masowej” nie zniechęcili młodzieży. Powodzenie bowiem skromnych na razie poczynąń indywidualnych i grupowych w tej dziedzinie zależy w istocie od tego, czy po-

trzeba wykształcenia i posiadania w pamięci obrazu minionych wieków będzie przemawiała do wyobraźni nowych pokoleń.

V

Dzisiejsza dziewczyna ze stylosem pozbawiona jest w dużej mierze przysługującego jej tradycyjnie pola działania.

Należało do niej dawniej przechowywanie i przekazywanie znajomości języka oraz regionalnych i narodowych tradycji. Kobietom w pierwszym rzędzie zawdzięczamy, że nie zapomnieliśmy polskiego w czasach, gdy nie uczono go w szkole. Dialekty winne im są swą żywotność.

Coraz więcej kobiet obecnie pracuje i wraca do domu wieczorem. Dzieci ich uczą się mówić od pielęgniarek i freblanek przedszkoli, do których matki odprowadzają dzieci idąc do pracy. Wiele subtelności języka zniknie zapewne na zawsze w gwarze żłobków i przedszkoli.

Gospodyniom salonów literackich przypadło w udziale ambitne zadanie wychowywania i szkolenia elity umysłowej. O historii salonów istnieje cała literatura, nie wiem jednak, czy oceniono dostatecznie ich wpływ na tworzenie się stylów i form. Przystosowując się do wymagań salonowej konwersacji, literaci musieli formułować swe myśli jasno i lekko, układać je w anegdoty i pointy. Kto wie, czy tzw. styl kartezjański, przeciwstawiający się manieryzmowi Baroku, utrzymałby się równie długo bez oparcia o salony literackie.

Niezbędnym warunkiem istnienia takich instytucji jest pewna ciągłość warunków społecznych, obecność grup posiadających jakieś życie towarzyskie. Po przewrotach XIX wieku znacznie luźniejsza instytucja kawiarni literackich zastąpiła dawne salony. Dziś, po kilkakrotnym przetasowaniu ludności Europy przez wojny i kryzysy gospodarcze, nie ma miejsca nawet na tak nieobowiązujące formy życia towarzyskiego. Literatura zatrudnia dziesiątki tysięcy pracowników różnej formacji zawodowej i różnego pochodzenia, którzy, zebrani razem, nie mieliby sobie nic do powiedzenia. W początku lat dwudziestych byłem świadkiem próby reaktywowania salonu. Gospodarze witali w przedpokoju zaproszonych, których przeważnie nie znali osobiście. W obszernym mieszkaniu panował ruch jak na jarmarku; wszyscy poszukiwali znajomych. W tłoku można było porozumiewać się tylko monosylabami; kalambur był jedyną formą dowcipu. Po pół godziny goście zaczęli się rozchodzić.

Niezliczone festiwale i organizowane przez przedsiębiorstwa turystyczne wspólne zwiedzanie zabytków i galerii są też próbami stworzenia masowego życia towarzyskiego. W śpieszącym się tłumie nieznanym dziewczyna ze stylosem czuje się zapewne samotna i zgubiona.

VI

Młodzież korzysta szeroko z sytuacji wytworzonej na rynku pracy przez politykę pełnego zatrudnienia; usamodzielnia się wcześniej i przed pełnoletnością już rozporządza własnymi dochodami. *Teenagers* są dziś poważną grupą nabywców i przedsiębiorstwa handlowe liczą się z odrębnością ich gustów i zapotrzebowań.

Wcześniej usamodzielniona, młodzież podkreśla swą niezależność wobec starszych. Jest inna i zaznacza to strojem i zachowaniem się. Co skrywa się pod jej protestacyjnymi i lekceważącymi postawami? Pewnych wiadomości o tym dostarczają samodzielne inicjatywy młodzieży.

Spędzając od 10 lat część roku w Bernie, miałem sposobność obserwowania tamtejszej młodzieży w ostatniej fazie obecnej *prosperity*. Zamożność nie jest w Bernie zjawiskiem nowym; od czasów Napoleona miasto nie znało wojen i przewrotów i posiada zdumiewającą ciągłość życia. Stare rodziny patrycjuszowskie, które rządziły miastem do 1830, są w nim dotąd obecne i tworzą rodzaj wyższych sfer towarzyskich. Bern jest siedzibą administracji federalnej, są jednak w Szwajcarii miasta większe, jak Zurych, bogatsze, jak Genewa, i w dziedzinie życia umysłowego posiadające, jak Bazylea, starsze i ciekawsze tradycje.

Przemiany zachodzące w Bernie nie są być może charakterystyczne dla całego kontynentu, zwracają jednak na siebie uwagę przez okoliczność, że odbywają się w środowisku o wyjątkowej stałości i ciągłości.

Stare miasto, do którego odnoszą się moje obserwacje, zmieniło się niewiele od XVIII wieku. Domy wzniesione były niegdyś przez tzw. patrycjuszy i częściowo należą do ich potomków. Dzielnica ta zamieszkała jest obecnie przez warstwy uboższe, rzemieślników, drobnych kupców i urzędników. Pod arkadami sąsiadują ze sobą sklepiki, warsztaty rzemieślnicze i antykwarjaty.

Przeciwstawność pokoleń zaznacza się przez kontrast ubiorów. Liczący ponad 30 lat ubrani są tradycyjnie: noszą wyprasowane spodnie, białe, czasami pocerowane koszule, krawaty i kapelusze. Młodszy parady bez kapelusza, w czarnych swetrach, spodniach z manchesteru i barwnym szaliku na szyi. Jak widać z wieku, podział powstał koło 1950, czyli w początku obecnego okresu europejskiej *prosperity*.

Wśród mijających pod arkadami „egzystencjalistów” nie ma studentów miejscowego uniwersytetu, ubierających się przeważnie jak starsi, należących częściowo do korporacji i trzymających się dróg uświęconych zwyczajem. Odmienność swą zaznacza młodzież wcześniej usamodzielniona, znajdująca zatrudnienie w różnych formach rzemiosła artystycznego.

Przed 10 laty Bern posiadał jeden tylko teatr miejski, w którym aktorzy pochodzili przeważnie z Austrii i Niemiec. Wy-

stawy obrazów odbywały się w jedynym przeznaczonym na ten cel budynku. W braku innych pomieszczeń miejscowi malarze każdej jesieni wystawiali swe obrazy w witrynach sklepów starego miasta. Zarząd miasta i rząd kantonalny rozdzielały co roku kilka nagród literackich, miasto wydawało się jednak szczególnie oporne na poezję. Od czasów Albrechta Hallera nie napisano w nim bodaj dziesięciu tomów wierszy.

Ostatnie 10 lat przyniosły wielkie zmiany. Miasto liczy dziś kilkanaście lokali wystawowych, powstałych z inicjatywy prywatnej. Cały legion młodych poetów trudni się czernieniem papieru. O rozmiarze przemian świadczy najlepiej rozwój teatru. Obok dwóch teatrów miejskich, w piwnicach starej dzielnicy prosperują cztery teatrzyki, grające dla 50-80 widzów. Patrycjusze berneńscy posiadali niegdyś przywilej na handel winem i domy ich zachowały odpowiednie do tego przywileju piwnice. Stojące od dwustu lat pustką lochy stały się prawdziwym błogosławieństwem dla młodych artystów, dostarczając im tanich lokali. Większa część nadających się do takich celów piwnic starej dzielnicy mieści dziś, kluby, teatrzyki i sale wystawowe. Niegdyś widywano muzy na wyżynach Parnasu, dziś ulubioną siedzibą ich zdają się być lochy i piwnice.

Teatrzyki młodych są w Bernie zjawiskiem nowym. Talenty sceniczne były tu przedtem czymś wyjątkowym. Moi berneńscy przyjaciele objaśniali to wpływem tradycji protestanckich, niechętnych teatrowi i widowiskom. Nawet J.-J. Rousseau w swym liście do Diderota o widowiskach nie odbiega daleko od poglądów Tertulliana z *De spectaculis*. Dla kalwinisty kłamstwo jest jednym z najcięższych grzechów i granie czyjejś roli, podszywanie się pod inną osobę budzi mnóstwo moralnych zastrzeżeń. Wstręt do tych krętych dróg był tak poważną przeszkodą, że dla obejścia jej i rozgrzeszenia aktorów bazylejscy antropozofowie wymyślili pewien szczególny sposób gry. W ich teatrach aktorzy recytują tekst z kamiennymi twarzami, przedstawiając sztukę, lecz nie biorąc w niej osobistego udziału. W takiej interpretacji widziałem raz recytowaną przez trupę antropozofów „Nieboską komedię”. Potrzeba zmiany skóry, stania się chociażby na kilka godzin kimś innym niż na codzień, była tu obca i nieznaną. Zdawało się, że berneńczycy byli zbyt zadowoleni z tego czym są, aby szukać jakiejś odmiany.

Pojawienie się u nich może jeszcze nie talentów lecz dyspozycji, z których talenty sceniczne się rodzą, świadczy, że podział pokoleń nie ogranicza się do manifestacji zewnętrznych, ale sięga nierównie głębiej.

Samodzielnie prowadzony teatrzyk młodych jest zasługującą na uwagę instytucją kształcącą. Znalezienie sztuki, nadających się do grania na improwizowanej scenie o głębokości trzech metrów wymaga niezłej znajomości literatury dramatycznej. Poprawne odtworzenie epoki w sztukach historycznych lub starych przewiduje posiadanie ogromnej wiedzy humanistycznej. W zespołach teatrzyków berneńskich brak zupełnie studentów uniwer-

sytetu. Gotowe wykształcenie humanistyczne wnoszą do nich młodzi nauczyciele ludowi. Część tylko aktorów przeszła przez szkoły dramatyczne, większość stanowią amatorzy, których słuszniej byłoby nazywać dyletantami. Głęboka potrzeba zespolenia się ze światem wyobraźni i nadawania formy materii scenicznej zastępuje im często znajomość rzemiosła.

W małej trupie, szkolących się na własnych błędach w trudnym rzemiośle artystycznym, dziewczyna ze stylosem odnalazła środowisko, jakiego brakło jej od czasu salonów. Jako towarzysza miejscowych *barbudos*, paradując w długich spodniach z spiętrzoną strzechą farbowanych włosów nad źle umytą szyją, nie wydawała się szczęśliwa. Próby stania się, chociażby na przeciąg jednego wieczoru, kimś innym wyzwoliły ją z ponurego manieryzmu i przywróciły jej wdzięk i urodę.

Improwizowany występ na małej scenie nie jest najniebezpieczniejszą formą kontaktu z publicznością. Prym trzyma tu publiczna recytacja własnych wierszy. Być może dzięki brakowi doświadczenia młodzi poeci nie cofają się i przed tą próbą. W kilku lokalach starego miasta odbywają się regularnie takie performance. Przemysłniejsi czytają swe wiersze na wernisażach, w otoczeniu obrazów. Na jednym z takich poetyckich wernisaży, w jasno oświetlonej piwnicy Parnasu spostrzegłem dziewczynę, która w jednym ręku trzymała ołówek, w drugim zaś zwitek papierów, naśladując bezwiednie gest pompejańskiej „Safony”. Gdy przyszła na nią kolej, odczytała nieśmiało swoje wiersze. Wbrew moim przypuszczeniom nie była studentką, lecz osobą samodzielną, zatrudnioną w warsztacie ceramiki artystycznej.

Wszystkie te pomysły i inicjatywy młodzieży są w starym Bernie niewątpliwą nowością, są jednak również powrotem do znanych wzorów poprzednich. Kto wie, czy okres pobożnego liczenia procentów, pozytywistycznego sceptycyzmu i panowania wszechwładnej pięciozłotówki nie był w naszej cywilizacji tylko przejściowym epizodem.

Paweł HOSTOWIEC

Blaski i nędze gwiazdorstwa

Jeszcze między dwuletnim, pełnym natężenia i ruchu, po-
bytem w Anglii a ostatnim przybiciem do jej brzegów w r. 1885
Modrzejewska odbyła cztery *tournées* po Stanach. Wolno przy-
puszczać, że przymierzała do siebie te dwa tereny ekspansji
artystycznej, porównywała je z sobą. Jak zawsze, wybór między
nimi był bardziej świadomy, niżby się to mogło zdawać sądząc
po wierzchu. Wróciła do Ameryki, jak do drugiej ojczyzny.
Wróciła żeby tam pozostać na zawsze, choć owo „zawsze” nie
było, nie mogło być zamierzone z góry.

To rozstrzygnięcie o sobie i swojej karierze nieciło blaski,
które oślepiały postronnych obserwatorów, niosło powodzenie,
rozgłos, bogactwo. Ciągnęło też za sobą cienie, ale o nich wie-
działa przede wszystkim sama pani Helena. Było zbieraniem upa-
jących owoców i przeżuwaniami goryczy.

Co uderza w tych objazdach między występami angielskie-
mi i we wszystkich dalszych, w sumie ogarniających dwa dzie-
siątki lat — to upór trwania przy swoim, wiara w swoją słusz-
ność. Na niepowodzenie czy niepełne powodzenie Julii w londyń-
skim Royal Court Theatre Modrzejewska odpowiedziała włąc-
zeniem jej do programu najwcześniejszego *turnée* po Ameryce w
r. 1882-3. Więcej: obok arcytragedii miłosnej znalazły się w nim
dwie pogodne komedie miłosne Szekspira — „Wieczór Trzech
Króli” i „Jak się wam podoba”. Z „żelazną wolą”, którą w
tym czasie tak w niej podziwiał Koźmian, pani Helena postano-
wiła dowieść sobie i światu, że jest aktorką szekspirowską, że
jest godna i zdolna grać Szekspira w jego własnym języku
przed publicznością, mówiącą tym językiem. Była to jej druga,
amerykańska, bitwa o Szekspira o ileż zuchwalsza, ryzykowniej-
sza, bardziej wysilająca, niż bitwa warszawska. Była to bitwa

Fragment z opowieści biograficznej o Modrzejewskiej pt. „Pani Hele-
na”. Ukaże się ona nakładem „Veritasu” w Londynie.

z rodzaju tych, o których się mówi, że rozstrzygają o losie kampanii, była to sprawa rozstrzygająca o treści, o sensie życia.

Można powiedzieć, że Szekspir stanowił jedną z *idées fixes* jej osobowości. Ten wspaniały upiór nie odstępował jej ani na chwilę, jest bezustannie w środku jej pamięci, wraca w listach, wywiadach, artykułach, wspomnieniach. Jakiemuś dziennikarzowi Modrzejewska powiedziała, że chce stworzyć repertuar szekspirowski jakiego dotąd nie miała żadna aktorka w Starym i Nowym Świecie; nie była próżna przechwałka, jeśli rachunek ról z tego z zakresu granych po angielsku zamknął się liczbą: 17. „As you like it” cieszył się nadzwyczajnym powodzeniem — pisała do Faleńskiej. — Jestem dumna, gdyż to Szekspir”. „Najbardziej pochłania mnie Szekspir” — donosiła amerykańskiej przyjaciółce. Ktoś zapamiętał, że pani Helena „budziła się z pozornego, błędnego letargu tylko wtedy, gdy rozmowa schodziła na Szekspira, na postaci szekspirowskie i aktorów szekspirowskich”. Aktor Howard Kyle, który należał do jednego z zespołów Modrzejewskiej, przekazał takie jej powiedzenie: „Szekspir jest największym z wszystkich dramatopisarzy, ponieważ jest najbardziej ludzki”. Szekspir, Szekspir, Szekspir...

Już r. 1883 przyniósł pierwsze samopotwierdzenie i potwierdzenie z zewnątrz. Zapewne nie jest to przypadek, że wybór ocen w biografii reklamowej napisanej pod dyktando pani Heleny przez niejakiemuś Altemusa, wydanej w tym roku, otwierają recenzje o jej werońskiej Julii. Ważniejsze było to, że jednocześnie Edwin Booth, największy żyjący tragik i największy żyjący szekspirzysta amerykański, wybrał ją na pożegnalne przedstawienie swego teatru, który przed laty otwierała także Julia związana z nim najtkliwszymi węzłami. Była to konsekracja tej roli wyrównująca wyrok śmierci wydany w Londynie przez Duttona Cooka. Na ostatnim przedstawieniu Booths Theatre, który nazajutrz miał ustąpić miejsca wielkiemu domowi towarowemu, Modrzejewska nie tylko grała, ale żegnała scenę o wielkich tradycjach i w przemówieniu pożegnalnym powtórzyła słowa Juliet: *Parting is such sweet sorrow that I could say good-night-till it was to-morrow*. W następującym roku była Julią Capuletti na festiwalu zorganizowanym w Cincinnati dla uczczenia 250-lecia śmierci Szekspira. Oznaczało to uznanie, że jest największą w Ameryce odtwórczynią tej roli.

Od poznańskiego debiutu pani Helena rosła z nią, ciągle ją doskonaliła. To co w miarę upływu lat jej wcielenie traciło z pierwiosnkowej świeżości, zyskiwało na głębi odczucia, na bogactwie i przenikliwości tonu. Było w tym coś z obsesji i coś z prawie zawrotnej brawury. Jeden z „managerów” Modrzejewskiej utrzymuje, że grała Julię po sześćdziesiątce. Jest to oczywista, niemożliwa przesada. Naprawdę odtwarzała tę postać, po polsku i angielsku, przez dwadzieścia lat, ostatni raz w Waszyngtonie w 48-ym roku życia. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę różnice optyki między sceną wczorajszą i dzisiejszą, jeśli się wspomni, że również inne aktorki ówczesne, jak Ellen

Terry, grały dziewczęce role szekspirowskie do późnego wieku, jest to przypadek niezwykle i niepowtarzalny.

W ślad za Julią poszedł długi poczet heroin Szekspira, ciąg zjaw tak odmiennych, tak pięknych, zamykających w sobie całą tęcza gamę kobiecości: Rozalinda z „Jak wam się podoba”, Viola z „Wieczoru Trzech Króli”, Imogena z „Cymbelina”, druga Julia w „Dwóch panach z Werony”, Izabella w „Miarce za miarkę”, Lady Macbeth, królowa Katarzyna z „Henryka VIII”, Konstancja z „Króla Jana”. Dołączyły się do tego szeregu również te postaci szekspirowskie, które, jak umiłowana Rómea, wcielała wpierw po polsku: Beatrice z „Wiele hałasu o nic”, Porcja z „Kupca weneckiego”, Desdemona, Ofelia i Kleopatra.

Ofelię, jedną z jej arcyról, spotkało wyjątkowe wyróżnienie. W r. 1888 grała ją Modrzejewska w jasnowłosej peruce, odziana w „indyjski jedwab we wzory figuralne” wśród najpierwszych nazwisk Ameryki w słynnym „Hamlecie” ku czci Johna Lestera Wallacka, członka dynastii, która wydała trzy pokolenia aktorów, związała ze swoim imieniem trzy teatry. Było w tym przedstawieniu zbyt wiele blasku i zbyt mało składu, ale przeszło ono do legendy jako jedyny w swoim rodzaju złot gwiazd krążących poza tym własnymi orbitami. Przeszły do legendy także lzy wyczarowane przez polską Ofelię.

W drugiej połowie następnego roku koleina Modrzejewskiej przecięła się z koleiną Bootha. Odbyli wspólny, 7-miesięczny objazd Stanów. Propozycja wyszła od wielkiego aktora, ale nie obyło się bez ofiar ze strony tej, której ją zrobił i bez wstępnych trudności. Pani Helena wszczęła spór prestiżowy o to, by nie występować na afiszu jako *leading lady*, główna partnerka Bootha, lecz jako *joint star*, współgwiazda, gwiazda tej samej wielkości i ceny. Ponieważ wcześniej podpisała kontrakt z kim innym, za możliwość grania z Boothem przyszło jej zapłacić okup wynoszący 12.000 dolarów. Zrobiła to bez większego żalu, bo oto urzeczywistniało się coś co kołysała w tajnych marzeniach, co szło za nią od wylądowania w San Francisco aż do Londynu. W stolicy imperium Booth przebywał w tym samym czasie co ona, zdobył jej „wtorki” i przeżywał te same lęki. „Nareszcie — pisał do kogoś i mogłyby to być jej własne słowa — jesteśmy w wielkim świecie, gdzie wkrótce albo dam się poznać albo przepadnę we mgle. Kilka tygodni rozstrzygnie”.

Dla Ameryki był to mariaż tak niezwykle, tak rzadki, że odbił się rozgłośnym echem wśród kolumn dzienników. Miało to także złe strony. Gdzieś pośrodku tury jakiś obleśny *back-stage scandal-monger*, łowca zakulisowych skandalów, puścił plotkę o romansie między dwoma gwiazdoram. Wskoczyła ona na pierwszą stronę „New York Herald” i przez chwilę na niej podrygiwała. Od czasów polskich plotek o Sienkiewiczu po raz pierwszy historia tego rodzaju zaczęła nazwisko Modrzejewskiej. „Madame była czarująca — pisał w tym czasie Booth do swego współnika Barretta — ani słowem nie napomknęliśmy o

skandalu. Jest to tajemnicza historia... „Herald” wyraźnie przestraszył się perspektywą procesu”. Do skargi nie doszło. Sprawa biła w oczy niedorzecznością.

Druga kabała była jeszcze przykrzejsza i zapewne należała do tych, o których się mówi, że nie ma dymu bez ognia. W ślad za tamtą plotką poszła w obieg inna, mówiąca o zawodowej zazdrości Bootha z powodu owacji kwiatowych dla Modrzejewskiej. W tej sprawie *the Bozentas* (to znaczy pani Helena i pan Karol) nie wydawali się zainteresowanemu tak niewinni, jak w pierwszej. „Wydaje się że wyciekają od nich wszelkie możliwe wiadomości — pisał do tego samego korespondenta — ale ona była oburzona i zaprzeczyła doniesieniu. Niewątpliwie widziałeś jej list z zaprzeczeniem...”. W tym wszystkim było prawdą, że powodzenie tandemu: Modjeska-Booth wyraźnie słabło, gdy ona z powodu choroby nie występowała. Wolno też przypuścić, że Chłapowski, który nie odznaczał się powściągliwością języka ani opanowaniem odruchów, mógł to gdzie nieostrożnie skomentować.

Były to nieprzyjemne i groteskowe okoliczności towarzyszące zejściu się dwojga artystów, był to trywialny zgrzyt w harmonii. Ale harmonia nie była pełna także z innych, głębszych powodów. Partnerka tego duetu stała w zenicie sił i możliwości twórczych. Jej wielki partner, starszy tylko o siedem lat, chylił się już ku schyłkowi. Był człowiekiem śmiertelnie zmęczonym, przedwcześnie postarzałym: jego dumne, płomienne oczy utraciły blask, smukła figura przygarbiła się ku ziemi, pięknie rzeźbiona twarz obwisła, ruchy pełne wdzięku i lotności ociężały. Żle znosił trudy wędrownego życia, opuszczał wagon kolejowy tylko dla teatru. „Reakcja na ciągłe napięcie — donosił poufnie — jest bardzo silna i odczuwam ją poważnie... Wczoraj z powodu zmęczenia poprzednią nocą ledwie zdołałem przebrnąć przez „Richelieu’go”, a wieczorem w Makbecie cierpiełem udreki. Zawroty głowy, które mnie nękają i brak sił fizycznych są widoczne, jawne dla mnie i dla wszystkich...”.

Ten wspaniały tragik był sam postacią tragiczną. Dźwigał na sobie brzemię wielkich powodzeń i niemniejszych docisków losu. Miał na swoim rachunku wielkie sukcesy w dramatach Szekspira, wśród innych w „Juliuszu Cezarze”, w którym jednocześnie grali trzej bracia Boothowie. On, najwybitniejszy z nich uchodził za najlepszego Hamleta wszystkich czasów i grał go sto razy jednym ciągiem, co było rekordem mozolnie pobitym dopiero w następnym stuleciu. Grał razem z wielką Ristori, z Salvini, z Irvingiem, z którym na zmianę odtwarzali Otella i Jaga. Z olśniewającymi triumfami mieszały się w jego życiu bankructwa i klęski. W r. 1873 zbankrutował na zbudowanym przez siebie teatrze, w dziesięć lat później ten teatr noszący jego imię poszedł na rozbiórkę i rzewnie żegnała go towarzysząca terazniejszej wędrowki. Czuł w sobie dziedziczne obciążenie po ojcu — aktorze, gwałtowniku, półwariacie. Pamiętał śmierć pierwszej żony, obłęd najmłodszego brata i drugiej żony, uro-

czej aktorki Mary McVicker. Z tych wszystkich przeżyć najstraszniejsze, najbardziej prześladowcze było wspomnienie drugiego brata Johna Wilkesa, który na przedstawieniu „Our American Cousin” zabił prezydenta Lincolna. Była to dla Bootha, jak jest do dzisiaj, nierozwikłana zagadka: czy u dna tego czynu kłębiła się zapiekła gorycz zawodu, zazdrość o jego sukcesy, chęć zdobycia glorii straszną zbrodnią? Czy John Wilkes był nieudanym artystą czy pomylnym patriotą? Booth zmagał się z tymi pytaniami w bezsenne noce, gdy dudniący pociąg pędził z miasta do miasta.

Choć podczas objazdu zapewne nie było o tym wszystkim mowy, kładło się to na nim smugą przejmującej melancholii. Pani Helena stanowiła zbyt czule medium, żeby nie odrzmić na jej tchnienia idące od człowieka i jego losu. Ale z tym i na przekór temu *tournee* z Boothem odczuwała jako szczyt kariery. Był on cieniem ale cieniem majestatycznym. Obok Irvinga przedstawiał najwyższą klasę szekspirowską i największe doświadczenie w tym trudnym zakresie. Współpraca z nim namaszczała ją jako szekspirzystkę, nadawała ostateczny szlif jej interpretacji uwielbianego mistrza ze Stratfordu.

Obok dramy Lyttona Bulwera „Richelieu” z popisową rolą Bootha i tylko małą, wspierającą rolą Modrzejewskiej, obok „Donny Diany”, sięgającej początkiem jeszcze czasów warszawskich, w której Booth nie występował, grali razem w czterech sztukach Szekspira: „Hamlet”, „Kupiec wenecki”, „Wiele hałasu o nic” i „Makbet”. Wśród nich nowością i największą zuchwałością ze strony Modrzejewskiej, ale znowu zuchwałością świadomą, była ostatnia sztuka. „Od dawna pragnęłam grać Lady Macbeth — oświadczyła dziennikarzom, gdy jej spółka z Boothem doszła ostatecznie do skutku — i ze względu na mnie umieszczono „Makbeta” w repertuarze”. Booth grał go kiedyś z Charlottą Cushman, jeszcze partnerką Macready’ego, nieznętną odtwórczynią Lady Macbeth, maskuliniczną Herodababą, której nie wystarczały co najbujniejsze kobiety szekspirowskie, bo grała również mężczyzn: Romea, Hamleta i kardynała Wolseya.

W tym zestawieniu pani Helena nie mogła odnieść natychmiastowego zwycięstwa: „Jest sentymentalna tam gdzie powinna być tragiczna” — pisał jeden z recenzentów, a Winter wytykał jej „domieszkę elementu ładu”. Ale właśnie ta rola stanowiła naoczne, bo późne świadectwo podrywania się w górę, dorastania w ciągu dwóch dziesiątków lat, ciągłego doskonalenia. Bo właśnie ta postać z białą przepaską wokół głowy, z wstrząsającą sceną somnambulizmu, z niepowtarzalnym gestem ocierania rąk z krwi przeszła do historii i legendy jako najgłębsza tragiczna kreacja Modrzejewskiej. Już w r. 1895 C.E.L. Wingate stwierdził: „Wraz z nazwiskiem Modjeskiej musimy zamknąć wielkie kreacje Lady Macketh dopóki nie zjawi się nowa gwiazda na nieboskłonie teatralnym”.

To był największy zysk ze współdziałania z Boothem, najjaśniejszy rozblysł jej kariery aktorskiej. Streścił się on w jednym zdaniu, które pani Helena przeczytała w czasie tego objazdu z wewnętrznym dygotem: „Pomimo wielkich sukcesów w różnych sztukach, Helena Modjeska jest zasadniczo aktorką szekspirowską...”.

Współgwiazdorstwo z Boothem stanowiło jedyny przypadek w całym wielkim rozdziale amerykańskim. Poza tym, przez trzydzieści lat, była — gwiazdą pierwszej wielkości, światem dla siebie. Dawala imię kompaniom, z którymi jeździła, zajmowała czołowe i wyróżnione rozmiarami miejsce na afiszach (w r. 1890 Karolek chętnie przekazał komuś ich wymiary: „36 stóp długie a wysokie 10 stóp”), była główną siłą przyciągającą widzów. W ciągu tych lat otaczała ją cała galaktyka aktorów znakomitych, pomniejszych i poślednich. W każdym zespole był *jeune premier*, „pierwszy aktor”, zajmujący najbliższe miejsce po gwiazdzie. Z nich zwłaszcza dwaj napraszają się o wywołanie z przeszłości: Maurice Barrymore i Otis Skinner.

„Barry”, Anglik urodzony w Indiach i wykształcony w Cambridge swoje dźwięcznie brzmiące nazwisko teatralne zapożyczył ze starego afisza wiszącego w londyńskim teatrze Haymarket. Młodszy od pani Heleny o lat 7, a lekkomyślniejszy o 700, był jej *leading man* w dwóch objazdach przed graniczną datą 1885 i w dwóch innych tuż po niej. Partnerował jej w sztukach szekspirowskich jako Romeo, Orlando w „Jak wam się podoba”, Orsino w „Wieczorze trzech króli”, grał Maurycego Saskiego z jej Adrianną Lecouvreur i Mortimera z Marią Stuart, Armanda w „Damie Kameliowej” i Clermont-Latoura w „Odette”. Urodziwy, doskonale zbudowany amant-dandys, był bożyszczem kobiet, czarusem, letkiewiczem i birbantem. Lubił dobrą kompanię, nie wylewał za kołnierz, pieniądze przeciekały przez niego jak przez sito, a nieraz leciały z wiatrem jak *confetti*, żeby było zabawniej i weselej. Nie lubił się uczyć roli i z reguły „haftował”, to znaczy opowiadał tekst swoimi słowami. Raz nawet jakoby zaczął pośrodku jednej sztuki grać scenę z innej. Panią Helenę na moment zatknęło ale potem podjęła to wyzwanie z takim ferworem, że wprawiła widzów w zachwyt. Jeśli ta historia nie jest prawdziwa, jest „dobrze zmyślona”, jak mówią Włosi, mogła się zdarzyć naprawdę. Pewnego razu Modrzejewska doprowadzona do desperacji lenistwem i roztrzepaniem Barrymore’a zrobiła mu gorzki wyrzut. „Pani mnie wyprowadziła na ludzi? — odpalił prędko w mowie „pierwszy kochanek”. — Byłem znany w Londynie, gdy ludzie nie wiedzieli czy pani jesteś kobietą czy płukanką do zębów”. (Aluzja do pierwszych afiszów londyńskich, które zawierały tylko nazwisko „Modjeska” metrowej wielkości i wywoływały mieszane komentarze).

Mimo wyraźnej niezgodności temperamentów i przejściowych zachmurzeń, Barrymore’a łączyły bardzo serdeczne stosunki z Chiapowskimi. Pani Helena nawróciła żonę uroczego poganina, zdolną aktorkę Gorgianę („Georgie”) Drew na katolicyzm, do-

prowadziła do tego, że po raz drugi ochrzcili swoje dzieci, Lionel i Ethel. Malutka para bywała w wagonie Modrzejewskiej i zapamiętała te odwiedziny jak zstąpienie do krainy czarów. Wszyscy troje wraz z Johnem Barrymore, który urodził się tuż przed wejściem rodziców do „Modjeska Company”, zostali aktorami, błysnęli w teatrze i na ekranie. Ethel, słynna z talentu i piękności, świadczy, że Rozalinda i Marguerite Gautier oglądane w czwartym roku życia zapadły głębiej w jej pamięć, niż jakakolwiek rola Duse, Sary Bernhardt, Réjane czy Ellen Terry. „Modrzejewska odcisnęła się w moim umyśle i sercu na całe życie i moja wdzięczność dla niej nie ma granic...”.

Po kilku latach współpracy również Skinnerowie utrzymywali bliski związek z panią Heleną do końca jej życia. Po śmierci stała się „patronką rodziny”, przedmiotem dziedzicznego kultu, ciągle żywą legendą. Nie jest to dziwne, jeśli swego „pierwszego kochanka” szczęśliwie skojarzyła z młodziutką debutantką zespołu i osobistą faworytką Maud Durbin. Skinner był tylko o kilka lat młodszy od Dolcia Modrzejewskiego (teraz częściej „Ralph”); miał wielkie, orzechowe oczy, czarne, kędzierzawe włosy, szpakowate pasma na skroniach i bardzo białe zęby, ale — jak sam świadczy — różnica wieku między nim a Modrzejewską uchodziła uwadze. Towarzyszył jej trzykrotnie tuż przed jej spółką z Boothem, wraz z nim i później. Grał role Barrymore’a, był Don Cezarem jej Donny Diany, Benedyktem przekomarzającym się z jej uroczą Beatryczą w „Wiele hałasu o nic”, egoistycznym Henrykiem VIII, łamiącym królową Katarzynę, dwiema rolami w „Kupcu weneckim” towarzyszył jej Porejji, którą nazywa *a thing of radiance and fascination* (czymś promiennym i urzekającym).

Barrymore’owie, Skinnerowie, nawet Booth, nie mówiąc już o szarym tłumie aktorskim, nazywali Modrzejewską tak, jak się niekiedy nazywa królową, królową-matkę — „Madame”. We wspomnieniach jednego z członków jej kompanii czytamy, że w tonie z jakim wymieniano ten tytuł, kojarzyła się „miłość do kobiety i szacunek do artystki”. Nosicielka tytułu potwierdzała go swoim wzięciem. Składały się na nie: łaskawość, życzliwość, dobroć, pewien dystans między sobą a resztą, a przede wszystkim absolutne opanowanie w każdej sytuacji, wobec wszystkich. Kilka razy pani Helena miała stwierdzić, że oboje z mężem odznaczają się krewkim usposobieniem; ponieważ nie mogą unosić się jednocześnie a Karolkowi trzymanie się na wodzy przychodzi trudniej niż jej, nałożyła sobie dyscyplinę powściągliwości. Zmieniła ją w styl bycia na co dzień, w styl osobowości.

Zdobyta pozycja artystyczna i osobista wymierzała się bardzo konkretnie. W objeździe z Boothem widownie w 17 miastach były wyprzedane mimo co najmniej dwukrotnie wyższych cen biletów; w Nowym Jorku, w którym dali blisko 50 przedstawień, bilety rozeszły się na trzy tygodnie przed ich rozpoczęciem. To *tournee* przynosiło Modrzejewskiej 500 dolarów za wieczór. Nie było to najwyższe jej honorarium. Król managerów Daniel

Frohman, okrągły, tłusty, z ognikami w oczach i zmysłowymi ustami, jak sam świadczy, płacił jej 1.750 dolarów tygodniowo i pokrywał koszt wszystkich przejazdów koleją z miasta do miasta i kareta z stacji kolejowej do teatru. Osobiście prowadził *tournee* po powrocie pani Heleny z Anglii w r. 1885 i wywindował ją na najwyższy szczebel drabiny teatralnej. W ciągu pierwszych dziesięciu lat po zamknięciu rozdziału angielskiego jej dochody rosły, zwłaszcza gdy odważała się na własny zespół i osobiste ryzyko. Raz takie *tournee* przyniosło 80.000 dolarów. Dochód tygodniowy z objazdu, który w r. 1884 prowadził Chłapowski jako impresario „Echo Muzyczne i Teatralne” oceniał na 4.000 dolarów „i więcej”. Nie wiadomo czy to prawda: Polaków zawsze interesują cudze pieniądze i często widzą je jakby patrzyli przez szkło powiększające. Wolno przyjąć, że z każdego objazdu pani Helena przywoziła nie mniej, niż 50.000 dolarów. Po jej śmierci jakieś pismo zaryzykowało twierdzenie, że zarobiła w Ameryce około miliona dolarów. Jeśli to nie jest prawda, zarobiła na pewno więcej niż pamiętnego wieczoru w San Francisco wieszczył w natchnieniu pułk. Hinton.

Dochodom, stanowisku, sławie towarzyszył splendor zewnętrzny, bił w oczy wszystkich. W r. 1885 Modrzejewska przyjechała z 65 sakwożaczami i „musiała zaprzysiąc, że zawierają garderobę wartości 20.000 dolarów”. Tej kosztownej góry bagażu — jeśli to wszystko nie było reklamowym humbukiem Frohmana — doglądał „pięknooki paż-Węgier liczący 3 i pół stopy wzrostu”. Po Stanach Pani Helena podróżowała specjalnym wagonem. Był to „miniaturowy pałac na kołach”. W salonie stały półki z książkami, na jego ścianach wisiały angielskie sztychy, na stołach nie brakło kwiatów w kosztownych wazonach. W przedziale sypialnym toaleta błyskała całą konstelacją srebrnych przyborów toaletowych z herbem rodu Chłapowskich i zapewne dziewięciopalkową, hrabiowską koroną. Łóżko pokrywała webowa pościel z haftowanymi monogramami, brokatowa kołdra i futrzana narzuta. Taki sam wielkopański styl panował w pokoju stołowym: szlachetna bielizna, wykwinna porcelana, wyberne jedzenie przygotowane przez polskiego kucharza. Między tymi pokojami poruszała się smukła postać w koronkowych peniuarach, w czerwonym, złoto haftowanym kimono z jedwabiu. Zdobiła sobą przestrzeń, pozowała się po rzeźbiarsku i malarzku na meblach. Jak w wierszu Celi Thaxter: „*Her slender figure's poise flowerlike and fine and full of lofty ease...*”.

Oprócz księcia-małżonka otaczała Modrzejewską cała świta. W r. 1885 była w niej 19-letnia córka Feliksa Bendy („Felcia ładnie wygląda, ciągle jeździ z nami od miasta do miasta”). Kiedy indziej była to któraś z przyjaciółek-wielbicielek: żywa, dowcipna Lu Freeman, czy Joe Tucholsky, zawsze z wdzięcznością pamiętana akuszerka scenicznej angielszczyzny pani Heleny. W r. 1886 Chłapowscy przywieźli z kraju dwie służące i 10-letniego góralczyka Jaśka, nazywanego przez aktorów „Johnny Tata”. Adoptował go Kalikst Wolski i później „odstąpił” Chłap-

powskim, u których pierwszym stopniem jego kariery była lokajska liberia. W r. 1891 nastąpiła nieodwołalna, wierna jak cień „Naścia” i pozostała do końca. Uzupełniał to Murzyn, portier i *butler*; w jednym z listów czytamy: „nazywa się Melvil, jest bardzo brzydki i nosi wąsy”. Cały zespół aktorski był dworem „Madame” i obowiązywał go dworski ceremoniał. Do posiłku południowego czy wieczornego zasiadał „pierwszy aktor” i dwóch członków trupy w kolejnej ważności i jakaś młoda protegowana. W r. 1892 była nią Maud Durbin i jej zawdzięczamy większość tych szczegółów dostrzeżonych oczami pełnymi oniemiałego zachwyty z jakim dzieciństwo patrzy na czarodziejski świat baśni.

Poza pociągiem pani Helena prowadziła życie wielkoświatowe. Bywała, wszędzie miała przyjaciół, adoratorów, znajomych, wszędzie spotykała takich, którzy chcieli ją poznać. W nowojorskim Clarendon Hotel, stałym miejscu postoju, w niedzielę wieczorem, kiedy teatr był nieczynny, wydawała przyjęcia na kilkaset osób. „Towarzystwo — brzmi reporterska precyzja — obejmowało zarówno przedstawicieli cyganerii jak i sfer wyższych”. Gospodyni, geniusz uprzejmości i wdzięku, czarowała je cudownym darem pamiętania twarzy i nazwisk.

Ale cena płacona za te wszystkie wspaniałości była bardzo wysoka. I naprawdę znała ją tylko jedna osoba. Ta, która ją płaciła. Z reguły Modrzejewska miała dwa objazdy rocznie, w najlepszym razie jeden. W sumie w latach 1877-1907 odbyła ich dwadzieścia sześć. Były wśród nich takie, które trwały 9 miesięcy (1886-7) i 7 miesięcy (1887-8); przeciętnie długość tury wynosiła 30 tygodni, to znaczy około 220 przedstawień, 100 dni w wagonie, reszta w kilkudziesięciu hotelach. Najdłużej, do czterech tygodni, występowała, jeśli było powodzenie, w Nowym Jorku. Chicago zatrzymywało ją nieraz na dwa tygodnie, większe miasta na trzy dni, mniejsze tylko na dzień. Zdarzał się wśród nich niejeden wygwizdów i wydmuchów. W notatkach z *tournee* 1889-90 raz po raz wracają wzmianki: „mało interesujące i brudne miasto”. „jeszcze jedna nudna miejscina”, „jeszcze jedna śmieszna dziura”. Nieraz się zdarzało, że w ciągu 6 dni występowała w 5 miastach, że między jednym a drugim przedstawieniem spędzała pół doby w jadącym pociągu (tylko Salvini zbuntował się przeciw morderczemu systemowi i nie grał dwa wieczory z rzędu). Zasięg tych objazdów był rozmaity, mniejszy i większy, ale niektóre przemierzały podkontynent amerykański wszerek, ze wschodu na zachód, od Nowego Jorku do San Francisco i wzdłuż, z północy na południe, od Montrealu do Nowego Orleanu. Gdyby połączyć liniami wszystkie postoje w ciągu trzydziestu lat powstałaby mapa gwiazdna, gęsta sieć, której oka ciasno opłotyłby całą Amerykę.

Te liczby i linie przełożone na monetę wysiłku fizycznego i duchowego oznaczały niebywałą eksploatację siebie. Pozwala ją odtworzyć wyznaczenie Bootha ze wspólnej pracy: „Naprawdę jestem przekonany, że bezustanne podróżowanie bardziej drenaże system nerwowy, niż granie — uważam to za rzecz straszną dla

mego starego kadłuba''. Modrzejewska była młodsza i silniejsza, ale powtarzała to prawie rok rocznie, nieraz dwa razy w roku. Był to przemysł wyżyławujący energię, teatr na taśmie mechanicznej, ciężka próba wytrzymałości.

Doba wstawiona w złote, ruchome, pędzące przez kraj ramy wyglądała mozolnie i szaro. Jeszcze nerwy nie ucichły od rozdygotania przeżyciem roli, gdy ruch pociągu, stukanie kół, przeciągły szum umykającej przestrzeni wprawiał je w nowy dygot. Rano pani Helena zostawała w łóżku do obiadu, jeśli w nowym miejscu postoju, jakieś obowiązki reprezentacyjne, artystyczne lub handlowe, odwiedziny dziennikarzy, próby, narady z przedsiębiorcami nie podrywały jej na nogi. Po obiedzie chwila odpoczynku i teatr, dwa razy na tydzień po południu i wieczorem. Przed północą nowy obrót maszyny nawinięty na tysiące dudniących obrotów. „Ach te nieartystyczne *tourneés* artyści! — pisała Modrzejewska — Nikt kto przez to nie przeszedł, nie ma pojęcia o związanej z tym nudzie, niewygodach i prozie. Mam za sobą trzy tygodnie występów co dzień w innym mieście i wstrząsam się na samą myśl o tym”.

Gdy się zdarzy stanąć w jakimś miejscu dłużej, wydaje się jej to rajem. W dzienniku z 1892 r. notuje: „Milwaukee. Trzy dni. I to trzy dni spędzone nie w wagonie lecz w hotelu... Tak mi tu ciepło, dobrze i miło: pisać będę listy do kraju”. Gdy trzeba znowu ruszyć w błyszczącą włóczęgę, wyrwa się z jej piersi westchnienie: „Na noc, ach Boże, wracam do wagonu”.

To wędrowne życie było także teatrem, teatrem, w którym jak w panoramie przechodziło się od sceny do sceny, od jednego widoku do drugiego. Maud Durbin świadczy, że ten kalejdoskop bawił wytworną wyrobnicę, że cieszyli ją ludzie, obyczaje, zmiany pogody, wspólnie z towarzyszami wędrowki spędzony Sylwester, czasem pomysł w nienajlepszym, jakby preraphaelickim czy secesyjnym smaku: kamelie zerwane na miejscowym cmentarzu, które posłużyły do upięcia girlandy na czarnym, koronkowym płaszczu Damy kameliowej. „Szalenie mnie interesowało wszystko co widziałam” — donosiła w r. 1883 Helenie Gilder. Ale w kilka lat później przed kimś innym usprawiedliwiała się z długiego milczenia: „Byłam tak zajęta i tak zmęczona, że w wolnych chwilach myśli zebrać nie mogłam, tylko jak nieżywa rzucalam się na sofę, aby na chwilę odpocząć...”. Musiały ją nachodzić i nachodziły okresy oschłości, ośpienia duchowego, osłabnięcia wrażliwości. Wtedy stawiała się tylko maszyną do grania, jak jej wagon był maszyną do pokonywania przestrzeni. Nieraz czuła się jak Odyseusz, myślała z tęsknotą o domu rodzinnym, o spokoju, o ciszy: „Wolałabym nie mieć sławy a wzamian za to dom pełen kochających, bliskich ludzi”.

W tym wszystkim udręka udęk, biczowanie nerwów, gimnastyka narzędzi artykulacyjnych zaczynała się dopiero z chwilą stanięcia na scenie. „Trzeba iść na próbę — pisała do Estreichera z Leeds w 1880 r. — i nie z kopią w ręku ale torturami języka i jękami duszy zdobywać nie zamki ale serca często

zinniejsze od kamieni...". Obcy język późno przyswojony, wyjątkowo trudny fonetycznie, atakowany w najwyższych rejestrach poetyckich, nigdy nie przestał być problemem. Zrazu był problemem palącym. Już grając po angielsku, pani Helena miała trudności w potocznej rozmowie, co może wskazuje, że była fenomenem pamięci i przeżywania aktorskiego. Joseph Gilder opowiada, że po pierwszym nowojorskim przedstawieniu „Adriany” poszedł za kulisy i w uniesieniu zachwytu dla gry Modrzejewskiej, dla niej samej, pocałował ją w rękę. W odpowiedzi usłyszał coś co brzmiało: *That's foolish!* i było spowite w najczarowniejszy z uśmiechów. Zacerwienił się po czubki włosów i pewnie przebiegła mu przez głowę myśl o wschodniej przewrotności, gdy usłyszał wymówione wolniej i dobitniej: *That is Polish!* Kiedyś indziej zaproszona do wzniesienia toastu, uniósłszy kieliszek w górę i zarzuciwszy oczy w przestrzeń pani Helena powiedziała z najgłębiej liryczną intonacją: *To my Coun — tree!*

Z czasem ustąpiły te jaskrawe przypadłości, ale cudzoziemski akcent nie zniknął nigdy. Nie ma prawie wzmianki, recenzji, oceny, która by nie dotyczyła drażliwej sprawy. Anglicy byli w tym względzie surowi i bardziej wymagający od publiczności z amerykańskiego tygla stapiającego wszystkie języki. W r. 1882 jedno z pism londyńskich utrzymywało, że wymowa pani Heleny pogorszyła się od jej debiutu jakoby aż do niezrozumiałości. Angielski adaptator „Odetty” kazał jej być cudzoziemką, a Bancroft określał akcent wykonawczyni tej roli jako *a fascination*. Pogodzono się, że stanowi on składnik jej osobowości, jeden z promieni jej czaru.

Pani Helena nieprędko się z tym pogodziła. „Co raz bardziej czuję — pisała do amerykańskiej przyjaciółki w r. 1881 — w jak niewielkiej mierze potrafię zrobić coś dobrego, grając w obcym języku. Im więcej gram w ten sposób, tym bardziej odczuwam niedoskonałość mojej gry”... Jeszcze w r. 1907 wyznała jakiemuś dziennikarzowi: „Po tylu latach byłoby mi o wiele łatwiej grać po polsku”. A grała po angielsku lat 30. Wspominając słowa Bootha można przypuścić, że granie drenało ją w równym, w równie rabunkowym stopniu jak zmechanizowana włóczega. Tym bardziej, że, jak świadczy Frohman, Modrzejewska była aktorką nadwrażliwą, przejmowała się odtwarzanymi postaciami, ich losem, kolorytem ich życia, nastrojem ich duszy, że opanowywały ją one na długo przed wyjściem na scenę, że nie mogła się od nich wyzwolić po skończonym widowisku. Jednego wieczoru, w którym pani Helena grała Marię Stuart, Frohman zastał ją w garderobie leżącą na podłodze i rzewnie płaczącą.

Napięcie wędrownego życia, wysiłek grania w obcym języku wielkich, trudnych ról zapewne sprawił, że uciekała się do sztucznych podniet. Nie jest wiadomo czy paliła papierosy przed wyjazdem z kraju. W Ameryce młodziutka Maud Durbin wezwana na audiencję ze zdumieniem, prawie zgrozą zobaczyła,

że bóstwo pali i to jak pali! Papieros tkwił w złotej klamercie, którą taki sam łańcuszek łączył ze złotą obrączką umocowaną na grzbiecie wskazującego palca. Z papierosami szły w parze inne używki: herbata i kawa; pani Helena miała swój sekret zaparzania „mokki”. Nie gardziła również alkoholem, choć jego użycie na pewno umiała oprawić tak samo ozdobnie jak gest palenia papierosa, nadać mu styl nie naruszający nieskazitelnie wystylizowanej, wielkopańskiej sylwetki.

Cienie idące za blaskami schodziły głębiej, roztaczały się szerzej. Z bogatym repertuarem szekspirowskim zdobytym w Ameryce kontrastuje ubóstwo ról innego rodzaju. W ogóle tryb eksploatacji artystycznej, któremu Modrzejewska uległa, nie sprzyjał pomnażaniu zasobu repertuarowego. Na cały okres amerykański przypada niewiele ponad 30 sztuk w stosunku do 200, które opanowała w o tyle krótszym okresie poprzednim. Z ról nie-shekspirowskich największe powodzenie miały: Odetta którą zestawiano z Otellem Salviniego, Kamilla czyli „Dama kameliowa”, Frou-Frou i najbardziej długowieczna kreacja sceniczna pani Heleny, Maria Stuart. Już nie Adrianna. Frohman twierdzi, że grała ją tylko na jego nalegania; miał z nią taki układ, że za jedną Rozalindę dla publiczności, zjawiała się jedna Adrianna dla niego.

Te wszystkie *best-sellery* — z wyjątkiem jednej „Odette” — wchodziły już zresztą do przedamerykańskiego repertuaru pani Heleny. To że w Ameryce rozszerzał się on opornie i nieznacznie nie było sprawą przyswajania nowych partytur. Ostatecznie przyswoiła sobie tyle trudnych ról szekspirowskich. Królową Katarzynę, pierwszą żonę Henryka VIII, zagrała licząc 42 lata, do Kleopatry sięgnęła z olbrzymim powodzeniem, po długiej chorobie, w 58-ym roku życia. R.W. Gilder który przez całe lata nakłaniał przyjaciółkę do zagrania tej roli, zapisał takie cudze wrażenie: „Kiedy Modrzejewska jako Kleopatra powiedziała o Antoniuszu, że zobaczyła majestat, czuło się, że rzeczywiście go zobaczyła ale w sobie”.

To zacieśnienie repertuaru miało przyczynę w żądaniach widzów, w ustroju życia teatralnego. Booth przez lata nie przyswajał sobie żadnej roli, bo publiczność chciała go oglądać tylko w tych, które się ciągnęły za nim rozgłosną famą, były jego popisowymi ariami. To samo dotyczyło pani Heleny. „Niestety nie mogę grać nic nowego, — pisała do Wolskiej w 1896 r. — bo mnie tylko lubią w Marii Stuart Szekspira (znamienny *lapsus calami*, zamiast: Schillera) i w Magdzie Sudermanna; każda nowa sztuka pada”.

Inny powód wskazała publicznie w r. 1892: „Większość sztuk teraz pisanych powstaje na zamówienie poszczególnych gwiazd; są to sztuki o jednej roli, niby lepiej lub gorzej doposażone suknie”. Pisała to nagannie, ale sama ulegała tej praktyce i padała jej ofiarą. Sztuki-„suknie” krojone na nią z reguły źle leżały. W żadnej z nich pani Helena nie czuła się dobrze, jak bywało, czuła się w strojach obmyślanych wspólnie z panem

Karolem, dostrojonych do jej osoby, dobranych do jej smaku.

O sztukach z lat przed Londynem właściwie nie warto mówić. Jedna z nich nazywała się „East Lynne” (*written for and played only by Modjeska* — jak głosił afisz). Nie bardzo wiadomo kto ją począł i gdzie pani Helena się w nią wcieliła, wiadomo tylko, że nazywała ją „Beast Lynne” — do tego stopnia jej nie cierpiała. Usiłowania podjęte po Londynie były może mniej „bestialskie” czy „bestiowate”, ale niemal tak samo chybione.

Sztukę „Nadjezda” skrocił dla Modrzejewskiej czarujący i lekkomyślny partner Barrymore. Nie licząc „zupełnie nowych dekoracji, nowej maszynerii, nowej muzyki”, dwóch cytat z „Child Harolda” i „Mazeppy” Byrona był to efektowny popis aktorski. W prologu pani Helena (licząca wtedy 44 lata) grała starszą kobietę, matkę bohaterki, w trzech następujących po nim aktach, burzliwych, obciążonych aż nadmierną komplikacją wydarzeń i uczuć, występowała jako jej córka. Obie były Polkami, oczywiście miały tytuł hrabiowski, nosiły polskie nazwisko Bałińskich i imiona... Nadieżda i Nadina. Nie można wyjść z podziwu, że Modrzejewska, przecież żarliwa patriotka, zgodziła się na podobne głupstwo, nie przekonała Barrymorea, że żadna polska hrabina ani pospolitatczka nie noszą takich imion. Było to chyba ustępstwo dla „pierwszego aktora” o autorskich ambicjach.

O „Księciu Zillah”, który, jak się zdaje, był pomysłem Frohmana i przeżył tylko jeden objazd prowadzony przez niego, zachowała się anegdota — o psach Bruno i Hugo. Bohaterka sztuki (Modrzejewska) w pewnej chwili melodramatycznie szczuje swego krzywdziciela psami. Do tego efektu trzymano w kulisach jakieś dantejskie potwory (*large boar-hounds* — wielkie psy/myśliwskie), głodzone przez cały dzień i w odpowiedniej chwili spuszczano je ze smyczy. Z wściekłym ujadaniem sadyliły przez scenę w stronę kulis po drugiej stronie wiedząc, że czekają tam półcie surowego mięsa.

Nie utrzymała się też skomplikowana bujda miłosno-polityczna rozgrywająca się w Rosji „Countes Roudine”, którą spółka autorska Minnie Madern Fiske (dobra aktorka) i Paul Kester napisali specjalnie dla Modrzejewskiej. „Hrabina”, *titled actress* grająca hrabinę o dźwięcznym imieniu Liana — cóż może być bardziej amerykańsko-reklamowego? Widać może, bo to chybiło celu.

Z niewiadomych powodów nie osiągnęła go ambitna próba rewolucyjnej powieści Balzaca „Szuanie”. Pani Helena grała w niej szlachetną arystokratkę, oceny były sprzeczne, rzecz nie weszła na deski prowincjonalne podobno z powodu wielkich kosztów wystawy.

Modrzejewska usiłowała wziąć inicjatywę w tym zakresie w swoje słynnie piękne ale energiczne ręce, podobnie jak to zrobiła z utworami Szekspira. Po warszawskiej próbie „Nory” Ibsena w r. 1882 zmieniła jej imię na „Thora” i przeniosła

na krótko i bez powodzenia do Ameryki. Tyle tylko, że zapisała ją to jako pierwszą ibsenistkę polską i amerykańską. Dziesięć z górą lat później podjęła podobne usiłowanie z naturalistyczną „Magdą” Sudermanna, wyidealizowała ją po swojemu, dobyte dla niej sukcesy, ale grała ją tyle samo w Polsce co w Ameryce. Zaćmiły ją w tej roli Bernhardt i Duse, grały ją w Londynie jednocześnie, wywołując głośnie spory i podziały. O jeszcze jednym czy drugim eksperymencie z demokratyczną „Mistress Betty” czy feudalną „Marią Antoniną” można nie mówić. Nie można mieć wątpliwości, że ta karta jej życia i kariery obróciła się w ciemną stronę.

W miarę przedłużania się pobytu w Stanach wszystkie ciemnie zderzające się z blaskami stawały się coraz głębsze. Sprawiał to ogólny rozwój teatru amerykańskiego. Obudzony późno, na zachodzie dopiero w drugiej połowie XIX w., szybko zsunął się w koleiny odmienne od tych, którymi toczyły się dzieje scen europejskich. Za życia Modrzejewskiej przechylał się ku coraz bardziej trywialnej komercjalizacji. Mnożyły się imprezy objazdowe, gwiazdorskie i pseudogwiazdorskie bardzo podłego gatunku: wędrowni pani Heleny należy sobie wyobrazić w takiej otoczce. Zresztą gdy nie ona sama kompletowała zespół i nie sama nim kierowała, także przedsięwzięcia, którym przydawała świetności swoim nazwiskiem, swoją sztuką, swoją niekiedy przygasającą żarliwością twórczą bywały również liche. „Bardzo często — czytamy w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „The New York Times” w r. 1889 — musiałam grać z ludźmi, którzy niemal nie znali tekstu swoich ról, nie mówiąc już o grze i wtedy zdałam sobie sprawę jaka to ciężka praca”. Ale wzięcie na siebie zachodu i kosztu także opłacało się tylko w osobistym zadowoleniu: „Moje interesy szły równie dobrze z najgorszym zespołem, jaki miałam, co i z najlepszym”. Publiczność była niekrytyczna i obojętna.

Im bardziej w głąb amerykańskiego okresu Modrzejewskiej, tym tło, na którym działała, stawało się mroczniejsze, posępniejsze. Było to skutkiem postępującej kartelizacji teatrów. Wprzód powstawały przedsiębiorstwa przerzucające to samo widowisko z miasta do miasta. Potem zaczęły wyrastać syndykaty, kartele, monopole. Skupiały one w swoich rękach sceny w rozmaitych miejscowościach i eksploatowały je przedstawieniami krążącymi jedno za drugim po tych samych szlakach. Niekiedy taka seria trwała dwa lata, przeobrażała aktora w robota, sztukę w wyżyty z żywej krwi preparat. Stałe kompanie — jeszcze w San Francisco i Nowym Jorku pani Helena grała z takimi kompaniami — zaczęły zanikać. Budynki teatralne przestały być domami, którymi ktoś gospodaruje, stały się zajazdami, w których się przystaje na krótki, interesowny postój. „Nie widziałam nigdy tyle kurzu, ile tutaj za kulisami” — zapisała Modrzejewska w Milwaukee w r. 1892. Także „gotowalnie” czyli garderoby były brudne i nieprzytulne: „To jest najprzeczniejsza strona naszego wędrownego życia — czytamy w dzien-

niku — a parogodzinne siedzenie w takiej wstrętnej jamie rozstraja mi nerwy”.

Pani Helena zaczęła się buntować przeciw temu wszystkiemu bardzo wcześnie. „Takie życie, jakie obecnie prowadzę nie jest dla mnie” — stwierdzała w liście do Faleńskiej już w grudniu 1877. Pierwsze narzekania na system gwiazd, na tryb pracy w Ameryce zjawiły się w r. 1883. W tym roku zapowiedziała *tournée* pożegnalne, porzucenie Stanów, występy w wielu krajach i otwarła sobie taką perspektywę: „A następnie osiedlę się we własnej ojczyźnie, gdzie mogę grywać trzy razy w tygodniu i mieć trochę czasu na coś innego”. Potem przez dwadzieścia kilka lat wiele razy ogłaszała *farewell tour*. „Tego roku — informowała Wolską w 1896 i brzmi to tonem niepodważanej szczerości — gram pierwszy pożegnalny tour, na przyszły rok będzie ostatni... Zaczniemy w Chicago i posuniemy się aż do San Francisco, gdzie odegram moje ostatnie przedstawienie tak, jak tamże odegrałam pierwsze na scenie amerykańskiej”. Naprawdę pożegnała się z Ameryką i sceną amerykańską dopiero w r. 1907. Ten powrotny rytm zapowiadanych i niedotrzymywanych rozstań był znakiem świadomości, że jałowiej artystycznie, że kończy się fizycznie, próbą wyrwania się z więżącego ją kręgu. Z czasem stał się także „trickiem” reklamowym, częstą składową zabójczego, nienawistnego stanu rzeczy.

Na szalę walki z nim Modrzejewska rzuciła swój wielki autorytet, blask swego imienia. „Sztuka zakryła twarz i uciłchła wstydząc się za tych, którzy w ten sposób przestali być kapłanami jej ołtarza a stali się komiwojażerami sztuki” — pisała patetycznie w artykule ogłoszonym na łamach „The Forum” w r. 1892. Stała się adwokatką teatru subwencjonowanego na wzór Comédie Française, wiedeńskiego Burgtheater, scen rządowych w Warszawie. Był to powrotny motyw jej licznych wystąpień. Zapatrzona we wzory europejskie myślała wprzód o mecenacie państwowym. „Teatry utrzymywane przez państwo — mówiła w r. 1888 — dobrze by służyły zarówno publiczności jak aktorom”. Potem, we wspomnianym artykule, który nosi tytuł „The Endowed Theatre and the American Stage” usiłowała pobudzić mecenasów prywatnych; pamiętała ich przecież z Krakowa swojej młodości. Gromadziła wszystkie argumenty dotyczące twórczości dramatycznej, sztuki aktorskiej, wpływu moralnego na widzów, przemawiające za pieniężnym wspomaganie teatru. „Dzisiejsza scena zamiast prowadzić do wyszlachetnienia i wyższego pojmowania sztuki, powoduje się jedynie względami atrakcyjności a jej najwyższym celem jest pełna kasa...”.

Napomnienia i apele znakomitej cudzoziemki były głosem wołającego na puszczy. Reforma teatru amerykańskiego nie powiodła się pani Helenie tak samo, jak przed laty reforma scen warszawskich. Po manifestie w „The Forum” sprawy szły raczej ku gorszemu niż ku lepszemu. W cztery lata po nim powstał sławnej i niesławnej pamięci Syndykat Teatralny,

pierwszy wielki kartel sześciu (był wśród nich dawny dwukrotny „manager” Modrzejewskiej Al. Hayman i jeden z trzech Frohmanów, Charles, który również prowadził jedno jej *tournee*). Praktycznie trzymali oni w rękach wszystkie teatry i żaden z tych teatrów nie udzielał gościny nikomu, żadnemu aktorowi, żadnemu zespołowi, który nie był na ich żołdzie. Wywołało to burzę. Ogarnęła ona również panią Helenę, choć nie doszło z nią do tego do czego posunęła się Mrs. Fiske, współautorka „Countess Roudine”. Najbardziej nieprzejednana w otwartym buncie grała ona w namiotach i boiskach dla jazdy na wrotkach. Później wynurzył się drugi trust teatralny klanu Shubertów. I te dwie ośmiornice zmagaly się z sobą w bezlitosnej walce.

Modrzejewska nigdy nie doczekała się urzeczywistnienia pragnień, żeby zostać *leading lady*, czołową aktorką stałego, doborowego zespołu, stałego teatru subwencionowanego. Pierwszy taki teatr powstał w Nowym Jorku dopiero wtedy, gdy dobiła już do drugiego brzegu. Pamiętał, że „Madame Modjeska” była głosicielką wcielanej przez niego idei, zaprosił ją do kierownictwa i na występy. Mogła odpowiedzieć tylko błogosławieństwem, które poniosło niezbyt daleko, bo i ten teatr wkrótce się załamał. „Mniejsza o to, — pisała z ostatniego ziemskiego postoju — że mnie sił już nie staje, by pośpieszyć na wezwanie... Jestem szczęśliwa, że może kiedyś artyści amerykańscy będą z wdzięcznością wspominali moje nazwisko, gdy otworzy się pole do służby prawdziwej Sztuce i do rozwoju wrodzonych talentów”.

Bardziej gorzkie od tego niedopełnienia było inne — niedopełnienie siebie jako artystki obu światów: Nowego i Starego. W Nowym los jakby aż nazbyt usłuźnie mościł jej drogę. W r. 1880 umarła — ledwie przekroczywszy trzydziestkę — Adelaide Neilson, która pięć lat wcześniej przyjechała z Anglii, zdobyła olbrzymią popularność jako czarująca młodością, żywotnością, żarem Julia Kapulet i prawie tak samo zjawiskowa Viola. Zaraz potem choroba zagroziła drogę do sceny Kandyce Klarze Morris, aktorce dość prymitywnej ale mającej niezwykłą zdolność wzruszania widowni. Młodsze, Ada Rehan i Minnie Maddern Fiske, nie były niebezpieczne. Pierwsza ciążyła przede wszystkim do komedii, rozstawiła się rolą Katarzyny z „Poskromienia złoŹnicy”, która nie leżała ani w możliwościach, ani w upodobaniach pani Heleny, choć w r. 1883 miała zamiar ją grać jak myślała nawet o... „Kumoszkach z Windsoru”. Druga, pełna wdzięku i inteligencji, temperamentu bojowego i ambicji, była głównie aktorką współczesną, propagatorką Ibsena i realizmu, zaczęła występować po dłuższej przerwie wtedy, gdy Modrzejewska minęła już swój zenit. Mogła być jej rywalką Julia Marlowe, Angielka wychowana w Stanach, aktorka romantyczna, znakomita szekspirzystka, ale na szczęście urodziła się blisko trzydzieści lat później, Lady Macbeth zagrała po raz pierwszy dopiero w rok po śmierci pani Heleny. Cudzoziemki także nie liczyły się jako konkurentki. Fanny Janushek zaczęła

grać po niemiecku, jej angielszczyzna była zawsze gorsza od wymowy Modrzejewskiej; Niemka-Czeszka biła Polkę potencjałem energii, nie mogła się z nią równać subtelnością i rasowością; pisano o nich, że jedna jest strzelistą kolumną koryncką, druga — masywną kolumną egipską...

Jeśli koniunktura w Ameryce była tak sprzyjająca, w szerszej, nie amerykańskiej skali mogła się pani Helenie wydać sprzysiężeniem złych mocy. Wywiad ogłoszony w początkach 1884, jeśli nie jest bluffem reklamowym, wskazywałby na to, że po Anglii i Ameryce Modrzejewska zamierzała sięgnąć do Azji, sokołdować całą Europę. Miała grać w wielu krajach po polsku, angielsku i niemiecku. Otrzymała wówczas jakoby konkretną propozycję z Berlina. Takie możliwości istniały i były precedensy. Booth grał w Niemczech po angielsku z kompanią niemiecką i uważał to za najwyższe wzniesienie w swojej drodze aktorskiej. Tymczasem Modrzejewskiej od pobytu na wyspach brytyjskich nie udało się rozszerzyć pola ekspansji artystycznej poza jednym krótkim ale triumfalnym pobytem w Pradze w r. 1891. Sama stwierdziła, że należał on do „najbardziej radosnych w jej karierze”: noszono ją na rękach, bito przed nią czołem, przyjmowano z ceremoniałem należnym monarchini, wielki poeta Vrhlicky zwrócił się do niej z apostrofą „Królowo Piękna”.

Wszystkie inne plany, projekty, próby zmierzania się z krajami macierzystego kontynentu zawiodły. „Jeżeli będzie można — pisała do Wolskiej w lecie 1891 — przyjadę do Paryża z trupą angielską na przyszły rok, bo chcę także odbyć z Szekspirem podróż po Niemczech”. W tym roku szły również rokowania z wiedeńskim Carltheater o występy po angielsku z angielskimi partnerami. Raz po raz otwierała się perspektywa grania w Petersburgu; z tej strony jedna oferta gonila drugą. Ostatecznie nic z tego wszystkiego nie wyszło. Nad występami petersburskimi zaciążyły okoliczności polityczne. Inne wyloty zagwoździła nieudolność impresariów, tępota przedsiębiorców, jakby bierny opór materii.

Rozstrzygająca przyczyna wszystkiego tała się jednak chyba w samej Modrzejewskiej. Wyrwawszy się z ojczystych opłotków stała się — co sam Koźmian nazwał po imieniu — w przeciwieństwie do „artystki krajowej”, Hoffmannówny „artystką światową”. Ale na inny sposób, w innej skali, pozostała zjawiskiem prowincjonalnym. Ameryka była wtedy jeszcze prowincją, gigantyczną, wprawioną w ruch jednostajnie przyspieszonego rozwoju, ale prowincją. Chwyliła ją w tryby swojej morderczej rutyny, uprzemysłowiła, eksploatowała żarłocznie jak bezcenną żyłę. Zamknęła rajskiego ptaka w złotej klatce.

Pani Helenie brakło łuta szczęścia w przeniesieniu swojej sztuki w inne światy, ale jakaś część winy obciążała ją samą. Była zaprzęgnięta robieniem majątku, nie chciała inwestować pieniędzy i wysiłku w występy na kontynencie europejskim jak inwestowała je w występy na wyspach brytyjskich, uważała się za wielką na tyle, że nie chciała się prosić, oczekiwała, żeby ją

proszono, spodziewała się, że każdą jej chęć powita skwapliwa, uszczęśliwiona gotowość. Była to pomyłka, bodaj jedyna nie-
trafna ocena siebie.

Stąd pochodzi, że historia życia aż do Londynu pełna lwich skoków, poderwań w górę, od r. 1885 biegnie linią prostą; punkty wspięcia znaczą na niej tylko nowe role szekspirowskie, etapy drugiej bitwy o Szekspira. Przedtem były błyskawice woli, teraz przede wszystkim — wysilone, drenujące napięcie. Jest to zapewne złudzenie. Zapewne i w okresie amerykańskim linia życia falowała, znaczyła przypływy i odpływy, wahnięcia w dół i w górę, ale nie było w niej wydarzeń tej ważności, co debiut w Warszawie czy debiut w San Francisco, takich dramatycznych zrywów, jak postanowienie wyjazdu z Warszawy, takich wznie-
sień do apoteozy, jak pobyt w Polsce w 1879-80 czy takich trud-
nych zwycięstw, jak występy w Londynie. Teraz blask i cienie równoważyły się tak dokładnie, że z daleka robią wrażenie jed-
nolicie świetlistej szarości, zaciągają kilka dziesiątków lat poko-
stem monotonii błyszczącej, ale monotonii.

W Ameryce Modrzejewska przegrała pojedynek z Sarą Bernhardt. Wszystkie zachowane świadectwa przemawiają za tym, że instynktowne odczucie doznane przez panią Helenę w garderobie londyńskiego Royal Court Theatre trafiało w sedno. Nie była gorsza od „boskiej Sary”, była jej co najmniej równa. Porównań przeprowadzonych przez Polaków i cudzoziemców doszedł nas bezlik. Z dwóch najsurowszych krytyków amerykań-
skich Winter stawiał Modrzejewską wyżej niż Bernhardt, inny, Towse, uważał, że pani Helena nie dorastała Sarze w tragedii, ale jej dorównywała, a nawet przewyższała ją w komedii.

W tym na ogół korzystnym dla Modrzejewskiej wyniku porównań niekorzystne jest to, że Bernhardt znacznie rzadziej porównywano z polską rywalką. Powiedzenie pani Bancroft do Forbes-Robertsona na londyńskim występie Sary: „Widzieliśmy już lepszą „Damę kameliową” — nie upowszechniło się po prostu dlatego, że materiał porównawczy nie był jednaki po obu stronach.

Modrzejewska nie uległa współzawodniczkom w kraju, wy-
trzymała rywalizację w Ameryce (także z Sarą, która od 1880 r. wiele razy odwiedzała sceny amerykańskie), przegrała ją na scenie świata ale tylko dlatego, że jej nie podjęła. To żeby mogła wydać pojedynek na gruncie języka rywalki, nie wcho-
dziło w rachubę. Można być aktorem dwujęzycznym jak Modrze-
jewska, jak Bogumił Dawison, aktor polski i niemiecki, jak Charles Fechter, aktor francuski i angielski; trudniej sobie wyo-
brazic aktora wielojęzycznego. Prawie niepodobieństwem jest zdo-
bywać trzeci język teatralny w dojrzałym wieku.

Dramatyczność tkwiła w czym innym: w tym, że Modrze-
jewska ustąpiła pola jedynej godnej siebie rywalce, że poza Lon-
dynem właściwie nie stanęła z nią do bezpośredniego współza-
wodnictwa. Sara królowała w Paryżu, kulturalnej metropolii
świata, trzymała w nieprzerwanym uścisku swojej magii Londyn,

stolicę Imperium, występami objęła niemal wszystkie kontynenty, niezliczone kraje. Pani Helena pozostała do końca gwiazdą amerykańską.

Przegrana do Sary Bernhardt oznaczała przegraną do młodszej o 19 lat Eleonory Duse. I ten obrót rzeczy nie był bynajmniej nieuchronny. Gdyby w okolicach 1890 r. Modrzejewska stała równie mocną stopą na kontynencie europejskim jak na kontynencie amerykańskim, sprawa obróciłaby się inaczej.

Pani Helena zobaczyła Eleonorę za jej pierwszym pobytem w Ameryce w r. 1890. Zdaje się, że poznała ją wtedy i jakby niezupełnie doceniła. „Jest nadzwyczajna! — czytamy w liście do Marii Chłapowskiej. — Chociaż ja zawsze admiruję Sarę Bernhardt więcej. Duse jest trochę naturalistką i filozofką i trochę zanadto obrachowuje swoje efekta”. Ta enigmatyczna, smukła, ciemnooka i ciemnolica Włoszka, rzeźbiąca swoje postaci z ognia, obdarzona głosem o olbrzymiej skali od spiżowego dźwięczenia do wstrząsającego szeptu, zdolna do woli pałać rumieńcem i oblekać się bladością śmierci, miała już za sobą „Damę kameliową”, namiętą, płomienną, wulkaniczną. Świadomie przeciwstawiła ją kreacji Sary, chyba nieświadomie również postaci stworzonej przez Modrzejewską. Po triumfach w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku Duse, córka i wnuczka wędrownych aktorów, stała się „namiętą wędrowniczką”, nie założyła domu, grała wszędzie, szczególnie lubiła występować w Wiedniu, tak bliskim kraju lat dzieciennych i dziewczęcych rojeń pani Heleny, tak nieosiągalnym teraz.

Bernhardt i Duse ciągle się ścierały, były razem na widowisku, w Londynie grały te same role w jednym czasie. Zrosły się z sobą. Dla współczesnych, zwłaszcza Amerykanów, Modrzejewska tworzyła z nimi „znamienite trio”. W tej samej linii wymienił je Daniel Frohman, przy czym tylko nazwisko pani Heleny opatrzył przydomkiem „Madame”. Jeszcze w r. 1936 Skinner jednym tchem wyliczył trzy wielkie aktorki swego pokolenia: „pełną temperamentu, wybuchową Bernhardt, Duse o oczach pełnych melancholii, i podobną do królowej Modjeską”. Znakomita aktorka angielska Sybil Thorndike w pół wieku po śmierci Modrzejewskiej stwierdziła publicznie, że nie potrafiłaby rozsądzić który z tych trzech kobiecych geniuszy aktorskich był największy. Ale w świadomości powszechnej przetrwały do dzisiaj tylko Sara i Eleonora.

To jest największa klęska pani Heleny, błyszcząca nędza jej amerykańskiego gwiazdorstwa.

Tymon TERLECKI

Popatrzcie, proszę, na Barbarę

Tęsknotami się człowiek, wiadomo, nie nakarmi. Wykopywać co raz w cudzej zagrzebanej ziemi psu na buty się nie zda. Nos wytrzeć, żakiet obciągnąć, no i już, lewa prawa, naprzód, gdziekolwiek się tam nie idzie i tyle. No, nie?

Tymczasem, popatrzcie, proszę, na Barbarę — czysty śmiech! — na moją głupią Barbarę, i po co się w nią wklepałam sama nie wiem, licho nadało.

Całymi dniami sobie człowiek język strzępi z babiszcami — „Skróćmy troszkę paznokcie? Jaki kolor lakieru dzisiaj? Ten niebieski ton włosów to wprost wymarzony dla pani!” — nie, jakby jeszcze było mało, jeszcześmy niejedną noc do białego przegadały w niekończących się siłowaniach. Żadna swojej racji przeprzeć nie mogła, jak ci zapaśnicy na telewizji, słowo daje, trochę śmiech, a trochę rozpacz, a trochę nudno.

Mówiłam, prosiłam, tłumaczyłam.

— Nie jedź! Po co ci to? Dobrego nie znajdziesz, a złego nie wyzywaj. Żle ci tu czy co? Mieszkanie mamy miłe; posadę masz dobrą, nie tak jak ja co cały dzień paznokcie szlifuję; dobrze nam się ze sobą mieszka, to też błogosławieństwo co nas przed samotnością broni; pieniędzy nam się nie przelewa — zwłaszcza odkład zaczęłaś każdy cent ścibić na tę twoją podróż — ale nie tylko koniec z końcem wiążemy, jeszcze i innym możemy pomóc. No, więc po co ci to? Nie jedź! Nie kuś życia! Bój się Boga, Barbara, czy ty myślisz, że świat stanął w 39 roku? Dwadzieścia lat... Jak to głęboko trzeba kopać, żeby się człowiek dokopał samego siebie sprzed 20 lat! I po co? Czy warto? Czy siły starczy, żeby potem z tego grobu rozwartego wyleźć? Barbara...

Barbara kończyła każdą dyskusję: *I don't care...* I to było

śmieszne, bo jeśli która z nas mieszała angielskie słowa, to już raczej ja, a nie ona.

A co dwa tygodnie, na *payday*, biegła do First National Bank i dokładała na książeczkę. Kiedyś nawet wpłaciła 50 dolarów naraz i dała jej w nagrodę sześć szklanek z inicjałem, więc piłyśmy wodę — a od gości Coca Colę — elegancko, dopóki nie rymnęłam tacką w podłogę i nie zbiłam czterech szklanek za jednym zamachem.

Na te wszystkie oszczędzania patrzyłam krzywym okiem. Nim się ten szal zaczął, planowałyśmy kupienie dywanu do salonu, nowych firanek, może nawet nowego Falcona, żeby móc wyjeżdżać na weekendy na wycieczki. Teraz wszystkie te plany rozłożyły mi się w oczach, trudno mi się było z tego cieszyć. Co gorsze, bałam się, że całe nasze życie tak mozolnie budowane od nowa też się rozpadnie. Ale nic nie mówiłam, bo myślałam sobie: każdego czasem chwyci. Im bardziej człowiek w głębi ducha rozumie, że o fikcji marzy, tym mocniej się czepia tego w co może tknąć palcem. Tak mój mąż kiedyś z lotniczej gaży skupował ekwipunek „konieczny” do szukania fortuny w Australii. Spiwory nie spiwory, cudeńka obozowiskowe, sama już nie wiem co. Kiedy wyjeżdżałam z Anglii, po śmierci męża, wszystko to tak i zostawiłam na kupie, nieruszone, na zniszczenie.

Nic i Barbarze nie mówiłam, mojej Barbarze, którą serdecznie pokochałam przez te wspólne lata. Los nas rzucił ku sobie, dwa rozbitki, i salwowałyśmy odtąd razem co się udało wynieść z nieważnej w perspektywie świata katastrofy naszych żyć.

Więc zaczęło się od biegania z każdym centem do banku, na książeczkę. Skończyły się nasze czwartkowe wieczory, kiedy po pracy spotykałyśmy się na filiżankę kawy i trzypiętrowe sandwiche Mighty-Mo w Hot Shoppe'ie, a potem szłyśmy po wyprzedażach, szukając okazji, mało co kupując, ale wracając do domu nasycone samym oglądaniem, jak kucharka syci się, nie jedząc, woniami wymykającymi się spod pokryw garnków. Za to co czwartek teraz Barbara wspominała swego gimnazjalnego prefekta i jego rady: „Z pokusami, broń Boże, nie walczyć! Lepiej od razu w nogi!”. I zamiast się cieszyć łąskami u Lord & Taylor, pantofelkami jak orchidee u Allena, gładkim lśnieniem *teak'u* na smukłych duńskich mebelkach w Modern Decor — wracałyśmy do domu jeść coraz więcej klusek i coraz mniej befszyków. Przed spaniem Barbara, w papilotach, w pidżamie, zaglądała co dzień do książeczki oszczędnościowej, liczyła każdy cent od nowa, czy już starczy. Ale było bardzo daleko.

Potem zaczęły napływać do domu paczki, paczuszki, prze-myślnie wyszukiwane, starannie obmyślane, sto razy w palcach obrócone przed kupieniem, sto razy sprawdzane.

— Plastyków podobno nie warto tam wieźć — mówiła Barbara. — Nylony zawsze dobre. I kosmetyki. Wszystko z ubrania.

Długie listy nazwisk — od małego Zyzia do Cioci Femci — karaluszyły się na białych świstkach, dopełniane, wykreślane, poprawiane stokrotnie.

— Dobrze ci tak, żeś hrabianka! — śmiałam się z Barbary. — Za dużo masz rodziny. Patrz na mnie: jedna ciotka i dwóch kuzynów. Niech żyje proletariat! Żadnych kłopotów...

„I żadnych mrzonek nierozsądnych, utrudniających życie...” dodawałam w duchu. To hrabiostwo Barbary imponowało mi jednak w jakiś dla mnie samej niezrozumiały sposób. Najeść się tym człowiek nie naje, ale zawsze to coś. A Barbara właśnie nie. Zupełnie jakby nie pamiętała, że Święte Cesarstwo Rzymskie tętniło w jej żyłach, choćby i po kądzieli.

Nocny stolik Barbary począł się piętrzyć prospektami biur podróży, linii lotniczych, zapisków rozmów telefonicznych. Rosło to rosło, aż się wzburzyła moja poznańska dusza, i zafundowałam jej za dolara zieloną kartotekę, żeby uporządkować te jej marzenia. Ale jak już przyniosłam, opakowane prześlicznie, „na prezent”, związane różową wstążeczką z fontaziem — jakoś to wszystko spaliło na panewce, i nie warte było nawet uśmiechu. Choć słyszałam te obliczania cowieczorne przecież, i wiedziałam jak jeszcze było daleko.

Na pogrzeb pani Piotrowskiej, matki Marysi, pojechaliśmy razem, zwalniając się z pracy na ten dzień. Żadna z nas nic nie mówiła o „ostatniej posłudze” czy czymś takim — byliśmy już z pokolenia, które tak nie mówiło, a może nawet i nie myślało — ale jakoś wydawało się oczywiste, że trzeba było pojechać.

Zebrałiśmy się, szara grupka zmęczonych ludzi w deszczu, nad kolorowymi kwiatami spiętrzonymi na kupie czerwonej wirgińskiej ziemi wybranej z grobu. Cmentarz był swojski, spokojny, nie taki sprawny ul, jak tu wszystkie. Ksiądz, proboszcz miejscowej polskiej parafii, modlił się po polsku, a potem wraz z wikarym zawiódł pieśń pobożną, i widać było — mimo powagi miejsca i obrządku — że się zdziwił i rozczarował, żeśmy się do nich nie przyłączyli. Ale nikt z nas tej pieśni polonijnej nie znał, więcęśmy tylko mówili: „A światłość wiekuista niechaj jej świeci...” i biliśmy się w piersi i czerwone grudki dziwnej ziemi rzucali na srebrną trumnę ze skrzyżowanymi palmami. I to wszystko.

Natłoczony autobus w drodze powrotnej parował smrodem mokrej wełny. Szyby, posiekane sznurkami kropel, nie pozwalały widzieć świata. A przecież była wiosna, ta najwcześniejsza, niepełna siebie jak czternastolatka wchodząca do salonu pełnego

gości; ta najpiękniejsza, kiedy człowiek idzie ulicą, smutny wśród czarnych, nagich pni, i nagle głowę do góry zadrze... a nad nim niebo z zielonych pączków, którego wczoraj nie było.

Szkoda mi było, więc ziewnęłam i odwróciłam się od okna.

— Widziałas? — powiedziała Barbara cicho. — Ta ziemia była czerwona...

— Mmm... mruknęłam. — Ktoś mi to kiedyś tłumaczył: duże ilości tlenków żelaza, czy jak się to tam po polsku nazywa: *ferrous oxides*.

Barbara się spłoszyła, strzepnęła ręką niecierpliwie, trąciła sąsiada, *sorry* powiedziała, ale bez uśmiechu; od razu widać — nietutejsza.

— Żebyś ty widziała nasz cmentarz... — powiedziała Barbara. — Tak mi się zdaje teraz, że tam nigdy deszcz nie padał. To pewnie nieprawda. Ale pamiętam tylko słońce, drzewa, ważki błękitne, grube trzmiiele burczące w powietrzu, groby oparte o kościółek... Tak ślicznie tam było. Człowiek rozumiał rytm i ład życia, i swoje własne w nim miejsce...

— I nigdy deszcz nie padał, *what do you know?* — zdziwiłam się nieszczerze. — Tere fere kuku, Barbara! Cmentarze nas zwykłych ludzi, nie wyglądały tak sielsko. Byłaś kiedy na Bródnie jakieś studiowała w Warszawie?

Barbara stała cicho, ściśnięta w tłoku.

— Ja chcę drewnianą trumnę — powiedziała.

— Mamy czas myśleć! — burknęłam niechętnie. Też jej do głowy przyszło!

Stałyśmy, nieme słupy ciemnej wiosny, aż do terminal'u. Wysiadając Barbara zaczęła obcasem o stopień, szarpnęła się, i zachłyśnięta wylądowała w moich objęciach. Czułam jak drży. A nim ją jeszcze postawiłam na nogi, spojrzała na mnie dziwnie, jakoś jakby z dołu, choć przecież byliśmy niemal równego wzrostu, jakby leżała powalona na ziemi, i zawołała:

— Jutro jadę!

— Dobrze, dobrze... — godziłam się pośpiesznie. Jutro-nie-jutro, myślałam, ale że jej taki wyjazd dobrze zrobi to fakt, takiego sobie ćwieka w głowę zabiła.

To była środa. A zaraz nazajutrz, we czwartek popołudniu, wionęła do mnie Miss Gigi w swoim niebieskim kitelku (z którego taka dumna, bo my, ciemna masa, nosimy różowe) i szepnęła słodko-kwaśno, że do mnie telefon, i że robi wyjątek, bo ma być ważny, ale że ma nadzieję że ja pamiętam że telefonowanie w godzinach pracy nie może być tolerowane.

— *Yes, Miss Gigi* — powiedziałam do niebieskiego kitelka.

— *Excuse me, Mrs. Smith* — do klientki.

I pobiegłam, bo myślałam, że może to Barbara.

Głos w telefonie był gładki, obojętny, przyjacielski, maskujący żelazną obojętność udaną życzliwością.

— *This is Friend In Need Loan Company* — przedstawił się.

I zaraz mnie spytał czy znam Barbarę.

Czy ja znam Barbarę? Święta Godzino! Zdawało mi się, że jak siebie samą, lepiej może nawet, aż do tego ostatniego wariactwa.

— Pani znajoma złożyła u nas podanie o pożyczkę. Na jej prośbę załatwiamy wszystkie drobne formalności z tym związane w trybie przyspieszonym. Powołując się na panią, pozwoliła nam jednocześnie prosić panią o udzielenie nam, w miarę możliwości, następujących informacji...

Automatycznie odpowiadałam — w miarę możliwości — na statystyczne pytania dotyczące Barbary.

— A więc według pani zdania to jest osoba odpowiedzialna, na której można polegać? — podsumował naszą rozmowę.

— Całkowicie — przytwardziłam i wydawał się zadowolony, choć myślałem sobie: cóż mu po słowie manicurzystki w różowym kieliszku, mówiącej po angielsku kanciastym polskim akcentem? On nie wie, że między mną i Barbarą więcej jest spraw niż komorne mieszkania na P. Street. Dzieliłyśmy się przedtem ważniejszymi rzeczami: łachem ostatnim, wyrkiem w łagrze, grozą wyzwolenia, kartkami przydziałów, decyzją niepowrotu, śmiercią bliskich. Wszystkim co zostało już za nami na zawsze, myślałam że na zawsze, aż do następnego pokolenia.

Tydzień minął, chyba nie więcej, i już wyjeżdżała moja Barbara. Było jeszcze przed sezonem turystycznym, więc z przelotem nie miała kłopotu, jeszcze nawet zdążyła wskoczyć na okres zniżek przedsezonowych. Poszło 500 dolarów pożyczone od *Friend In Need* na procent niewąski. Stopniało konto w First National Bank. Ale bilet był. I jedna walizka, najstaranniej utkana, żeby nie przekroczyć przepisowej wagi, już stała w kącie gotowa.

Dwa dni — już był paszport.

Jeszcze trzy — i już była wiza.

A z biurem... wiecie co ta głupia zrobiła? Nie chcieli jej zwolnić na miesiąc extra, i to bez uprzedzenia. No, to dygnęła pięknie, powiedziała dziękuję, i do widzenia, i poszła sobie. I tyle. Słowo daję, jakby jej się wydawało, że ciągle jest koza prosto z *college*, której się świat cały od życia należy.

A kiedy przyszedł ostatni wieczór przed odlotem Barbary, siadłyśmy do kolacji uroczystej, na białym obrusie, z butelką Beaujolais, z pierwszą kicią kwietniowego bzu wazonie.

Pięć minut przedtem jeszcze Barbara była jazgotliwa jak sroka, rozgorączkowana wyjazdem, rozradowana, pół-przytomna z

podniecenia. Teraz nagle zapadła i przycichła. I jej i mnie przyszła jedna myśl do głowy, że jakkolwiek nam się dalej nasze koślawe życie potoczy — już nigdy nie siądziemy razem bez tej troski, która stała między nami, nie dzielona, nie jednając.

— Przecież ja wracam za dwa miesiące... — powiedziała Barbara.

— Tak to głupio mówisz, jakbym ja miała do ciebie претенsję o ten wyjazd! — rozżłościłam się. I zaraz pożałowałam. Jak to jest, że człowiek zawsze się zirytuje i coś niepotrzebnego językiem łapnie właśnie w tych chwilach, które powinny zostać jasną pamiątką, podarunkiem na ciemne godziny?

— Wracaj zdrowa, Barbara — powiedziałam chropowato. Podniosłam kieliszek z ostatnią czerwoną kroplą. — Ja tu będę.

I jeszcze mi jakoś nie dostawało, a słów mi już brakło, więc tylko powiedziałam, wstając od stołu:

— Zostaw te naczynia. Ja pozmywam. Masz jeszcze pewnie tysiąc spraw.

Ale Barbara już nic tu nie miała. Na dobrą sprawę już jej tu ze mną nie było. Jeszcze raz sprawdziła bilety, przerzuciła kartki książeczki adresowej, rzuciła okiem na każdy papierek i stempel z osobna, otworzyła zapakowaną walizkę, i znowu ją zamknęła starannie. Systematycznie, sztywna jak automat, przejrzała zawartość maleńkiego neseserka, potem torebki. Nic nie miała do dołożenia, nic nie miała do ujęcia.

Więc poszliśmy na ostatni spacer. Stałyśmy na ciemnym moście nad Rock Creek Parkway, nad szybką strugą reflektorów samochodowych, i stałyśmy długo w milczeniu, które się żadnej z nas nie dłużyło. Ile razy ja tego wieczoru Barbarę znienawidziłam „na zawsze” i pokochałam od nowa — zliczyć trudno. Co ona myślała — nie wiem. Stałyśmy w milczeniu, ramię w ramię, oparte o kamienną balustradę mostu. Groza dziwna ścisnęła nam gardła jak owym kobietom w Betanii tego dnia dawnego, gdy skurczone z żalu i lęku czekały na odwalenie kamienia grobowego. Któż to wiedzieć może czy po 20 wiekach Łaska Pańska wciąż jeszcze Łazarzom z martwych każe wstawać? I jak czuł się błądy Łazarz, gdy ze spokoju kupionego za cenę śmierci wyjść musiał na powrót w to co mu się niegdyś wydawało najważniejsze, a okazało się pyłkiem przelotnym, śladem niepozostawionym?



Samolot się spóźniał. Z niecierpliwości czekania wyrosła chwila przedziwna zagubienia się w czasie. Czy to przyjazd czy odjazd, czy początek czy koniec — nie wiedziałam już całkiem. Uczepiłam

się myślą jednego co mi w głowie zostało: „105” — i kiedy głosniki wreszcie wrzasnęły „Flight 105 from Paris... Gate 13...” automatycznym responsem posunęłam się ku drzwiom.

Dalej nam pójść nie dano. Przez ścianę ze szkła patrzyłam jak lądował srebrny samolot, ciągnik podwioził rampę, poczęli się wysypywać ludzie, nie, nie wysypywać, a jakoś kroczyć, jak zwykle pasażerowie z samolotu, zwłaszcza po transoceanicznym locie.

Wtedy na tle ciemnego wjazdu zobaczyłam Barbarę. W tym samym szarym kostiumiku, w którym wyjeżdżała dwa miesiące przedtem — wydała mi się inna. Zatrzymała się na ćwierć sekundy i, wyraźnie zarysowana na ciemnym tle, rozejrzała się szybko. Zaczęłam machać gwałtownie czerwoną apaszką. Skrzyżowałyśmy się wzrokiem, moje pytanie z jej odpowiedzią. Barbara uśmiechnęła się leciutko i zaczęła zbiegać po rampie. Ciepła fala ulgi buchnęła mi do mózgu: Barbara wróciła! Tańczyć hosannę, śpiewać alleluja, dywan z kwiatów sypać po ziemi — Barbara wróciła! Już nie muszę być sama.

Niesione bezlitosnym trójprądem aut na *parkway*'u w drodze z lotniska, siedziałyśmy trzymając się za ręce jak dzieci, szukając słów, nie wiedząc gdzie zacząć. Skrępowane sobą wzajemnie, znając każda tylko swoją rozterkę i radość i tęsknotę — nie umiałyśmy przerzucić kładki przez te dwa miesiące.

— Wróciłaś... powiedziałam cicho.

— Wróciłam — potwierdziła Barbara. — Tam bym nie mogła żyć. Już bym nie umiała.

— *Well*, no to witaj na wolnej ziemi Waszyngtona! — roześmiałam się z ulgą.

— Wolną ziemię Waszyngtona mam w de! — powiedziała Barbara ordynarnie, wyzywająco.

Zapiekl mnie policzek, jakby mi został czerwony ślad lżące ręki na twarzy. Zachnęłam się, gotowa do kłótni. I wtedy zobaczyłam palce Barbary, ciasno splecione z moimi; drżący kącik ust; jasne oczy Barbary uciekające od moich... Przełknęłam. Policzyłam do dziesięciu.

— Dobrze, że już tu jesteś — powiedziałam. — Cniło mi się bez ciebie.

— Magdalena-sanitariuszka! — powiedziała Barbara ostrym głosem. — Anioł miłosierdzia. Co tak na mnie patrzysz jakbym zwariowała? Jeszcze mi kaftana nie trzeba. Nie będziesz miała pacjentki.

Rozzłościłam się szybko i gorąco, jak to ja zawsze.

— Czego się czepiasz? — powiedziałam równie ostro. — Przecież ja się naprawdę cieszyłam z twego powrotu.

Palce Barbary zacisnęły się mocniej jeszcze naokoło mojej ręki.

— Ja też się cieszyłam — powiedziała ciszej, spokojniej. — Przecież wróciłam. Tylko to wszystko — machnęła ręką na *park-way*, samochody, iglicę pomnika Waszyngtona, białą kopułę Capitolu — to wszystko wydaje mi się dziwnie nieznane. Innych płuc trzeba, żeby oddychać tym powietrzem. Lecąc nad Atlantykiem cały czas o tym myślałam, że dla mnie już w ogóle nie ma miejsca na świecie. I wydało mi się to tak straszne, że przysięgałam sobie kryć się z tym jak z trądem. No, i masz... rozżłościłaś się, i wszystko ci wysypałam. Miałas rację. Przepraszam. Kilka dni... Zaczepię się o jaką pracę, walizki rozpakuję, wszystko potoczy się dalej. Bo, jeśli cię to niepokoiło, tam też nie mogłabym żyć. Nikt z nas chyba by nie mógł.

Taksówka skręciła na Memorial Bridge. Wyrosły przed nami białe kolumny pomnika Lincolna. Nad wodospadem białych schodów siedział sobie na marmurowym fotelu, przyodziały w brzydkie dziewiętnastowieczne ubranie, kościsty pan, który niegdys postawił los Nowego Świata na jedną kartę, bo wierzył, że półwolność to nie życie.

Znałam na pamięć tę nieładną twarz, od której oczu nie można oderwać, twarz szlachetnego człowieka. Znałam tę twarz na pamięć tak dobrze, jak jego słowa powiedziane na bratobójczym pobojuwisku Gettysburga, a tu wryte na ścianie dla tych co zapomnieli: „Osiemdziesiąt siedem lat temu ojcowie nasi założyli na tym kontynencie nowy naród, poczęty w wolności, a poświęcony wierze, że wszyscy ludzie stworzeni są równi... Walczymy teraz w wojnie domowej o to by sprawdzić czy ten naród — czy jakikolwiek naród tak poczęty i tej wierze poświęcony — może się ostać”.

Starzeję się, nie ma co, myślałam sobie. Te łatwe łzy wzruszenia, co mi pieką oczy — to zramolenie po prostu. Dawniej człowiekowi wszystko było mięta, a jak barykada to barykada, też bez łezki. Przyszło mi do głowy makabrycznie frywolne porównanie do starszego pana krzeszącego żalostną iskierkę oglądaniem sprośnych kartek, i zawstydziłam się.

Matko Boska Częstochowska! Prezydencie Lincolnie! Co ja mam robić z tą Barbarą? Do domu, prędko do domu. Weźmie prysznic. Dam jej jeść. Lepiej się poczuje.

Wyskoczyłam z taksówki. „Chodź!... Chodź!...” ponaglałam Barbarę. Niecierpliwymi palcami przekreślałam klucz w zamku pod miedzianą kołatką. Napierałam na biało-malowane drzwi. spieszyłam się jakby tam, za tymi drzwiami, była odpowiedź na wszystkie niezadane pytania. Pchnęłam drzwi. Zapachniały frote-rowane podłogi, krochmalone firanki, zalśniła biała kuchenka.

— Jak tu czysto! — powiedziała Barbara wchodząc.

A potem dodała dziwną rzecz i w ogóle *non sequitur*, bo co ma piernik do wiatraka.

— Ale to nieważne... — powiedziała Barbara.

Tak mnie tym zaskoczyła, że właściwie nawet się nie zdążyłam zirytować, choć do trzeciej rano przecież szorowałam mieszkanie na przyjazd hrabianki. Posłałam ją pod prysznic, a sama zaczęłam nakrywać do stołu, zadowolona, że wszystko miałam przygotowane zawnazu i że nie muszę teraz gotować i nagrzewać mieszkania.

Za oknami letni dzień waszyngtoński kleił się ciężko jak parujący, mokry łach. Ale wewnątrz było chłodno, ciemnawo za zapuszczonymi roletami, spokojnie. Każda rzecz miała swoje miejsce i już przywykła. Jak ja.

Barbara wyszła z łazienki, bosa i różowa, uśmiechnięta, obłaskawiona jakaś, już nie tak sprężona w sobie, jak w drodze z lotniska.

— Ależ tu u was luksusy... — pokręciła głową, patrząc na talerze „od gości”, którymi nakryłam stół, na półmisek z zimnym homarem, kolorową sałatkę, mgiełkę chłodu na butelce reńskiego wina, którą właśnie wyciągałam z lodówki.

— *Don't let it fool you!* — roześmiałam się. — Niech ci się nie wydaje. To tak tylko od święta, na twój powrót...

— Na mój przyjazd... — powiedziała Barbara. Bez nacisku; nie jakby korygowała, ale jakby tylko powtarzała moje słowa, choć przecież mówiła coś całkiem innego niż ja.

Nim skończyłyśmy jeść zastukała kołatka u drzwi. Jenny-sąsiadka przyniosła Barbarze bukietik róż ze swego ogródka.

— *Welcome home!* — rozpromieniła się. — Jak to przyjemnie, że pani już jest z powrotem z nami. Musi nam pani wszystko opowiedzieć, jak tam naprawdę jest. Bardzo źle, co?

Pytanie było i banalne, i właściwie pewnie nawet zdawkowe, bo zawsze podejrzewałam, że jedyne co Jenny czyta w gazetach to Dobre Rady Panii Zofii i przepisy kucharsko-domowe. Ale Barbara, troskliwie układając róże w białym wazonie, zastanawiała się długo, starannie, jakby losy świata zależały od tego jakie znajdzie słowa. To co wreszcie powiedziała, nic zapewne dla Jenny nie znaczyło.

— Jest lepiej niż było — powiedziała.

Jenny nie nalegała. Uciekła prędko „żeby wam nie przeszkadzać”, a ja zaczęłam opowiadać Barbarze miejscowe ploteczki, sprząając ze stołu.

Dużo się nadziało przez te dwa miesiące. Ewie gospodarz zagroził eksmisją, jeśli się nie pozbędzie swojej ukochanej sjamskiej kotki. Kalińskim urodził się synek. Maruszkowie kupili nowy dom — „Szaleństwo po prostu, mówię ci, przecież ich na

taki dom nie stać. Zarzną się!”. Zosia zaczęła się na nowej posadzie w bibliotece miejskiej; zadowolona, chociaż słabo płacą, ale po tej fabryce, w której była przedtem, wszystko by się jej pewnie podobało.

— *De publicis* właściwie ten sam sztuk na inny manier... Weterani się pokłócili. Ot, taka burza w szklance wody, jak zwykle. Mają nowego prezesa. Ale na dobrą sprawę co to kogo wzrusza? Każdy ma tyle własnych trosk i spraw. Życie tutaj niewiele zostawia miejsca na spory ideologiczne.

— Parszywcy! Wszędzie im dobrze! — mruknęła Barbara.

— Bój się Boga, co ty wygadujesz! — zachnęłam się. — I o kim to? O tym nowym prezesie co latał w Eskadrze 303? Czy o Kalińskiej co ma oświęcimskie numerki wytatuowane na rękę? Czy o Zaleskiej, która dwoje maleńkich dzieci przeciągnęła przez całą okupację i wreszcie dowiozła do męża, który pięć lat siedział w Oflagu? Czy o Basku, który ileś tam razy skakał do Polski jako kurier i zdrową głowę kładł pod Ewangelię? Czy o Goldsteinowej, która się cudem z pieca uratowała? O kim ty mówisz?

— Ja o tych politykach... — broniła się Barbara niechętnie. A potem spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała zimno, z roz wagą, spokojnie: — Właściwie nie. Ja o nas wszystkich. Stamtąd to wszystko razem jakoś inaczej, jakoś śmiesznie wygląda. My wszyscy, właściwie, bezradne kukły, dyndamy w próżni. Myślimy, żeśmy w zbroi — a chodzimy nadzy. Stoimy na posterunku, którego już nie ma. Bronimy uparcie tego co pamiętamy, a nie tego co jest. Jesteśmy takie żałosne hojne-Wojtki-z-cudzej-torby; skłonni do poświęceń — nie swoich; ofiarni — cudzym kosztem; sędziowie surowi — dla innych; ciułacze nieszczęśni na nowe lodówki, bo „Złota dla Ojczyzny” już nikt nie zbiera. Ojczyzna się skończyła, a wszystkie Reduty Ordona już nie nasze. Chodzimy, smętne Półpanki rozdęte frazesami, które nas mają ratować, i już przestajemy wierzyć nawet w to czym każdy taki frazes był naprawdę. Budzimy się co rano z abszmakiem winy wobec tej dawnej Ojczyzny, i wobec tego, co niektórzy spośród nas pomyśleńcy nazywają „nową ojczyzną”. Nowa ojczyzna... a cóż to za dziwny taki twór? Uczeni lekarze dzisiaj umieją rozplatać klatkę piersiową i wstawić chorym sercom maszynkę do pomocy. Ale serca nie zamieniają. Człowiek sobie chodzi po świecie niby ten sam, a przecież są chwile, że ma baterię w piersi, nie własne żywe serce. To mu życie ratuje. Wielka zdobycz nauki. Ale nowego serca nikt nie wymyślił...

— Po co ty tak wszystko komplikujesz? — powiedziałam nieśmiało. Niechętnie się wdawałam w tę dyskusję. Abstrakcje zawsze mnie płoszyły. — Każdy żyje jak może. Mówisz o jakichś urojonych posterunkach. Nawet nie wiem o jakich. Myślę, że od

tych -izmów większość z nas już dawno odeszła. Nie mamy dwudziestu lat. Jeśli już jakiś postereunek to tylko własne życie, żeby je przeżyć „jak człowiek”. Jeśli już czego bronić — to swego ludzkiego prawa do tego, żeby móc wybrać „jak człowiek”, żeby nie musieć racjonalizować własnej sparszywiałości. Jeśli już jakaś odpowiedzialność — to za siebie tylko, nie za świat w którym żyjemy. O jakich ty znowu winach mówisz? Ja tam się winna nie czuję, ani rano ani wieczorem. Wobec kogo? wobec czego? Nawet gdybym przyjęła te jakieś mityczne koncepty, do czego żadnej ochoty nie czuję, też bym machała nogą nad przepaścią, nie mogąc nawet pierwszego kroku postawić. Sama powiedziałaś: Ojczyzna się skończyła, posterunku już nie ma. No, więc jak? Chcesz, żebyśmy byli jak ten żołnierz japoński co w 12 lat po Hiroshimie krył się w dżungli ku chwale Cesarza, który już dawno przestał być bogiem? Teoretycznymi mrzonkami wiele nie zwojujesz, moja miła. Trzeba żyć...

— Trzeba żyć... — powtórzyła Barbara. — To prawda. I trzeba rozpakować walizkę... Zaraz to zrobię, jeśli pozwolisz mi się zadekować od sprzątanía jeszcze ten jeden dzień. Potem, przyrzekam, będziesz miała ze mnie pociechę.

Zanurzyłam ręce w miękką pianę mydlin. Rytualnymi gestami oszczędnej celowości zmywałam, suszyłam, odstawiałam talerze i szklanki, odkładałam sztućce do właściwych przegródek w szufladzie. A gdy już proszkiem Babo doprowadziłam zlew do tej samej nieposzlakowanej porcelanowej białości co zwykle, gdy już skończyłam ten znany, kojący swoją zwyczajnością, rytuał cowieczornego zmywania — ogarnął mnie nagle jakiś dziwny niepokój i wiedziałam, że miejsca sobie w domu znaleźć nie będę mogła tego wieczoru, że muszę wyjść.

— Chcesz się przejść? — zawołałam do Barbary, krzątającej się w sypialni. — Teraz już chłodniej na dworze.

Prawie z ulgą przyjąłam jej odmowę. Szłam nie w stronę parku, jak miałam początkowo zamiar, a w stronę miasta, w stronę Białego Domu. Szłam wolno, coraz wolniej, bo ciągle jeszcze żar dnia wisiał w powietrzu i duchota zbijała myśli w kłęb. W tej parnej ciemności inne mi się wydawały ulice, na których już tyle zdarłam zelówek. Narożny dom, przy którym zatrzymałam się czekając na zielone światło na skrzyżowaniu, ział pustymi oknami upstrzonymi białymi kartkami „CONDEMNED”. Widziałam go tyle razy przedtem, tyle razy obojętnie przechodziłam koło jego brzydoty nie żałując, że jest przeznaczony na rozbiórkę. Ale tego wieczoru nagle, niewytłumaczalnie, wydało mi się, że jestem na Koszykowej. Dotknęłam ręką gzymsu nad okienkami suteryny i odwróciłam się na łoskot nadjeżdżającego tramwaju, trzymając jak monstrancję dłoń czarną od brudu skazanego domu. Jak to

się stało, cóż to za trick złośliwy, że ten nadjeżdżający tramwaj wydał mi się czerwony? Waszyngtońskie tramwaje są przecież zielone. Sen mara... powiedziała sobie. Szabla w ręku nie zamieni Lafayette'a z pomnika na Kilińskiego, ani spiżowy rumak gen. Shermana na Księcia Józefa, ani świecące nocą okna Białego Domu na Belweder. Nie ma co się pętać po nocy, ani szukać, czego nie ma. Trzeba wracać do domu. Do domu na P street, na rogu trzydziestej tam którejś ulicy.

Było później niż myślałam. Weszłam cicho do domu. Barbara spała. W pokoju śladu nie było, że kilka godzin przedtem przyjechała z innego świata.

Barbara spała spokojnie. Leżała równo na wznak, pod gładko naciągniętym prześcieradłem, oddychając tak cichutko, tak lekko, że w tej ciszy i bezruchu wydawała się martwa, jak królowie na sarkofagach wawelskich, i jak one pogodzona ze światem. Surowa fałda troski ostatnich miesięcy nie krzywiła jej miękkich warg, bezradnych na los. Nigdy chyba jeszcze nie widziałam Barbary tak ufnej w wygraną, tak nie znękanej, tak pogodzonej z życiem.

Spod białego rogu poduszki wyłaził kawałek zmiętej torby papierowej, nietutejszej, trójkątnej, sklejonej z grubego, szorstkiego, pakowego papieru. Odruchowo, nieuważnie, sięgnęłam po papier, żeby wyrzucić do kosza. Z torebki posypały się szare grudki suchej ziemi, znacząc cienką strużkę na białej poduszce, na puszystym, błękitnym dywaniku koło łóżka.

Ziemia w trójkątnej tutce była sucha, szara, jałowa. Nic by z niej wyrosnąć nie mogło. Nie przypominała tej ciepłej, soczystej, czarnej ziemi, którą kiedyś przesypywałam bezmyślnie między palcami. Była smutna, najsmutniejsza na świecie, jak zwiędłe kwiaty, jak puste oczodoły wypalonego domu, jak nieplodna kobieta. Z szarego prochu, z palców do serca, z serca do mózgu, skoczyła iskra przejmującego upragnienia, żeby raz jeszcze dotknąć, poczuć ręką, ciepło tamtej ziemi.

Na klęczkach, troskliwie, zaczęłam zbierać szary proch. Garstka tego była, nie więcej.

— Byle tę noc przeczekać... — pomyślałam. — Od jutra będziemy żyć dalej.

Ale, uboższa od Barbary o tę garstkę ziemi, nie byłam już tego pewna. Z lustra patrzała na mnie obca twarz.

Marta ERDMAN

Wiersze

PRZECHADZKA W PARKU

wczesną wiosną dymiącą i świeżą
gdy świat wiruje w srebrnych pulsach
plaskanie deszczów skrzętne dachówki wymyte czysto
kiedy powietrze pachnie kruchym nawozem
fosfatami rozpuszczoną solą
porzucone niedbale śniegi
jeszcze surowo w płatach pod dębami leżą

przechadzam się wolno w parku
ostrożnie deptając w warstwach trzeszczącego chrustu
w którym nagie kielki traw
jak zroszona piśń
różowym zarostem się szczerzą

pod korą pękają chropawe kokony
motyle się lęgną
prężne skrzydła zielonym odrastają molom
czasem zgnieciony odwłok śmiałego owada
jak złocista sadza przylgnie do
tłustego liścia pylącym topolom

mignie ospale w leszczynie ociężały zając
w leniwych susach
gniazdo z liści i mierzwy cierpliwie w mokrej jamie ścieli
myjąc zawzięcie po pracy białe wąsy z pajęczyn i suchych larw
wszyscy wypoczęci szczęśliwi weseli

deszcze śnieg drzewa różowe larwy
obte rzadkie kielki zając ma
marzec nie szczędzi energii leje wiadra barw
ochlapuje pąki ścieżki trawy
rozbryzgał szmaragdy
pociął na sztuki diamenty
rozdaje śnieżyczkom na źrenice oczu
drze jedwabie w pasy
a gdy obudził śpiące żony żabie
zastygł w symetrycznych kostkach gradu nad stawem
i szumiąc poszedł na dno

staw nabrał od kostek mglistego powabu
kuropatwy wyświeżone rzeźkim chłodem
otrząsają z piórek
krople rosy i wilgotny proch
pędząc w młode proso
ocalałe od pokrywy zimy i oczu człowieka

szpaki rozpoczynają pod dzikimi wiśniami opowieść o morzach
gęstą i żalosną
niewinną jak dziewczęta biegnące w białych muślinach i łzach
sage przetykaną niskimi dymami okrętów
skrzeniem księżycą
bukiem wiatru na wierzchu i fal rozżalonych pod spodem
gdy z błękitnych oaz assyrii i lazurowych mirażów egiptu
złote pęki minaretów muskając piersiami
omijając wycia hamsinów
ptaki żeglowały w ruchomych powietrznych obozach
unikając rzek
miast targowisk kopalń puszczy zdrady lodów gór i wodospadów

gnały ze wschodu
oczarowane jak dziecko w pierwszych snach
północ je wabiła osrebrzony wilgotną luną nadmorski pagórek
ociekaający od mokrej i trującej krasy
północ je wabiła
jak osrebrzony wilgotną luną nadmorski pagórek
wzywa do cichej zatoki ratunku szukający statek

gwiazda polarna morska świeca wieczna promienny eukaliptus
obracający się w kółko na rubinowej osi
mrugała do zbiegów rzesą z antracytu
wyiskrzona jak srebrne wrzeczono przędące bez przerwy
ciemności i dal

pod dębami upadł mi na dłoń śniegu lekki płatek
 okrucz odeszłej zimy strząsnąłem czystą kroplę
 w maleńkie usteczka pierwiosnka rozchylone niewinnie pod stopą
 słońce boso stąpało po stawie gdzie się gradu kostka
 ostała jedna na dnie zanim się roztopi
 lśni w wodzie
 beztroska

POTĘGA ZERA

mało im wszystkim było upokorzenia
 poszli za zerem które jak wszystko poczęte z koła
 było jak roztrawiony metal mucha z kryształu
 ręczne dzbanki ze srebra wyrabiane przez lasy
 na przekór ludziom natura to bryła marmuru
 żrą ją erozje lubi jamy w które
 wpycha człowieka ten się broni przed
 wessaniem ranami szkli się rżysko pełne wilgoci
 szczotka z diamentowymi szpilkami kto
 mówi o logo o logi o logice w kamieniu
 trwa kruszenie kru kruchy krucyfiksów
 nikt dobrowolnie nie chce umierać na krzyżu
 wiecie z liści z lotu ptaków z dmuchania w żar
 żartują z szpaka złapanego w sidła
 nie warto być małym
 nie warto być małym
 trzeba być bardzo maleńkim
 by przemknąć się przez oczka sieci
 założonej w cichej łagodnej zatoce

ROZMYŚLANIA W WIELKIM MIEŚCIE

złożony chorobą jak wiersz czarną czcionką
 męczył się człowiek w rękach mokrej świecy
 oderwany od życia życiem pogwałcony
 brakło na żar w żarówce piętnastu szylingów
 brakło na chleb
 ustało życie ten prędki strach rozprysniętych energii
 ruch i nic więcej
 zabrakło w łodydze dekagramu srebra storczyk usycha na marne
 pamiętając zapomnij

w ostatniej chwili nie rwij bzu przechylonego
przez mur czerwony gdy dotykał czoła matki
śmiała się ty bosy biegaleś po trawniku
teraz po czterdziestu latach brakło na chleb
radio milczało też niezapłacone
tylko kot zmartwiony twą nieruchomością
pustą miskę oglądał na jej dnie dwa ptaki
z niebieskiej emalii dziwiąc się że w płomień
świecy wciska się komar drgający i celofanowy
potemśmy iskrzące z sykiem w ogniu gasną
ich skrzydełka przez chwilę obszyje ciemnym aksamitem
stają się czerwone jak twarz zdrowej brunety
mleczarki z parteru gdy przynosi mleko
ma białe silne zęby i zapach kobiety
jeden ząb ten gdy się śmieje ze złotą koronką
jest wilgotny jak świeże mleko oczy czarne
iluż ludzi zeszpeciło złoto
choć namiętności są wynikiem przyczyn
po cośmy dla czego w płomień świecy
przez łufcik otwarty na oścież prze
bez przerwy muszka ziarnko szafirowe
ruchliwa jak sam człowiek
ziarno myśli pcha się w życie choć ani się upił
nim ani nie chciał tego
że nagle w żrące wiry
wydała go matka
by pozbyć się wiersza
złożonego z najdelikatniejszych czcionek
z tkanek i uczuć gorących płynów
gazów subtelniejszych od wyziewów kwiatów
żył trwalszych mocniejszych niż jedwabne nici
wyrzucając z siebie otwartej namiętnie
jak czerwone gardło działa
pocisk niech leci po niebie
niech leci
tor pocisku zawsze wyznaczony

ORDYNARNY CHŁOPAK PIERWSZY RAZ PRZY PRACY

bitego biją po twarzy
bitego po twarzy kopią na ziemi
tego w wykrzywionych buciorach umazanego błotem

ciągną za włosy kopią po brzuchu
 wyczyszczone na glans buciki
 lśniące buty
 irchowe pantofle na grubej słoninie
 zamszowe trzewiki zapinane na klamry
 leniwo ciężko dołączają się potem
 buciorzy i kończą bezmyślne dzieło dopóki się rusza
 skrwawiona masa na ziemi
 jeśli zamachniesz się młotem albo ciężkim kilofem
 złamiesz kark od razu
 wyczyszczonym bucikom
 irchowym pantoflom
 zamszowym trzewikom
 nie kopiąc lśniącego ich piękna na ziemi
 podziwiając je jak leży
 możesz nie patrzeć na buciorzy za twymi plecami
 jak się cofają, zjeżone nędzne brudne ich strachu
 twój młot nawet nie zmierzy

Marian CZUCHNOWSKI

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZK HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych
na żądanie

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Kronika angielska

WYROK

Wyrok na Hannę Rudzińską jest w gruncie rzeczy wyrokiem na „Kulturę”. Władzom partyjnym chodziło o sterroryzowanie polskich intelektualistów i wykazanie, że najmniejszy kontakt z „Kulturą” prowadzi prostą drogą do więzienia.

W całej zachodniej Europie ludzie podróżują bez wiz — znikają ostatnie ograniczenia paszportowe i dewizowe — a po tamtej stronie barykady buduje się mury Ulbrichta, doprowadza się do samobójstwa ludzi podejrzanych o kontakt z korespondentami pism zagranicznych, skazuje się Rudzińską na rok więzienia ponieważ podejrzana była o chęć przełożenia książki prof. dr. Feliksa Grossa, która ukazała się w „Philosophical Library”.

Doprawdy — człowiekowi, który od dwudziestu pięciu lat przebywa na Zachodzie — trudno jest wyrozumieć ową masochistyczną chęć samoszkalowania. Przecież wyrokiem na Rudzińską Polska Ludowa stawia się poniżej faszystowskiej Hiszpanii. I to się ma nazywać postęp. To jest reakcyjny, policyjny terror — jak najbardziej wschodni i jak najbardziej wsteczny. To nie „Kultura” was szkaluje — to wy sami siebie szkalujecie, panowie partyjni.

Na emigracji jest wielu Polaków, którzy choć są dalecy od komunizmu, żywo i serdecznie interesują się krajem. Cieszy ich i napawa dumą każdy polski krok na drodze postępu, każdy sukces. Wyrok na Rudzińską jest policzkiem dla tych wszystkich, którzy usiłują wbrew wszystkiemu ustosunkować się pozytywnie do Polski Ludowej. To jest polityczny sabotaż — bo to jest okradanie Polski Ludowej z sympatii i dobrej woli najwartościowszych Polaków.

Gdy w Warszawie stanie się coś „niepojętego” — Polakom na emigracji jest wstyd. Powstaje natychmiast legenda, która stara się wyjaśnić i pomniejszyć winę. I tym razem jestem przekonany, że wyrok na Rudzińską wielu emigrantów będzie się starało wytłumaczyć „naciskiem Moskwy”, „interwencją ambasady sowieckiej” itp. „Gomułka nigdy by tego nie zrobił. To sowieciarze mu kazali, zagrozili”.

I to jest zrozumiała reakcja. Polacy nie chcą wierzyć, że polscy komuniści robią to, co robią. Lepiej wszystko zwalić na Sowiety. Polacy nie chcą wierzyć, że Gomułka jest tym — kim jest. Ale jeszcze kilka wyroków i uwierzą.

Na zarzut „dwójkarstwa” skierowany pod adresem Redaktora „Kultury” nie warto odpowiadać. P. Arski w jednym ze swych paszkwili pisanych w „minionym okresie” nazwał mnie agentem Intelligence Service. Operowanie tego typu insynuacjami wskazuje, że wkraczamy w okres „neominiony”.

(Wyrok na Rudzińską — rok więzienia za zamiar przełożenia naukowej książki wybitnego socjologa — jest przerażającym w swej wymowie postscriptum do listu Kisielewskiego, apologety systemu rządów Polski Ludowej).

KOMENTARZE

List Stefana Kisielewskiego do Redaktora „Kultury”, który drukujemy w niniejszym numerze wymaga kilku komentarzy.

Kisiel zarzuca niżej podpisanemu, że popada w sprzeczność sam ze sobą, że głosił co innego w roku 1956, a co innego w roku 1961.

To nie tylko Londyńczyk i „Kultura”, ale najwięksi politycy i największe pisma popadają w sprzeczności z tej prostej przyczyny, że sytuacje polityczne ulegają radykalnym zmianom. Czy Gomułka wygłaszający swe inauguracyjne przemówienie w chwili obejmowania sekretariatu partii — a Gomułka wygłaszający mowę z okazji 20-tej rocznicy powstania PZPR — to jest ten sam człowiek? Czy należy go identycznie ocenić i z takim samym entuzjazmem pochwalić? Oczywiście wystarczy zacytować co pisaliśmy o Gomułce w latach 1956-57 — i co piszemy o nim obecnie, by móc triumfalnie obwieścić, że „Kultura” przeczy sama sobie.

W polityce istnieją tylko dwa czynniki stałe. Pierwszym stałym czynnikiem są podstawowe zasady moralne, a drugim czynnikiem stałym są interesy narodowe. Jeżeli przez podstawowe zasady moralne rozumieć chrześcijaństwo i wolność w najogólniejszym tych słów znaczeniu — to przyjąć należy, że owe czynniki stałe pokrywają się ze sobą. Na emigracji wierzymy bowiem, że służąc sprawie wolności służymy równocześnie polskim interesom narodowym. Wierzymy również, że nie jest rzeczą możliwą służyć polskim interesom narodowym rezygnując z walki o postulaty wolnościowe.

Gdybyśmy kiedykolwiek na tych łamach pochwalili poddanie nauki dyktatowi partii lub akceptowali rewizjonizm niemiecki — wówczas, ale tylko wówczas zarzut, że „Kultura” popada w sprzeczności byłby uzasadniony.

Wysuwaliśmy takie czy inne koncepcje zależnie od zmieniającej się sytuacji międzynarodowej — angażowaliśmy się w sprawy, które, gdy nie prowadziły do naszych celów, porzucaliśmy — stosowaliśmy zawsze taktykę giętą i elastyczną. Niezłomny winien być charakter i przekonania — natomiast taktyka winna być bogata w pomysły i różnorodna w podejściu. Ale w naszej wieloletniej działalności nie odstępiliśmy nigdy ani

na milimetr od podstawowych zasad naszej polityki, która konkretyzowała się wówczas gdy armie sowieckie „wyzwalały” Polskę. Pewne listy Redaktora „Kultury” pisane do mnie w czasie wojny z Iraku do Kairu mogłyby nosić datę dzisiejszą. W sprawach kardynalnych — to znaczy w sprawie wolności i obiektywnych interesów narodu polskiego — nie godził się nigdy na kompromisy i dlatego po piętnastu latach wydawania „Kultury” nie doczekaliśmy się debitu w Polsce lecz przeciwnie szykan i wyroków.

Polityka „Kultury” różni się poważnie od polityki emigracyjnego obozu „niezłomnych”. W przeciwieństwie bowiem do obozu „niezłomnych” uważamy za jedynie realne dziś rozwiązanie dążenie do stopniowej przebudowy obecnego ustroju Polski. Ale to nie oznacza byśmy byli gotowi do kompromisu w zasadniczych sprawach. Nikt nas nie przekona, że do rozbudowy przemysłów konieczna jest cenzura prasy i komenderowanie nauką. Nikt nas nie przekona, że kary więzienia za przekład naukowych książek warunkują szybki postęp industrializacji. A przede wszystkim nikt nas nie przekona — nawet Kisiel — że ponieważ pracujemy „w swego rodzaju politycznej próżni” zwolnieni jesteśmy z obowiązku walki o sprawy podstawowe, co do których kompromisu być nie może.

Jest moim głębokim przekonaniem, że na tym najpiękniejszym ze światów, wolność zawdzięcza swoje kruche istnienie tym, którzy walczyli o nią bez nadziei zwycięstwa. To nie jest żaden romantyzm. Tak jak nie jest „realizmem” powiedzieć sobie, że brak pewności zwycięstwa zwalnia z obowiązku walki. O sprawy podstawowe walczy się ponieważ są słuszne i słusznymi pozostają bez względu na perspektywy zwycięstwa w danym okresie.

Kisielewski sądzi, że pracujemy w „politycznej próżni”.

I próżnia i obojętność nie zwalniałyby nas w moim przekonaniu od obowiązku walki o owe moralno-polityczne imponderabilia, o których mówiłem powyżej.

Ale to nie my pracujemy w próżni. Kto czyta, jak nie musi, „Trybunę Ludu”? Artykuły „Kultury” w pewnych okresach krążyły w kraju w ręcznych odpisach. Nie spotkałem ani jednego człowieka z Polski — a rozmawiałem na przestrzeni lat z setkami osób — który by mi powiedział: „drogi panie, nawet gdyby „Kultura” miała debit, nikt w kraju by jej nie czytał i nie kupował”. Przeciwnie, panuje idealnie wyrównana opinia, że gdyby „Kultura” miała debit byłaby rozchwytywana. Znacznie bardziej rozchwytywana niż... „Tygodnik Powszechny”.

Walka prowadzona przeciwko „Kulturze”, szykanowanie jej na każdym kroku z zajądlnością zdawać by się mogło dysproporcjonalną do naszych możliwości i wymiarów — wszystko to wskazuje, że kierownictwo partii — w przeciwieństwie do Kisielewskiego — zdaje sobie sprawę, że „Kultura” ma duże potencjalne zaplecze w kraju. Zaplecze i odbiór są antytezą próżni. Z próżnią się nie walczy, próżnię się ignoruje.

Jest jeszcze jeden problem, który wymaga krótkiego komentarza. Kisielewski pisze dosłownie: „Myślę, że warto by już było na emigracji zrozumieć, że komuniści polscy są dziś niczym innym, jak reprezentantami polskiej „orientacji wschodniej”.

Temat stosunków polsko-rosyjskich jest sprawą złożoną, której poświęcimy więcej miejsca i uwagi w jednym z najbliższych artykułów. Tutaj na-

tomiast chciałbym zaprosić cierpliwego Czytelnika, by wraz ze mną wyobraził sobie następującą sytuację:

Na emigracji powstaje partia Chrześcijańsko-Demokratyczna, która swój statut i ideologię wzoruje w całości na analogicznej partii niemieckiej, której przywodzi dr Adenauer. Kanclerz niemiecki zostaje przez polskich chrześcijańskich demokratów uznany za wyrocznie w sprawach ideologicznych i za przywódcę mającego w przyszłości powstać pod hegemonią Niemiec bloku państw chrześcijańsko-demokratycznych. Oczywiście polscy chrześcijańscy demokraci uważają, że „ziemie nad Odrą i Nysą, ziemie niepolskie, wrócić muszą do swej macierzystej republiki niemieckiej” (por. przemówienie Gomułki z 20.1. bież. roku, ustęp o ziemiach wschodnich).

A teraz zapytuję Kisiela — co by o nas powiedział, gdybyśmy napisali w „Kulturze”, że nasi chrześcijańscy demokraci „nie są niczym innym, jak reprezentantami „polskiej orientacji zachodniej”.

A przecież można jeszcze dodać, że kanclerz Adenauer jest katolikiem a Niemcy zachodnie są państwem demokratycznym i praworządnym w europejskim tego słowa znaczeniu.

EWOLUCJONIZM NIEMIECKI

Przed kilku tygodniami odwiedził mnie pewien pan z kraju, którego znałem jeszcze przed wojną. Oczywiście politykowaliśmy namiętnie nuciując Chruszczowa, Kennedy'ego i pomniejszych przywódców obu bloków. W pewnym momencie mój gość szczerwieniał z emocji i uderzył dłonią w poręcz fotela: „My musimy się bronić — nikt z was tutaj tego nie rozumie! Musimy być lojalnym sojusznikiem Związku Radzieckiego i aktywnym członkiem Paktu Warszawskiego. Musimy solidaryzować się z całym blokiem wschodnim, bo Polska musi się bronić. Rozumie pan, musi się bronić!”.

— Ale przeciw komu?

Nastała cisza. Mój znajomy patrzył na mnie jak na przybysza z Marsa.

Ewoluuje Rosja — następują przemiany i często zasadnicze przeobrażenia w całym bloku wschodnim. Ale Polacy w kraju wierzą święcie, że Niemcy wyłączone są z procesu przemian. Czy istotnie tak jest?

Spójrzmy z lotu ptaka na ewolucję niemieckiego socjalizmu. Czego byśmy nie mówili o wspaniałościach cesarskiego Berlina i o okropnościach reżymu hitlerowskiego — to przecież należy stwierdzić, że w okresie objętym pamięcią naszego pokolenia burżuazyjne, reakcyjne Niemcy dwukrotnie upadły w gruz i w pył. Socjaliści niemieccy mieli w rękach szansę historyczną po raz pierwszy w roku 1918, po raz drugi w roku 1945.

I czego dokonali?

Na początku byli przeciwnikami zbrojenia Niemiec — opowiadali się za neutralizmem i przeciwko NATO. Ale już program uchwalony w Bad Godesberg (listopad 1958) — mówił o „wolnej inicjatywie” handlowo-przemysłowej w klasycznym stylu *free enterprise*. Od tej daty ewolucja postępuje milowymi krokami. W czerwcu 1960 r. partia odcięła się oficjalnie od koncepcji *disengagement*, neutralizmu itd. — i wysunęła po raz pierwszy propozycję dwu-partyjnej polityki rządowej. W listopadzie

1961 socjaliści zrezygnowali z opozycji w stosunku do obowiązkowej służby wojskowej i nawet pogodzili się z bronią atomową. Dziś są entuzjastami NATO, zbrojeń, *free enterprise* i wszystkich kapitalistycznych „cudów gospodarczych”.

Ale jak wykazuje czarno na białym U. Kitzinger — na którego doskonałej pracy opieram niniejszą notatkę — analogicznej ewolucji uległa partia dra Adenauera.

Z staroświeckiej centrowej partii katolickiej, na którą nigdy nie padło więcej jak 1/5 głosów, katolicy przekształcili się w zwycięską partię, która pierwsza w dziejach Niemiec zdobyła w wyborach (1957 r.) absolutną większość.

Jak to się stało? Przede wszystkim odkryto, że protestanci są także chrześcijanami. Tak jak socjaliści poświęcili doktrynalny marksizm — tak adenauerowcy poświęcili doktrynalny katolicyzm. Kiedyś marksizm stanowił esencję niemieckiego socjalizmu a katolicyzm *raison d'être* niemieckiej partii katolickiej. Kiedyś Niemcy, jak żaden inny naród na świecie, przywiązywali kardynalną wagę i znaczenie do ideologii, do doktryny, do *Weltanschauung*. Kiedyś — ale nie dziś. I dlatego obecnie programy partii są wyprane z wszelkiej ideologii i przykrojone do współczesnego wyborcy, którego nie interesuje *Weltanschauung* tylko sprawy „bytowe”, a więc służby społeczne, wysokie płace i powódź różnorodnych, a łatwych do nabycia dóbr konsumpcyjnych.

Jak słusznie zauważył Henry Fairlie („Reflections of the Left”) — wzmocniona stabilizacja sytuacji osobistej i rodzinnej jaką daje *welfare state* — wyzwoliła i zdynamizowała głód konsumpcji w najszerszych masach społeczeństw europejskich. Europejczycy są oczywiście nadal za równością, sprawiedliwością i przeciw wyzyskowi — ale przede wszystkim chcą dogonić Amerykę w konsumowaniu. Rządy prawicowe i kapitalistyczne, systemy *free enterprise*, rozbudowanie do niebywałych rozmiarów kupna na raty — przy równoczesnym bezpieczeństwie „państwa dobrobytu i opieki” umożliwiły realizację zasady: każdemu ponad jego potrzeby i ponad jego środki finansowe.

Socjologowie już dawno odkryli, że ludzie choć nadal pragną wolności, równości i braterstwa — to jednak przede wszystkim pragną komfortowych mieszkań, telewizorów, samochodów — wykazując bezdenne apetyt na owoce technologicznej cywilizacji, które swym bogactwem i świetnością przewyższają wszystko co pocziwina matka-natura ma nam do zaoferowania.

Rządy prawicowe eksploatują umiejętnie ów żywiołowy pęd do konsumpcji i w moim przekonaniu socjalizm przegrał nie na polu produkcji, lecz na polu konsumpcji. To prawicowe rządy zrealizowały ów „raj na ziemi” — lodówki i telewizory na czteroletnie spłaty — wszystko w myśl zasady, że towar winien szukać nabywcy a nie odwrotnie.

Dawniej młody człowiek jak się ożenił, pracował i oszczędzał, bo wiedział, że wszystkiego musi się dorobić. Dziś to wszystko bierze na wieloletnie spłaty zaczawszy od domu i samochodu a skończywszy na odkurzaczu elektrycznym i rozpoczyna życie w komforcie, który jego ojciec musiał zdobywać pracą dziesiątków lat.

To są przemiany, które wywierają wielki wpływ na postawę psychiczną. Młody człowiek, który ma dom, samochód i powódź „gadze-

tów" — choć to wszystko *de facto* nie jest jego własnością — oczywiście nie będzie głosował na Labour Party. On już jest wielki konserwatysta bez żadnych zainteresowań ideologicznych.

W czasie wizyty w Camp David Eisenhower powiedział Chruszczowowi, że po drogach amerykańskich krąży około 70 milionów samochodów. Reporterzy obecnie przy tej rozmowie zanotowali, że Chruszczow roześmiał się i oświadczył, że nigdy w to nie uwierzy. W pewnym sensie trudno mu się dziwić. Bogactwo Ameryki jest tak fantastyczne, że wyobraźnia nie podąży za cyframi.

Batalia pomiędzy systemami kapitalistycznym a komunistycznym rozegra się nie w przestrzeni kosmicznej i nie w wyścigu produkcji, ale w wyścigu konsumpcji. Nowoczesna technologia położyła kres purytańskiemu mitowi. Fakt że perspektywy rozwoju technologicznego nie mają właściwie granic — przeniknął dziś do świadomości najszerzych warstw społecznych nie wyłączając „ludzi radzieckich”. Nie można niczym usprawiedliwić nędzy, złych mieszkań, monotonnej diety, brzydkich kapeluszy damskich. Powstaje nowy fenomen socjologiczny, który nazwałbym buntem potencjalnych konsumentów. Ciężki przemysł plus ciężkie życie oraz: każdemu poniżej jego potrzeb — ten purytański model niewątpliwie dogorywa i nikt go nie wskrzesi.

W kraju tak wysoko uprzemysłowionym jak zachodnie Niemcy procesy o których mówiliśmy powyżej występują w wielkim nasileniu. Dwie główne niemiecko-zachodnie partie polityczne tracą charakter doktrynalny i ideologiczny. Różnice między nimi maleją. Sytuacja ewoluuje po liniach amerykańskiego systemu dwu-partyjnego.

Czy to oznacza początek przemiany charakteru narodowego?

Narody zmieniają się tak jak ludzie. Turcja w ubiegłym stuleciu była jeszcze wielkim imperium, a dziś Turcy są kameralnym narodem i z całą pewnością nie marzą o podbojach.

W sprawie oceny Niemiec nikt nie ma więcej powodów na zimne dmuchać niż my. Nie można być zbyt ostrożnym w tej materii. Byłoby natomiast nonsensem przeczyć, że w Niemczech zaszły i zachodzą głębokie przemiany, które powodują, że Republika Federalna jest czymś innym niż Niemcy cesarskie czy Niemcy hitlerowskie. Natomiast z odpowiedzią na pytanie czym istotnie są współczesne Niemcy — myślę, że trzeba zacząć jeszcze z dziesięć lat.

„KULTURZE” NIE WYPADA

„Kulturze” oczywiście nie wypada podawać fałszywych wiadomości. W poprzednim numerze naszego miesięcznika podaliśmy wiadomość, że konsulat PRL w Paryżu poinformował jednego z naszych znajomych, iż według najnowszego zarządzenia rządu PRL zaproszenia emigrantów (przy sprowadzaniu krewnych z kraju) nie będą honorowane. Zaproszenie musi być wysłane przez osobę posiadającą obywatelstwo danego kraju, a nie przez niepewny element legitymujący się *travel document'em*.

Tygodnik wychodzący w Londynie p.n. „Oblicze Tygodnia” przeprowadził dochodzenie w tej sprawie na tutejszym terenie. W notatce pt. „Kulturze nie wypada” — „Oblicze Tygodnia” rozdarło szaty na nasz

temat. Okazuje się bowiem, że Konsulat Generalny PRL w Londynie oświadczył kategorycznie, że w doniesieniu „Kultury” nie ma cienia prawdy.

Odnosna procedura w grodzie nad Tamizą stanowi klasyczny przykład brytyjskiego liberalizmu. Oto bowiem:

„...listy zapraszające oraz wszelkie inne dokumenty, konsulaty poświęcają każdej zgłaszającej się osobie po uiszczeniu przez nią ustalonej opłaty. Nikt nie pyta zgłaszających się nie tylko o status, lecz nawet o narodowość — nie żąda się przedstawienia żadnych urzędowych dokumentów tożsamości. W większości wypadków petent nie widzi nawet urzędnika, zaopatrującego dokument w pieczętkę „widziano w Konsulacie PRL” i swój podpis. Cała procedura odbywa się za pośrednictwem woźnego”.

Jak widzimy — idylla. W Londynie nie pytają się dosłownie nikogo o nic — wszystko załatwia woźny, a petent siedzi sobie w poczekalni i czyta spokojnie „Oblicze Tygodnia”. Nic więc dziwnego, że redaktora „O.T.” „niepokoi fakt, że tak poważne pismo „Kultura” i tak poważny publicysta (Londyńczyk) tak daleko idące wnioski oparł na tak kruchych podstawach”.

Czy kruchych?

Pierwsza moja notatka oparta była na stwierdzonym fakcie odmowy potwierdzenia listu zapraszającego nie jednej, ale trzem osobom zamieszkałym w Paryżu. Po zapoznaniu się z treścią cytowanego powyżej artykułu w „Obliczu Tygodnia” — redakcja „Kultury” skomunikowała się z Konsulatem Generalnym PRL w Paryżu i powołując się na artykuł w „O.T.” zażądała definitywnego wyjaśnienia. Konsulat Generalny PRL jeszcze raz stwierdził, że zaproszenia emigrantów nie są honorowane.

Redakcja „Kultury” skomunikowała się również z biurem podróży „Tourist-Romea” w Paryżu, które współpracuje z warszawskim „Orbisem”. Biuro „Tourist-Romea” potwierdziło informację udzieloną nam przez Konsulat Generalny PRL.

Okazuje się więc, że co jest kruche w Londynie nie musi być kruche w Paryżu.

LONDYŃCZYK

Polsko-szkocki Hotel

„STRATHGONA COURT”

(Właśc. C.C. Ślezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą o d 2 l s z y l i n g ó w

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

List do redaktora "Kultury"

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 12-170 „Kultury” p. Juliusz Mieroszewski zaatakował zasadniczo postawę polityczną moją i środowiska, do którego należę („Tygodnik Powszechny”, koło poselskie „Znak”). Zarzuca nam, o ile dobrze rozumiem, politykę pasywną czy zgoła oportunistyczną, powiada, że „Październik” skończył się w Polsce klęską i że środowisko nasze odegrało w tym procesie rolę negatywną, bo demobilizującą. Powiada wreszcie, że „Ceną za dobre stosunki z Rosją nie może być rezygnacja 30-milionowego narodu z podstawowego prawa do własnej modły życia”.

Chciałbym tu odpowiedzieć p. Mieroszewskiemu (który zresztą w sposób dla mnie pochlebny przecenia moją rolę polityczną), choć nie będzie to łatwe. Nie będzie łatwe z paru względów. Po pierwsze częściowo wbrew zamiarowi, zdołałem już dość głęboko „wkopać się” w politykę, co pociąga za sobą skutki w stosunku do słowa pisanego: gdy się ma do wyboru osiągnięcie czegoś konkretnego albo też powiedzenie wszystkiego, co się wie i myśli, to w mojej obecnej sytuacji wybieram to pierwsze. Różnica między słowem politycznym a słowem publicystycznym jest zasadnicza. Różnicę tę rozumie zresztą doskonale sam p. Mieroszewski: bardzo mi utknęło w głowie, gdy w r. 1957 w Londynie wyraził zdziwienie, że zostałem pośłem, uważając, że kłóci się to ze statusem „wolnego publicysty”. — Krytyk teatralny nie jest po to, by samemu wchodzić na scenę i grać Hamleta — powiedział mi wówczas. Prawda — ale w zasadzie rzecz się już u mnie stała (na złe czy na dobre — któż to wie?).

Ma więc p. Mieroszewski tę nade mną przewagę, że jest „wolnym publicystą” i może napisać co mu tylko przyjdzie do głowy. Ma za to wobec mnie tę niższość, że polityczny (czyli konkretny) skutek jego działania jest, łagodnie mówiąc, dosyć, jeśli chodzi o sprawy polskie (przez sprawy polskie rozumiem tu

sprawy krajowe) niewymierny, a jego jakościowe skutki trudne do przewidzenia. Nasz Londyńczyk jest jak człowiek, który pociąga za sznurek, nie bardzo wiedząc, co znajduje się na drugim końcu tego sznurka i jakie będą skutki owego pociągnięcia. Z p. Mieroszewskim zresztą to jeszcze pół biedy, bo jest on publicystą w jakimś sensie elitarnym, piszącym dla grupy wybranych mózgów. Gdy jednak słucham audycji Radia „Wolna Europa” to zaiste włos mi się jeży na głowie: o szaleni, gdybyż wiedzieli co robią! (myślę o skutkach społeczno-psychologicznych, które są opłakane: nie można codziennie siać w milionach ludzi nienawiści, nieufności, niewiary, podejrliwości, marazmu, negacji jeśli absolutnie nic konkretnego z tego nie wynika).

Ale wracam do p. Mieroszewskiego. Z faktu, że publicystykę swą uprawia on w swego rodzaju politycznej próżni, w klimacie „rozrzedzonej odpowiedzialności” wynika to, że często dosyć beztrosko przyjmuje niejako na próbę różne hipotezy myślowe, nie zrażając się zgoła tym, że one wzajemnie sobie przeczą. Rejestr wypadków, kiedy to p. Mieroszewski zaprzeczył sam sobie w latach 1956-1961 byłby długi: nie mam zresztą zamiaru go sporządzać, będąc przy tym nie wolny od uczucia podziwu — świetnego talentu publicystycznego potrzeba, aby przeczyć sobie tak sugestywnie.

Zdarza się, że p. Mieroszewski zaprzecza również innym, drukowanym w „Kulturze” pracom i to nawet w jednym i tym samym numerze. Tak np. w omawiającym numerze 12-170 przeczytałem z entuzjazmem artykuł p. Borysa Lewickiego „Drugi pogrzeb Stalina”, artykuł w sposób niezwykle głęboki i świadczący o rzeczywistym opanowaniu tematu oświetlający konkretne przyczyny obecnych przemian w Rosji. Obok jednak w Kronice Londyńczyka czytam, że przemiany te są „nie poważne” i że „w sowieckim systemie komunistycznym nie ma żadnej skali wartości”. Nie jest moją rzeczą pomagać w redagowaniu „Kultury”, ale czy Pan Redaktor nie uważa, że w tym konkretnym wypadku, dla dobra czytelników warto było udostępnić p. Mieroszewskiemu artykuł p. Lewickiego zawczasu i coś tam jednak „uzgodnić”, względnie dodać choćby komentarz stwierdzający rozbieżność? Nawet przy skrajnej wolności myśli chaos nie jest rzeczą godną polecenia.

Jeden z wybitnych polskich działaczy komunistycznych a zarazem pilny czytelnik p. Mieroszewskiego porównał go do sputnika: okrąża on ziemię, oglądając ją bystro z szerokiej perspektywy, ale nie wie, jakie prawa ciążenia panują w dole, bo nigdy się tam nie zniżył, nigdy tak nisko nie opadł. A wyobrazić sobie jak działają nieznane z autopsji prawa ciążenia jest bardzo trudne. Dlatego to w świetnie redagowanej „Kulturze” najsłabszą stroną są — reportaże z Polski. Obok np. znakomitych studiów p. Mazurkiewicza o Ameryce Południowej czyta się rzeczy tak nieprawdopodobne jak reportaż z Polski p. Jadwigi Jurkusz-Tomaszewskiej („Kultura” nr 5-163) gdzie zdania w rodzaju: „Nawet w pierwszorzędnym lokalach (w Polsce) męż-

czynna w białej koszuli i krawacie zwraca uwagę; podobno nie tylko kwestia produkcji, lecz i mydła do prania" — każą wręcz powątpiewać o poczytalności autorki. Niewiele lepiej (choć trochę lepiej) wygląda reportaż p. Ewy Karpińskiej w ostatniej „Kulturze” — roi się tam też od rzeczy wręcz dziecinnych. Takie to są skutki, gdy się po rodzinnym kraju stąpa w charakterze turysty... „*Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*”. A jednocześnie widuję w Warszawie mnóstwo dziennikarzy zachodnich, którzy w krótkim czasie potrafią wyłapać rzeczy gospodarcze i politycznie najważniejsze, dotrzeć do odpowiednich ludzi, źródeł cyfr, czy wskaźników i uformować sobie obraz reportersko obiektywny. Ale Polakom to jakoś nie idzie. Przy emocjonalnym podejściu zawodzą widać możliwości rzeczowego i porównawczego (w czasie i przestrzeni) oglądu spraw.

Gdy słucham, jak w „Wolnej Europie” referenci spraw społeczno gospodarczych pp. Lasota, Górecki czy Śniady popełniają mnóstwo szkolnych błędów przez nieznamość polskich spraw z osobistej obserwacji, myślę, że jeśli już biedna nasza Polska ma koniecznie być poddawana zmasowanemu obstrzałowi dwóch ognisk propagandy: ze Wschodu i z Zachodu, to warto by tu dokonać pewnej, proponowanej niegdyś przez p. Mieroszewskiego racjonalizatorskiej zmiany. P. Mieroszewski postulował mianowicie, aby wśród doradców Chruszczowa znalazł się przedstawiciel Ameryki a wśród doradców Kennedy’ego przedstawiciel Rosji i aby obaj ci panowie prostowali obustronne błędy i pomyłki wynikłe z różnic języka politycznego, pojęć i wiadomości. Moim zdaniem „Wolnej Europie” bardzo przydałby się stały i jawny przedstawiciel w Warszawie, a do Monachium warto by dla korygowania obiektywnych błędów oddelegować jakiegoś oficjalnego reprezentanta komunistów. Również redaktorom „Kultury” przydałaby się dłuższa co najmniej 3 miesięczna wycieczka do Polski zamiast wysyłania tam egzaltowanych niewiast. Zwłaszcza powinien ją odbyć p. Mieroszewski, który ma swoje koncepcje walki o polską „modłę życia”. Wiem, że mogłoby to naruszyć jego jakąś tam emigracyjną godność, ale jakżeż urealniłoby i pogłębiło publicystykę! A o to przecież chyba chodzi?

Po tym „przygotowaniu ogniowym” spróbuję zareplikować pokrótce na poszczególne zarzuty i stwierdzenia mego znakomitego przeciwnika — sputnika. A mianowicie.

1. P. Mieroszewski twierdzi, że najważniejszą rzeczą jest utrzymanie polskiej swobodnej „modły życia”. Wydaje się, że dla p. Mieroszewskiego owa „modła życia” to coś zupełnie oderwanego od warunków ekonomicznych i możliwości gospodarczych. Właściwością publicystyki Londyńczyka jest zresztą b. często odrywanie spraw politycznych od ekonomicznych i neglizmowanie konieczności gospodarczych. Jest to właściwość dosyć dla nas, wychowanych na stałej marksistowskiej dialektyce „odpoczynkowa”, nie mniej każe patrzeć na wszystkie tezy mego

adwersarza jako na coś bardzo niedokładnego i wziętego z powietrza.

Co do owej polskiej „modły życia”, to również nie jest ona jakąś wiszącą w poza konkretnej różni fikcją, lecz zależy musi od warunków ekonomicznych: nie ma istotnej wolności dla biednych. Choćby nawet pozwolono im gadać czy pisać wszystko co chcą, „wolność” ich bez środków ekonomicznych dla jej realizacji byłaby tylko upokarzającą iluzją. Twierdzę, że gdyby w Polsce nastąpiła zupełna wolność słowa pisanego (bo mówione nie natrafia na przeszkody) to przy naszej gorączkowej ruchliwości intelektualnej po dwóch miesiącach napisano by wszystko, co w ogóle jest do napisania, z rzeczami najbardziej drastycznymi i najokropniejszymi włącznie. Po tym zaś okresie skonsternowani ludziska stwierdziliby, że nie ma nic więcej do zrobienia i że sprawy nie posunęły się ani o krok naprzód. Bo w naszych czasach historii nie robi się gadaniem — smutne to zresztą dla publicystów.

Jeśli chodzi o polską „modłę życia”, to widzę tu jakieś nieporozumienie: sprawa o ile chodzi o problematykę społeczną bynajmniej nie polega na tym, żeby ktoś polskiemu ludowi odbierał jakąś dotychczasową narodową „modłę życia” i narzucał mu nową, wrażą. Rzecz ma się zupełnie inaczej. Oto w społeczeństwie naszym rozbudzony został po wojnie apetyt na nową przemysłowo techniczną „modłę życia”, zainteresowanie zbiorowe skierowano ku ideałowi, który ja w skrócie nazywam amerykańsko-sowieckim (nazwałem kiedyś komunizm „amerykanizmem dla ubogich” — podobieństwo sowieckiego i amerykańskiego ideału życia widać w zabawny sposób np. po wydawanym u nas propagandowym piśmie amerykańskim „Ameryka” — identyczność jego charakteru z podobnymi wydawnictwami sowieckimi jest absolutna). Będąc posłem z jednego z najmniej uprzemysłowionych i najbiedniejszych okręgów Polski — z Podlasia stykam się często z chłopami. Czy proszą oni o zachowanie im dotychczasowej „modły życia”? Nic podobnego! Błagają o szybką budowę nowych fabryk, zakładów przemysłowych, szos. Ideał „modły życia” jest więc jeden i wspólny — dyskusje toczą się jedynie na temat, jak go najprędzej zrealizować. „Wolna Europa” twierdzi, że gdyby w Polsce była Ameryka (tylko niby jak to się ma stać?) to uprzemysłowienie poszłoby prędzej. Natomiast eksperci zachodni, z którymi często w Warszawie rozmawiam, twierdzą, że przy innym systemie działania akcja inwestycyjna przebiegać by musiała znacznie wolniej. — I komuż tu wierzyć? — jak mówi Poeta.

2. P. Mieroszewski zarzuca mi (czy nam) że propagujemy pogodzenie się z własną narodową „małoletnością”. No cóż — można nie godzić się z faktami, co nie dowodzi, że przestają one istnieć. Dzisiejsza Polska powstała ze starą, ale na długo przerwana więc „przedawnioną” tradycją państwową, po tragicznym okresie 150 lat rozdarcia pomiędzy trzy mocarstwa, po krótkim okresie scalenia, kiedy to nie zdążono nawet ujednolicić prze-

pisów prawnych w trzech byłych zaborach i po najstraszliwszej wojnie, która radykalnie zmieniła jej skład demograficzny. Powstała w dodatku na w ogromnej części nowym a w dużym stopniu zniszczonym terytorium, po olbrzymim upływie krwi, który dotknął wszelkiego rodzaju kadry inteligenckie. Czy w tej sytuacji można ją uznać już teraz za dojrzałą w pełni do ustroju o charakterze np. wielopartyjnym? (którego, nawiasem mówiąc nie było u nas przez lat 200 i którego nie ma przecież nawet w takich krajach jak Anglia czy Ameryka). Myślę, że Polska musi przede wszystkim okrzepnąć w nowych granicach i w nowych stosunkach demograficznych — to jest sprawa życia lub śmierci (wręcz biologicznej). Nie sposób przecież prowadzić jakiegokolwiek polityki polskiej, nie posiadając dla niej scementowanej bazy, nie posiadając określonego i utrwalonego podmiotu i zarazem przedmiotu tej polityki. Dlatego, w moim pojęciu, obecna „prześciowa” sytuacja jest dla kraju najkorzystniejsza z możliwych: życzę Polsce, aby w sytuacji międzynarodowej jak najdłużej nic się nie zmieniło — czas pracuje dla nas i dla naszego nowego terytorium.

3) Patrząc na świat z nowoczesnej, „sputnikowej” perspektywy p. Mieroszewski nie zauważa, że w naszym biednym kącie mizernego półwyspu zwanego Europą, naród polski w dalszym ciągu nie ma innego wyboru, jak tylko wybór między Rosją a Niemcami. Wszelkie inne „trzecie wyjście”, tj. próba wykręcenia się od wyboru musi automatycznie doprowadzić do sytuacji z r. 1939, tj. do znalezienia się bez sojuszników w obliczu dwóch wrogów, ściskających Polskę jak w obcęgach.

Wielu ludziom w Polsce wydawało się, że po II Wojnie Światowej problem niemiecki stanie się anachronizmem i że w tej części Europy konflikt toczyć się będzie tylko między Związkiem Sowieckim a zjednoczonym Zachodem. Tymczasem niezdecydowana a oparta na nieznajomości historii Europy polityka amerykańska powołała z powrotem do życia sprawę niemiecką i w tej chwili kraje takie jak Polska czy Czechy mają znów przed sobą ten sam tradycyjny wybór „orientacji”, przy czym wspólność ustroju i gospodarki z Rosją oraz rewindykacyjne tendencje w Niemczech przesądzą o narodowej konieczności orientacji wschodniej i o zupełnym samobójstwie politycznym, jakim byłoby szerzenie w zdezorientowanym kraju nastrojów antysowieckich (to do sztambucha przede wszystkim „Wolnej Europy”, nie mówiąc już o całkiem nieprzytomnej radiostacji „Madryt”) — zwłaszcza w okresie, gdy stalinowski totalizm ma szanse przekształcenia się w chruszczowowski pragmatyzm.

Niestety w „Kulturze” pokutują nadal echa jakichś piłsudczykowskiich „idej jagiellońskich”. Piłsudski podczas I Wojny Światowej działając z wielką determinacją i zrzecznością doprowadził do powstania Państwa Polskiego, niestety w ciągu Dwudziestolecia ani on, ani jego następcy nie potrafili oprzeć tego państwa na bazie jakichś racjonalnych i konkretnych, nie zaś „egzotycznych” sojuszków, stąd w prostej konsekwencji, sytuacja

z 17 września 1939. Myślę, że masowy a pospieszny exodus góry „sanacyjnej” przez Zaleszczyki był między innymi podświadomym choćby uznaniem faktu odpowiedzialności, ponoszonej przez ten obóz za błędną politykę i jej skutki.

Niepomna jednak na te ponure wydarzenia „Kultura” wciąż od czasu do czasu powraca do koncepcji, które mogą ustawić Polskę w sytuacji gdy znajdzie się ona idealnie pozbawiona wszelkich sojuszów i znaczenia. Tak np. w numerze 1-159 ukazały się artykuły rosyjskiego emigranta (nie żyjącego już) G.P. Fiedotowa „Losy imperium” oraz „Polska i my”. Autor wywodzi tam, że po rozbiu przez Zachód „imperium sowieckiego” na terenach jego powstanie szereg wolnych republik m.in. Ukraina, Białoruś, Litwa, a obok sprzymierzona z nimi „etnograficznie zwarta i czysta”. Polska. Każdemu czytelnikowi z Polski nasuwa się natychmiast pytanie, na jakim to terenie ma rozprzestrzeniać się owa Polska przyszłości, bo można żywić obawy, że będzie to Polska zarówno bez Wilna i Lwowa jak i bez Wrocławia i Szczecina, czyli coś w rodzaju Księstwa Warszawskiego. Polska dzisiejsza ma wszakże 30 milionów ludności i jest właśnie „etnograficznie zwarta i czysta”, a narody mają przecież ten mankament, że nie mogą unosić się w powietrzu, lecz muszą mieszkać na określonym terytorium. Niestety „Kultura” nie zechciała wyjaśnić, jaki ma stosunek do marzeń p. Fiedotowa — a szkoda.

Myślę, że warto by już było na emigracji zrozumieć, że komuniści polscy są dziś niczym innym, jak reprezentantami polskiej „orientacji wschodniej”. Całe to szczęście dla Polski, że Stalin nie zdążył wygubić ich wszystkich i że w r. 1945 znaleźli się w Moskwie ludzie, którzy mogli dzięki wspólności politycznego języka i myślenia zacząć jakąś konstruktywną politykę z Rosją. Paradoksalnym zrzędzeniem losu ci właśnie ludzie a nie kto inny stali się w dziedzinie kierunku sojuszów oraz przekształceń terytorialnych Polski realizatorami idei Dmowskiego: w moim przekonaniu bowiem historia przyznała tu geopolityczną rację nie Piłsudskiemu, lecz właśnie Dmowskiemu. Myślę, że warto na te sprawy spojrzeć historycznie szeroko. Oburza mnie zawsze gdy we wspomnieniach emigracyjnych oficerów czy polityków pomijany jest czy spotwarzany np. generał Berling. Wszakże fakt, że ten z legionowych przecież formacji się wywodzący oficer pozostał w Rosji i potrafił znaleźć wspólny język z komunistami, miał dla losu Polski ważniejsze znaczenie polityczne (a więc i praktyczne, bo polityka decyduje o praktyce) niż działalność najbardziej bohaterskich oficerów polskich na Zachodzie. Rozumiem, że można nie podzielać orientacji, nie rozumiem, jak można nie dostrzegać narodowej roli tej sprawy, gdy jednocześnie pisze się mnóstwo o najdrobniejszych poczynaniach czy sporach generałów polskich z okresu Dwudziestolecia lub wojny w Zachodniej Europie.

4. P. Mieroszewski twierdzi, że „Październik” skończył się w Polsce klęską. Uważam to twierdzenie za gołosłowne i absur-

dalne. Gdyby nawet ze wszystkich zdobyczy „Października” został tylko polski statut rolnictwa, to i tak jest to osiągnięcie olbrzymie. A przecież zostało jeszcze mnóstwo innych rzeczy, których wymieniać nie będę. Oto są skutki sputnikowego braku poczucia praw ciężenia i niemożności osobistego skonfrontowania czasów stalinowskich z obecnymi.

P. Mieroszewski precyzuje jednak dalej swe stanowisko na temat owej rzekomej „klęski Października”. Píše mianowicie: „Wyrazem klęski była likwidacja wiary w socjalizm i całkowity indyferentyzm polityczny. Za ideał uważa się „pracę organiczną” w oparciu o postawę ideologicznie obojętną”.

Tu Cię mamy! P. Mieroszewski uważa siebie, co od czasu do czasu w miarę polemicznej potrzeby zaznacza, za socjalistę — ja zaś siebie za takowego nie uważam: oto zasadnicza między nami różnica. W ogóle jestem sceptykiem wobec wszelkich ideologii politycznych poza patriotyzmem i staram się być w polityce absolutnym pragmatystą. Można się ze mną nie zgadzać, gdy ma się w zanadrzu coś na pewno znacznie lepszego. Mnie wystarczy świadomość, że postawy pragmatystycznej w polityce trzymali się zawsze dla realizacji swych narodowych celów Anglicy i jakoś najgorzej na tym nie wychodzili.

5. P. Mieroszewski píše, że grupa do której należę, dąży do „geopolitycznego lojalizmu”, który jest w gruncie rzeczy „odmianą starej daty lojalizmu zaborczego” i że „...wprzęganie katolicyzmu w celu oddziaływania po tej linii na Polaków zagranicznych — jest przejawem tępoty i oportunistu pewnych kół inteligencji w kraju”.

Każda orientacja w Polsce zarzucała drugiej orientacji „zaborczy lojalizm”: endecy piłsudczykom austriacki ci im — rosyjski itd. Załatwianie spraw publicznych epitetami to niestety wynik braku kultury politycznej w tym nieszczęsnym kraju, rozciągającym się, jak widać aż po Londyn. Jeśli chodzi o „Polaków zagranicznych” to mało kto zamierza na nich wpływać, ale niechże i oni nie wywołują zamieszania, sięjąc u nas zgubne nastroje antysowieckie, w okresie właśnie „odwilży”, dezinformując nasze i tak już dostatecznie „skołowane” społeczeństwo (schematyzm propagandowy radia „W.E.” ani o włos nie jest lepszy od schematyzmu propagandy komunistycznej z okresu minionego: zareczam za to autorytatywnie, bo masę się natykałem i jednego i drugiego) i niechże wreszcie nie czynią sobie z polskiego katolicyzmu trampoliny do swoich rozgrywek „orientacyjnych”. Tutaj bowiem jesteśmy po raz pierwszy przy arcyważnej, a boleśnie istotnej sprawie różnicy „modły życiowej” czyli w tym wypadku „modły duchowej”.

Czy można zachować katolicką względnie chrześcijańską „modłę duchową” wobec ideologicznego naporu marksistów? W moim pojęciu można i trzeba, możliwości zaś otwierają się tym szersze, im bardziej właśnie komunizm się pragmatyzuje, a przez to i liberalizuje. Sprawa jest trudna i często dramatyczna (bo laicyzacja społeczeństwa rozwija się organicznie, w miarę rozwoju

cywilizacji przemysłowej, nie tylko w rezultacie akcji komunistów — wie o tym dobrze każdy, kto mieszka w krajach kapitalistycznych), ale warta obustronnego zachodu: stworzenie po raz pierwszy zadowalającego obie strony „modus vivendi” między Kościołem a Rządem w kraju Bloku Wschodniego byłoby aktem twórczym i ważnym precedensem dziejowym, natomiast schemat walki, przenoszącej się poza teren filozoficzny w dziedziny administracyjne jest wulgarny, jałowy i w świetle uniwersalistyczno-pragmatystycznej ewolucji komunizmu — mało sensowny. Środowiska nasze wkładają w realizację teoretycznych i politycznych przesłanek dla takiej koegzystencji dużo wysiłku — za to kłbice zagraniczni tak cudzoziemcy jak i emigranci robią wszystko, aby plotkarską i histeryczną postawą sprawy te jeszcze utrudnić i rozjątrzyć, wciągając je w orbitę rozgrywek politycznych. A przecież tu właśnie przebiega rzeczywiście żywy i ważny odcinek walki o „modłę życia”: zwycięstwem może tu być tylko porozumienie, zaognienie konfliktu będzie na pewno, w szerszej skali, porażką dla stron obu. Dlatego proponuję, aby tej właśnie duchowej przede wszystkim sprawy w orbitę naszych politycznych dysput nie wciągać.

6. I wreszcie sprawa ostatnia: propozycje naprawy naszego ustroju czy systemu, przekształcenia go, odtotalizowania, zdemokratyzowania, zliberalizowania etc. Myślę, że wszyscy (wraz z mądrzejszymi ludźmi z Partii) zgodni jesteśmy, iż zrobić to trzeba, różnimy się tylko w metodzie wykonania i w wyborze wykonawców. Myślę, że nie można wyrażać chęci naprawy ustroju odrzucając jego podstawy polityczne: nie można jednocześnie czegoś naprawiać i żądać jego likwidacji. W kraju, gdzie strukturą społeczną zarządzają „manadżerowie produkcji”, tylko oni jednej, a nie masy, ani nie „intelektualiści” mogą podjąć się zainicjowania dzieła naprawy i wciągnięcia w to dzieło szerokich rzesz pracowniczych: mechanikę tego procesu wyjaśnił zresztą doskonale właśnie p. Borys Lewickij w wymienionym artykule. Warto też zaznaczyć, że wszelkie procesy naprawy mają swe granice w obiektywnych aktualnych możliwościach gospodarczych, że „herbata nie robi się słodsza od samego mieszania łyżeczką”, że procesy poprawy są długofalowe i wymagają tak niepopularnych wśród „intelektualistów” środków jak zwiększenie wydajności pracy i stabilizacji warunków politycznych. Stan natomiast „permanentnej opozycji”, choć miły sercu artysty (tu następuje we mnie rozdwojenie) w konkretnym społecznym nie da wiele, o ile nie idą za nim rzeczywiste atuty polityczne. Jeśli p. Mieroszewski takowe posiada — niechże je nie zwlekając wyłoży. Ale, sądząc po jego doskonałej książeczce „Kehrt Deutschland in den Osten zurück?” i wielu artykułach dotyczących sytuacji międzynarodowej, w ocenie aktualnych sił i możliwości politycznych nie wiele się z nim różnimy. Więc?

Myślę, że p. Mieroszewskiego zawodzi trzeźwość, gdy zaczyna przypisywać nadmierną rolę polityczną literatom, filozofom, artystom. Młodzieńczą wiarę w ogromne, doraźnie konkret-

ne polityczne znaczenie ich działalności odziedziczył chyba „à rebours” po Stalinie i Żdanowie, którzy też mieli na ten temat manię. Stąd płyną takie opętane pomysły, jak projekt wydania książki Stawara po rosyjsku czy propagowanie nowelek Terca (Nb. książkę Stawara czytałem, jest interesująca jako dokument, ale truistyczna, pozbawiona danych gospodarczych i politycznie zgola nieaktualna). Wszelkie poczynania z Zachodu, mogące nosić zewnętrzne choćby znamiona dywersji, muszą na Wschodzie opóźniać organiczne procesy „odwilży”, dając do ręki broń jej przeciwnikom. Fakt, że „biali Polacy z Paryża chcą komunistów w Rosji uczyć marksizmu” nie może być w Moskwie odebrany inaczej, niż jako działanie dywersyjne, choćby się p. Mieroszewski bardzo oburzał i krzyczał, że jest najczerwniejszy z czerwonych. Akcja taka nie ma nic wspólnego z „mobilizowaniem”: to jest właśnie demobilizowanie tych czynników, które organicznie i ze środka rozpoczynają dzieło odnowy. Nie wygląda ono może z daleka efektownie dla publicysty — ale przecież chodzi nie o efekt, lecz o realną społeczną skuteczność. Chcąc przy tym, powtarzam, coś przerabiać, trzeba najpierw to coś znać — stąd ponawiam propozycję przyjazdu p. Mieroszewskiego do Polski — w charakterze eksperta od socjalizmu (nie krócej niż na trzy miesiące).

Przepraszam, że się tak rozpisałem, ale sprawy są ważne, a okazji mało. Łączę wiele serdecznych pozdrowień.

Stefan KISIELEWSKI

Warszawa, 4.1.1962.

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”

I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”

NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

**WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.**

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Najnowsza historia Polski

Zagłada getta warszawskiego

Wśród polskich relacji i opracowań, dotyczących przeżyć i walk w okresie II wojny światowej, brak do tej pory pełnego, gruntownego opracowania, dotyczącego Żydów polskich. Książka taka może być tylko rezultatem pracy zbiorowej. Na przystąpienie do niej jest już ostatnia pora. Mam na myśli opracowanie w języku polskim, dokonane pod autorytetem jednej z poważnych polskich instytucji badawczych na obczyźnie. Musiałoby ono uwzględnić publikacje w innych językach, jakie się na ten temat do tej pory pojawiły oraz polskie materiały archiwalne, przechowywane na obczyźnie. Wśród tych materiałów szczególnie cenne są sprawozdania okresowe Delegatury Rządu R.P. w Warszawie oraz relacje kurierów z okupowanej Polski.

Poniższy wybór dokumentów ma charakter przyczynkowy. Z wyjątkiem dokumentu nr 1, nie były one do tej pory ogłoszone. Publikuję je z moich własnych zbiorów. Dokumenty te otrzymałem w latach wojny bądź to jako przedstawiciel Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S. (W.R.N.), bądź to jako przewodniczący Rady do spraw ratowania ludności żydowskiej w Polsce. Odpis dokumentu nr 4 otrzymałem ze zbiorów Studium Polski Podziemnej w Londynie, gdzie znajduje się oryginał. Odpis dokumentu nr 10 — z Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Dokument nr 1 nie jest podpisany. Wydała go organizacja „Wolność”, która na prawach autonomicznych wchodziła w skład podziemnej P.P.S. (W.R.N.). W owym czasie toczyły się narady na temat jednolitego oznaczania wszystkich wydawnictw P.P.S., a ponieważ z wydaniem tej odezwy nie można było zwlekać, więc autorzy zrezygnowali z podpisu. Dokument nr 3 oznaczony był jako wydany przez Ruch Mas Pracujących Polski, co było kryptonimem Polskiej Partii Socjalistycznej (W.R.N.).

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Odezwa ta była przedrukowana w dwutygodniku „W.R.N.” nr 9 (115) z dnia 7 maja 1943 r. W dokumentach nr 7 i 8 skrót R.Ż.M.P. oznacza Ruch Żydowskich Mas Pracujących, kryptonim „Bundu”; Berezowski, to dr Feiner. Dokument nr 4 jest fragmentem relacji pt. „Plan pracy saperów okręgu Warszawa na wypadek walki z Niemcami”, spisanej w dniu 27 maja 1946 r. Jej autor, kpt. Pszenny (pseudonim „Chwacki”), był w okresie od września 1942 do 5 października 1944 r. szefem saperów Armii Krajowej Okręgu Warszawa.

Zdaje sobie z tego sprawę, że dokumenty w tym wyborze zebrane mają bardzo nierówną wagę. Raz jednak należało zrobić początek.

Adam CIOŁKOSZ

I. ODEZWA P.P.S.

Do Ludu Pracującego Warszawy

Do nieskończonego łańcucha zbrodni i okrucieństw, dokonywanych w naszym kraju, hitlerowski najeźdźca dodał nowe ogniwo: żywe ciało stolicy Polski pocięto hańbiącymi murami, jednym zarządzeniem wyrwano narzędzia pracy z rąk tysięcy ludzi i zniszczono podstawy ich bytu! Czterysta tysięcy mężczyzn kategorii zamknięto na terenie nazwanym dzielnicą żydowską, skazano na wygłodzenie, zdano na łaskę i niełaskę zbirów z S.S. Tak masowego bestialstwa nie zna historia.

Ale nieprawdą jest jakoby zarządzenie o utworzeniu ghetta godziło tylko w Żydów. Tysiące zniszczonych polskich warsztatów, czyni, kobiet, starców i dzieci należącej do niewolników ostatniej kategorii przemysłowych, bezrobocie licznych rzesz robotników, urzędników, dozorców i pracowników domowych — oto jak na polskim terenie wygląda plon nakazów Liestów i Fischerów.

Nie boimy się o los polskiej i żydowskiej burżuazji. Pieniądze torują jej drogę, a tysiące małych i dużych, mniej i bardziej śmierzących interesów wiąże polską i żydowską burżuazję z okupantem i z ucisku jego straszliwego tworzy dla niej lukę, w której można „spokojnie żyć”. Te warstwy nie czeka zresztą żadna przyszłość, tak samo jak nie czeka dobra przyszłość ludzi, którzy umieją żyć na kolanach.

Ciężar każdej wojny i każdej niewoli spada zawsze na barki ludu pracującego bez względu na to do jakiego narodu ona należy.

Ileż podłego cynizmu jest w tym, że rękami wygnanych z pracy robotników polskich i żydowskich wzniesiono mury, które mają ich dzielić tak, jakby inny czekał ich los po tej czy po tamtej stronie, jakby inne były ich pragnienia, dążenia i cele. To nieprawda! Prześladowania hitlerowskie spadają zarówno na jed-

nych jak i na drugich: masowe oblawy na ulicach i po domach dostarczają niewolników — polskich na pracę do Niemiec, do upiornego Mauthausen i krwawego Oświęcimia, a żydowskich do obozów pracy i męki nad Wisłą i w Lubelszczyźnie. Po obu stronach murów masy pracujące żyją w prymitywnych, tragicznych warunkach.

Zbrodniczy, podły i podstępny okupant widzi, że represje nie osłabiają pogardy, która go otacza, stara się więc nienawiść, którą czuje wokół, odwrócić od siebie. „To nie Hitler winien męce ludu polskiego to winni Żydzi”. I oto szalejąca propaganda niemiecka stara się przeciw zamykanym za murami ghetta skierować ostrze nienawiści ujarzmionego ludu polskiego.

Ruchy reakcyjne i agentury hitlerowskie ich przed wojną szykowały jej grunt w naszym kraju, wynajdując w momentach najpoważniejszego już zagrożenia Polski wrogów jej wszędzie, byleby nie pod znakiem swastyki. Ale lud polski, który walkę z faszyzmem i hitleryzmem prowadził przed tymi dniami, kiedy na polach bitew i w obronach osiedli dowodził swej dojrzałości i ofiarności — dzisiejszą swoją postawą wykazuje również, że dobrze rozumiał istotę i drogi zwycięskiego hitleryzmu. Lud polski rozumie też sens tej gry i z pogardą odrzuca proponowane mu przez hitleryzm stanowisko lepszego, niezamkniętego jeszcze w ghettcie, niewolnika.

Bo nie ma lepszych i gorszych stopni w gmachu niewoli, nie ma gorszych i lepszych kategorii niewolników pod butem brutalnego najeźdźcy! Są tylko walczący i ci, co się ugięli...

I dziś, kiedy Hitler, mimo swej ruchliwości dyplomatycznej, mimo narastającej faszystowskiej rodziny „osi” i mimo pomocy Stalina — nie może zebrać owoców owych zwycięstw militarnych — opór łamiący przepisy, nakazy i zakazy zaborcy ma olbrzymie znaczenie. A opór ten, choć nie zdołał zapobiec utworzeniu ghetta, wzmacnia się z dniem każdym. Masy pracujące polskie przerzucane dziś brutalnymi rozkazami z miejsca na miejsce, masy pracujące żydowskie zamykane dziś za murami ghetta, masy zakuwane z dnia na dzień silniej w kajdany niewoli, widzą wyraźnie przed sobą wielką, krwią ociekającą drogę walki o Niepodległą Polskę Ludową — o Polskę, która zrealizuje wreszcie ideały Wolności, Sprawiedliwości Społecznej i Równouprawnienia wszystkich narodów jej ziemie zamieszkujących.

Zwycięstwa w tej walce nie przyniesie zbawcze przybycie takiej czy innej armii na nasze ziemie, nie dadzą go paktów i umowy — ale rewolucyjny ruch mas ludowych Polski, zbratanych z innymi ludami Europy, walczącymi dziś z faszyzmem i wszelkimi przejawami tyranii i totalizmu na wszystkich wojennych i podziemnych frontach.

Zrozumienie tej drogi przenika głęboko w świadomość chłopów, robotników i inteligencji pracującej. Rozumieją ją masy pracujące po obu stronach murów. Bo czyż mur wybudowany z rozkazu zaborcy potrafi zniszczyć wspólnotę ideałów i myśli, czyż może zniweczyć wieloletni trud wspólnej walki robotników

polских i żydowskich, walki, jaką przez tyle lat prowadzili oni z polską i żydowską burżuazją, z wyzyskiem, faszyzmem i oszukańczymi przegrodami rasowymi. Nie! Póki w masach pracujących polskich i żydowskich żyje pragnienie wolności, póty mur ten jest tylko sztuczną przegrodą, która razem z faszyzmem w pył upadnie, jako jedne z przejawów dziś zwycięskiego, jutro pokonanego barbarzyństwa. Nie po to jednak, aby na gruzach tych murów znów polscy i żydowscy kapitaliści zawarli pakt wzajemnej pomocy i zakuli wyrwywający się z niewoli hitlerowskiej lud pracujący polski w jarzmo ucisku i wyzysku.

Na miejscu tych murów, na gruzach hitlerowskiego domu niewoli, na gruzach domów zwalonych w czasie bohaterskiej obrony stolicy — staną mury domów robotniczych, szklanych domów Wolności Warszawy.

Wizja tej nowej stolicy, wizja Niepodległej Polski ludu pracującego, Polski Socjalistycznej, która obali i zniweczy wszelką niewolę i zamieni nasz kraj w wielką Ojczyznę Wolności i pozwoli nam przetrwać najcięższe okresy i nie osłabnąć ani na chwilę w walce!

Walka ta przyniesie zwycięstwo!

Pieśń tej walki zna dobrze i rewolucyjna robotnicza Wola i pamiętny, skrwawiony w 1904 roku czerwony Plac Grzybowski — dziś zamknięty za murami ghetta!

Niech żyje Wolność!

Niech żyje Wolna Warszawa — stolica Polski Ludu Pracującego!

Niech żyje Niepodległa Polska Socjalistyczna!

Warszawa, w listopadzie 1940 r.

2. PISMO C.K.R. P.P.S.

Wyjątek z pisma Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S. z daty 21 czerwca 1942 roku, przesyłka 6/42, list Nr K. 46, adresowanego do Sekcji Zagranicznej P.P.S. na ręce sekr. gen. tow. Przemyskiego (Ludwika Grosfelda) i tow. Adama Kremrowskiego (Ciółkosza).

Terror niemiecki przybierając na sile, doszedł do ogromnego napięcia. Coraz większa ilość aresztowanych, coraz bardziej masowo stosowane rozstrzeliwania i ciągłe wywożenia na roboty przyfrontowe i do Niemiec dziesiątek tysięcy niewolników, chwytych w miastach, miasteczkach i wsiach wycieńcza coraz bardziej społeczeństwo. Ucieszyła nas przeto bardzo debata w parlamencie angielskim. Sądzymy jednak, że bez doraźnego zastosowania retorsyj wobec Niemców, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, nie ma nadziei powstrzymania zbirów okupacyj-

nych przed fizycznym wprost wymordowywaniem nas. Żydzi już w ogromnej części zostali wymordowani. Ostatnio zlikwidowano Żydów w Krakowie a oddziały „czyszczące” obecnie wymiatają z Żydów drobniejsze miasta i miasteczka. Przy tej okazji setki ludzi pada trupem po drodze do nowych miejsc przeznaczenia, resztę wykańcza obóz z Bełżcu, gdzie wciąż spędzają nowe partie Żydów a w barakach obozu ludności nie przybywa. Naprawdę trzeba tu sięgnąć do najostrejszych środków, bo jeszcze pół roku tego trzebienia w połączeniu z działaniem nadchodzącej zimy bez opał, a ilość ofiar trzeba będzie liczyć na miliony.

3. ODEZWA P.P.S.

Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących w Polsce w związku z wypadkami w warszawskim getto wydało w dniu 22 kwietnia odezwę treści następującej:

Towarzysze i Obywatele!

Od 18 kwietnia w getto warszawskim trwa akcja przeciwdziałania zamiarom okupanta, który postanowił ostatecznie wymordować resztki Żydów polskich. Skazani przez Hitlera na śmierć postanowili nie poddać się biernie katom na pastwę i broń honoru człowieka i obywatela stawiają mężny opór krwawym siepaczom. Nad Warszawą znów rozplomienia się łuna pożarów, znów zagrały karabiny i armaty, znowu odezwał się huk granatów. Robotnicy i pracownicy — obywatele polscy narodowości żydowskiej stanowią rdzeń i duszę tych żydowskich oddziałów bojowych, które podniosły zbrojny protest przeciw gwałtom hitlerowskim. Nad ich głowami w czasie walk powiewa narodowy sztandar polski, ich czyn wiąże się jako jedno ogniwo, z trwającym już czwarty rok nieprzerwanym ciągiem aktów oporu i walki całej Polski.

Jest sprawą wielkiej wagi, by w historycznych walkach, które przeżywamy, cała Polska i świat cały rozumiały dokładnie wymowę każdego epizodu walki o wyzwolenie. Czy bitwa pod Krasnobrodem, czy poszczególne akcje oddziałów Sił Zbrojnych w Kraju, czy wystąpienie zbrojne obywateli polskich zamkniętych w warszawskim getto — wszystkie te akty świadczą o nieprzejednanym stanowisku Polski wobec okupanta, o naszej woli zdobycia pełnej niepodległości. Żadna kropla krwi przelana w tych bojach nie będzie stracona. Każda ofiara musi stać się cementem wolności i sprawiedliwości społecznej dla wszystkich obywateli odrodzonej Rzeczypospolitej.

Robotnikom i pracownikom narodowości żydowskiej, którzy w obliczu niechybnej śmierci postanowili raczej zginać z bronią

w rękę niż poddać się biernie przemocy, przesyłamy braterskie pozdrowienie i zapewnienie, że czyn ich nie przebrzmi bez echa. Wejdzie on w legendę Polski walczącej, stanie się wspólnym dorobkiem ludu Polski, dorobkiem na którym wzniesiony zostanie gmach odrodzonej Rzeczypospolitej.

Do ludów świata wołamy: oto w obliczu potwornych planów zniszczenia, jakie od trzech lat urzeczywistnia okupacja hitlerowska, pod jarzmem najstraszliwszego terroru, który szaleje na naszych ziemiach, raz po raz wybucha płomienny protest mordowanych i maltretowanych synów polskiej ziemi. Woła o ratunek, o pomoc jaknajszybszą, aby dzień pokonania wroga przyszedł przed ostatecznym wyniszczeniem naszych sił żywotnych.

Wołając o jak najszybsze uderzenie z zewnątrz w potęgę niemiecką, wzmocnijmy nasz wysiłek dla przygotowania powszechnego powstania polskiego, które wraz z ofensywą sprzymierzeńców zada śmiertelny cios totalizmowi wszelkich odcieni.

Wolność — Równość — Niepodległość.

SPRAWOZDANIE PPLK. WEBERA

Sprawozdanie z współpracy Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej z Żydowską Organizacją Bojową.

W jesieni 1942 roku Okręg otrzymał rozkaz Komendanta Głównego Armii Krajowej — udzielenia pomocy tworzącej się w ghetcie Żydowskiej Organizacji Bojowej Ż.O.B. Równocześnie przekazano nam kontakt na jej przedstawiciela, którym był dwudziestokilkuletni młodzieniec o pseudonimie „Jurek”.

Pierwsze dwa kontakty przeprowadził Komendant Okręgu osobiście przy obecności mojej jako szefa sztabu Okręgu. „Jurek” nakreślił nam cel organizacji, jej sytuację na terenie ghett, ówczesny stan organizacyjny, uzbrojenie oraz potrzeby.

Cel organizacji Ż.O.B.: Walka z Niemcami, aby drogo sprzedać swoje życie.

Sytuacja na terenie ghett: Starsze pokolenie oraz przedwojenne organizacje żydowskie były wrogo nastawione do tworzącej się organizacji bojowej, uważając, że każdy opór przyspieszy tylko całkowicie zagładę Żydów.

Stan organizacji wynosił 150 ludzi z istniejącymi możliwościami wciągnięcia do organizacji dużej ilości bojowo nastawionej młodzieży.

Stan broni: 10 pistoletów przekazanych organizacji przez komórki Komendy Głównej A.K.

Potrzeby organizacji:

- wskazanie konspiracyjnej formy organizacyjnej,
- pomoc w opracowaniu planu walki w ghetcie,

- przeszkolenie członków organizacji,
- broń i materiały wybuchowe,
- pomoc w rozbudowie bunkrów obronnych,
- pomoc w organizacji ucieczek z getta.

Jako formę organizacyjną zatwierdzono piątki (1 + 4), które miały być łączone do walki w plutony o stanie sześciu piątek.

Akcje

Bezpośrednio przed atakiem niemieckim na ghetto Ż.O.B. miała około 20 plutonów, od 3 do 6 piątek w plutonie, ogółem około 600 ludzi.

Plan walki w ghetcie opracowany został przez szefa sztabu Okręgu A.K. „Chirurga” przy współpracy „Jurka” oraz szefa saperów Okręgu „Chuchro” (kpt. sap. Jerzy Lewiński), a następnie zatwierdzony przez Komendanta Okręgu A.K. „Montera” i Komendanta Ż.O.B.

Komendant Okręgu „Monter” zażądał, aby plan przewidywał możliwie najwięcej punktów oporu w pobliżu murów getta, gdyż wtedy oddziały A.K. będą mogły przeprowadzać uderzenia na tyły Niemców atakujących punkty oporu Ż.O.B. i w ten sposób odciążyć ich obronę. Opracowany plan przewidywał dwanaście punktów oporu, które miały być wspomagane przez uderzenie odciążające oddziałów A.K. z zewnątrz.

Akcje na wspomniane punkty oporu z rozkazu Komendanta Okręgu zostały przygotowane przez komendantów dzielnic: Praga, Wola, Ochota i Śródmieście, przez oddziały Kedywu Okręgu oraz jedna akcja przez oddziały Kedywu Komendy Głównej A.K.

W okresie walk akcje odciążające były nakazywane przez Komendanta Okręgu stosownie do sytuacji w ghetcie. W akcjach tych, których wykonano siedem, — między innymi: szpital Jana Bożego, brama przy Stawkach, Dzikiej, ul. Gęsia, ul. Bonifraterska — straty Okręgu w zabitych i ciężko rannych wyniosły około 30 ludzi, zużyto duże zapasy amunicji oraz cały posiadany zapas materiału wybuchowego.

Forma dywersyjna tych uderzeń nie pozwalała na angażowanie większych sił i zmuszała do krótkich akcji. W dwóch wypadkach udało się naszym oddziałom wysadzić mur, w trzecim wypadku — bramę getta. Przy bramie nasze oddziały zaskoczyły pluton żandarmerii niemieckiej i zniszczyły go prawie całkowicie.

Straty niemieckie w tych akcjach były dużo większe niż oddziałów A.K.

Każda z tych akcji miała na celu wysadzenie murów w pobliżu punktu oporu Ż.O.B., wtargnięcie oddziałów A.K. do getta oraz uderzenie na tyły nacierających oddziałów niemieckich.

Akcje wykonane zostały przy osobistym nadzorze komendantów dzielnic. Akcję przy ul. Bonifraterskiej obserwował osobiście Komendant Okręgu „Monter”.

Przeszkolenie. Przeszkolenie wojskowe instruktorów Ż.O.B. przeprowadzał kpt. saperów „Szyna” według instrukcji wyszkoleniowych A.K. w porozumieniu z szefem sztabu Okręgu oraz przy pomocy materialnej komórki wyszkoleniowej saperów Komendy Głównej A.K. Przeszkolenie instruktorów Ż.O.B. odbywało się po stronie aryjskiej w lokalach A.K.

Broń i materiały wybuchowe

Okręg Warszawski A.K. przekazał Ż.O.B. całkowite ówczesne uzbrojenie dzielnicy Wola, która była wtedy jedną z najlepiej uzbrojonych dzielnic Warszawy, wynoszące:

- 1 l.k.m. z amunicją (polski)
- 2 r.k.m. z amunicją (niemieckie)
- 10 kb. z amunicją (polskie)
- 50 pistoletów ręcznych (różnych), każdy z dwoma magazynkami i z amunicją
- 500 granatów obronnych z zapalnikami
- 100 granatów zaczepnych z zapalnikami.

Saperzy Okręgu Warszawskiego A.K. przekazali do Ż.O.B.

— 30 kg. materiału wybuchowego produkcji angielskiej „Plastic” i 15 kg. tego materiału w różnego rodzaju bombach wybuchowych;

- 120 kg. szedytu dla produkcji granatów ręcznych (materiał wybuchowy produkcji konspiracyjnej A.K.);
- 400 zapalników do granatów (produkcji konspiracyjnej);
- Instrukcje produkcji granatów ręcznych z rur kanalizacyjnych i gazowych;
- Instrukcje produkcji butelek zapalających oraz 30 kg. potasu potrzebnego do tej produkcji;
- Instrukcje produkcji prochu czarnego oraz dużą ilość saletry;
- Instrukcje budowy bunkrów oraz źródło zakupu cementu, szyn i piasku w ghetcie.

Broń dla Ż.O.B. była przekazana w kilku partiach. W dostawie największej partii w końcu 1942 roku brałem osobisty udział. Broń tę przekazałem na bramie ghetta „Jurkowi”. Partia ta zawierała: jeden l.k.m. z amunicją, 50 pistoletów z amunicją, 500 granatów obronnych z zapalnikami oraz 30 kg. plastiku z lontem i spłonkami.

Przed przekazaniem broni do Ż.O.B. była ona gromadzona w piekarni na Burakowie, gdzie pod nadzorem oficera broni Okręgu i dzielnicy Wola odbywał się jej przegląd, naprawa i czyszczenie.

Po zatwierdzeniu planu walk w ghetcie oraz po przydzieleniu uzbrojenia, dalsze kontakty z Ż.O.B. oraz wykonanie rozkazów — Komendant Okręgu „Monter” polecił szefowi sztabu „Chirurgowi”. Kontakty między „Jurkiem” i mną odbywały się dwa

razy w tygodniu, raz na mojej melinie przy ul. 6 Sierpnia i raz na melinie „Jurka” przy ul. Wspólnej czy też Wilczej. W ciągu następnych spotkań przekazałem „Jurkowi” trzy stałe kontakty na zakup broni i amunicji na Dworcu Towarowym. Kontakty te były dobrze wykorzystane przez Ż.O.B. „Jurek” skarżył się, że pieniądze na zakup broni Ż.O.B. musiała zdobywać w ghetcie terrorem.

Również w tym okresie przygotowana tak zwana „akcja kanałowa”. Celem tej akcji miało być ratowanie członków Ż.O.B. po przewidywanym załamaniu się obrony ghetta. Ż.O.B. otrzymała od nas plany kanałów na terenie Warszawy oraz ustalone punkty wyjścia z kanałów, które po upadku ghetta będą otwarte i strzeżone przez oddziały A.K. Akcji kanałowych oddziały A.K. przeprowadziły trzy: jedną przy wiadukcie na Żoliborzu, drugą przy ul. Siennej i trzecią przy ul. Krochmalnej. W akcji przy ul. Siennej musieliśmy wysłać do kanałów naszych przewodników. Tą drogą uratowaliśmy kilkudziesięciu żołnierzy Ż.O.B., którzy po zamelinowaniu, przebraniu i wypoczęciu odsyłani byli do rejonu Puszczy Kampinowskiej lub do lasów Otwoczkich, skąd mieli być przekazani do oddziałów leśnych A.K. Gros, niestety, opuściło ghetto w stanie całkowitego wyczerpania fizycznego i nadawało się jedynie do szpitali i sanatoriów. Obserwując osobiście akcję kanałową przy ul. Siennej, przekonałem się o tragicznym stanie fizycznym żołnierzy Ż.O.B.

Na wiosnę 1943 r. „Jurek” został aresztowany i kontakt z Ż.O.B. przerwał się na dość długo. Następca „Jurka” — „Antek” nawiązał ze mną kontakt na krótko przed walką w ghetcie. Kontakt ten nie przyniósł żadnych większych zmian i był bardzo utrudniony semickim wyglądem „Antka”. „Antek” miał duże trudności poruszania się po aryjskiej części miasta i z tego powodu kilka spotkań nie doszło do skutku, bo „Antek” nie przybył.

Londyn, 12-go sierpnia 1961 r.

Płk. dypl. Stanisław *Weber*, pseudonim
„Chirurg”, b. szef sztabu okręgu warszawskiego Armii Krajowej

4. RELACJA KAPITANA PSZENNEGO

...Po tej akcji otrzymałem nowe zadanie. W chwili likwidacji warszawskiego ghetta przez Niemców, miałem wtargnąć ze swym oddziałem przez uczyniony wyłom w murze otaczającym ghetto do środka i przeprowadzić walkę ogniową z mordującymi Żydów SS-manami a następnie wycofać się przez inny wyłom w murze z innej strony. Oczywiście możliwie bez strat własnych.

To był plan pierwotny, który później uległ dużym zmianom na skutek przeprowadzenia rozpoznania sił npla.

Do tego zadania otrzymałem 6 p.m. Sten plus 24 magazynki i 2.000 szt. amunicji kal. 9 m/m. Resztę jak pistolety, granaty, mat. wyb. do wyłomów z zapasów własnych. Trzymałem oddział w pogotowiu przez 4 miesiące, od czasu do czasu biorąc udział kilkoma sekcjami w jakimś drobnym działaniu, np. w noc Sylwestrową 42/43 r. próby wysadzenia wiaduktu na Woli itp.

18-19 kwietnia 1943 r. Niemcy zaczęli ostateczną likwidację warszawskiego ghetta. Niepodległe organizacje żydowskie stały się zbrojny opór. Z organizacjami tymi nasze władze były w kontakcie.

W lutym względnie marcu 1943 r. na rozkaz z góry dostarczyłem do ghetta 40 szt. pistoletów z amunicją do nich i do kb., granaty, od strony ul. Okopowej i cmentarza Powązkowskiego. Obecni przy tym byli szef szt. okr. Chirurg i Chuchro.

Dnia 19. IV. 43 r. ghetto obstawione bardzo mocno z zew. patrząc wzdłuż muru przez żandarmerię, Szaulisów i naszą policję granatową było od wewnątrz niszczone dom po domu przez SS-manów.

Wybuchły wielkie pożary, które płonęły już aż do zupełnego wypalenia się ghetta. Dookoła ghetta zbitym tłumem przyglądały się temu w pierwszych dniach oniemiałe tłumy warszawian.

Otrzymałem rozkaz od mjr. Chuchro rano dn. 19. IV. o godz. 11.00 bezwzględnie wykonać swoje zadanie. Byłem gotów o godz. 18.00. Najwięcej czasu zajęło mi przygotowanie min do wysadzenia murów. Były to miny wydłużone na łątach o długości 1,5 m.b. każda i połączone do wysadzenia w jednym ogniu. Ważyły po 63 kg.

O godzinie 18.20 uderzyłem od strony ul. Sapieżyńskiej na ul. Bonifraterską. Udało mi się po kilku minutach walki zabić 3 żandarmów i 2 policjantów granatowych — jednak do muru ludzi nie pchnąłem ze względu na ogień ckm. SS-manów, który stał na rogu Muranowskiej i Bonifraterskiej i zamykał dojsię do muru. Z powodu dużego ciężaru min, kazałem je wysadzić na rogu ul. Bonifraterskiej i Sapieżyńskiej. Po 7-8 minutach walki dałem rozkaz wycofania. Straty własne — 2 zabitych i jeden ciężko ranny przy czym ranny ów na skutek poświęcenia ze strony kapr. Bąka, który go wyniósł w bezpieczne miejsce został uratowany.

Udział w walce brało praktycznie 1 plus 20. 10 ludzi nie doszło na czas ze względu na niemożność zawiadomienia, względnie trudności w komunikacji.

W samej walce prowadzili ogień, oprócz pistoletów i granatów ręcznych tylko 2 Steny, 2 pozostałe milczały na skutek zbytnej „nerwowości” tych dowódców sekcji, którzy je posiadali.

Po wybuchu min, grupkami, wzdłuż ul. Sapieżyńskiej, Franciszkańskiej, domy przechodnie na ul. Świętokrzyskiej, Stare Miasto, Pl. Zamkowy i tramwajami na Krakowskie Przedmieście do domów.

Oprócz mego oddziału został stworzony równolegle taki sam w baonie Jotesa. Oddział ten jednak z powodu braku broni krótkiej (pobrał ode mnie tylko 2 Steny) nie brał udziału w większych działaniach dywersyjnych. W marcu 1944 r. spalił Urząd Podatkowy na ul. Marszałkowskiej koło Pl. Zbawiciela oraz uszkodził przez wysadzenie rurociąg gazowy pod Włochami.

Były robione jeszcze kilkakrotnie próby atakowania ghetta, ale z powodu wielkiej siły Niemców wszystkie spęły na niczym. Mur stał aż go w końcu sami Niemcy porozbijali.

Chuchro próbował w tydzień potem użyć raz jeszcze mój oddział do tego samego zadania, jednak do akcji nie doszło z powodu przemęczenia ludzi.

Próbował sam ze swoim z-cą Szyną i kilkunastoma ludźmi. Później pod pretekstem doszkalania ludzi w akcji bojowej używane były w akcji przeciwko Niemcom pod ghettem oddziały dywersyjne Kedywu Okręgu z poszczególnych dzielnic. Była również szeroko rozwinięta akcja przeprowadzania Żydów z ghetta kanałami na tereny zamieszkałe przez Polaków. Akcja powyższa trwała dotąd, dopóki Niemcy nie pozasypywali wszystkich kanałów wychodzących z ghetta.

Oprócz oddziału mego i Jotesa, Kedyw Okr. Warszawa dysponował oddziałami dywersyjnymi we wszystkich dzielnicach Warszawy oraz powiatu. Głównym zadaniem tych oddziałów dywersyjnych na dzielnicach było wykonywanie wyroków naszych sądów podziemnych na wszelkiego rodzaju Volksdeutschach szczególnie dokuczliwych, szpiegach i zdrajcach. Początkowo miały one dużą samodzielność i z tego powodu zachodziły nieraz rozbieżności i nieskoordynowane akcje. Później jednak sprawy te uległy całkowitej zmianie i rozkazodawstwo, podział zadań do wykonania, zaopatrzenie w broń i mat. wyb. szło z ośrodka dyspozycyjnego jakim był Kedyw Okr. dla dywersji Okr. Warszawa.

Współpracowałem z mjr. Chuchro do początku listopada 1943 r. tj. do jego nieszczęśliwego aresztowania przez Gestapo. Opisuję tylko te sprawy, w których bądź sam brałem udział, bądź byłem świadkiem odpraw i przygotowań.

Na wiosnę 1943 r. zastępcą mjr. Chuchro został niejaki Andrzej, podobno nauczyciel ludowy z Woli. — Kpt. Szyna odszedł do biura doświadczeń i regulaminów.

Kpt. Pszenny Józef

Lista poległych obrońców ghetta warszawskiego — zawiera 199 nazwisk, przy czym z wyjątkiem jednego przy każdym podana jest przynależność organizacyjna: 7 Akiba, 26 Bund, 79 Gordonia, 37 Haszomer Hacair, 27 Lewica tj. komuniści, 15 Poale Sjon Lewica, 6 Poale Sjon Prawica, przy jednym nazwisku nie można odczytać skrótu oznaczającego organizację.

LISTA POLEGŁYCH OBROŃCÓW GHETTA WARSZAWSKIEGO

Anielewicz Mordchaj (HH), Altman Tesia (HH), Aleksandrowicz Jakub (HH), Asz Eliezer (HZ), Arersztejn Zachariasz (D), Altenberg Estera (D), Alterman Szloma (D), Arbuz Chaim (HH).

Bresler Szmul (HH), Blones Mejlech (A), Berman Franka (L), Baum Mosze (HZ), Blones Icchach (HZ), Brojdo Berl (D), Biegelman Menachem (D), Blausztejn Icchak (D), Bartmesser Nute (D), Baran Dwora (D), Blones Jurek (B), Blones Guta (B), Blones Lusiek (B), Brylantsztejn Stasiek (B), Brzezińska Zacha (L), Blank Marek (G), Blum Abram (Abrasza, B), Bartowicz Heniek (L).

Chadasz Icchak (HH), Chmielnicki Nachum (B), Cukier Nesia (D), Cygler Mosze (D), Chrzanowicz Icchak (D), Cebularz Tosia (L).

Dolek Liebeskind (A), Drenger Symek (A), Drajer Abram (D), Drezner Abram (D), Dobuchno Szaul (D), Dawidowicz Tauba (B), Duński Sewek (B), Dembiński Icchak (L), Dembińska Dorka (L), Diamant Abram (PL).

Elek (HH), Edelsztajn Cwi (D), Ehrlichman Sujka (G), Einsdorf Miriam (HH), Eiger Abram (B).

Fajner Abram (B), Finkelsztejn Majorek (B), Fass Józef (L), Frenkiel Toja (HH), Farber Józef (HH), Finkelsztejn Motek (D), Furmanowicz Pesia (D), Folman Marek (D), Futerman Ignac (B), Finkelsztejn Cyla (D), Frydrych Zalman (B), Fajgenblatt Jakub, Finkelsztejn Abram (D), Fidelzajd Symcha (PR), Fidelzajd Pola (PR).

Goldsztejn Izaak (B), Granatsztejn Sara (D), Getrajman Kuka (L), Gold Wulf (L), Graumann Chana (HH), Guterman (D), Grynbaum Icchach (D), Gutsztat Cypora (D), Gutman Henach (D), Gerszuni Gedalia (D), Grauzalc Lejb (B), Grynszpan Jurek (L), Gertner Israel (B), Górny Jechiel (PL), Gertner Aba (HH), Grzęda Szoszana (D).

Holand Zalman (A), Hajman Ruth (HH), Heller Szymon (HH), Halcband Aron (D), Hochberg Adolf (D), Hochberg Dawid (D), Hajman Itka (L), Himelfarb Adek (G).

Icuś (A), Izbicka Mira (HH), Igła Zygmunt (B).

Jasiński Lejb (D), Jankielewicz Adek (B), Juskiewicz Efraim (B), Jakubowicz Szoszana (D).

Kaplan Josef (HH), Kamień Salka (L), Karliner Arie (HH), Kerenbrum Alma (HH), Kirsznier Sigi (D), Klepfisz Icchak (D), Kirszenbaum Rachel (D), Kac Jankiel (D), Koziebrodzka Lonka (D), Klepfisz Michał (B), Klejman Ziuta (L), Kawa Heniek (L), Klajnman Sara (L), Koński Jehuda (D), Korn Leja (G), Klejnwajs Heniek (G), Kotowicz Szoszana (D), Kacenelson Cwi (D), Kożuch Hela (D).

Landau Margalith (HH), Lejbowicz Lejb (Laban, D), Litewski (PR), Lerer Cypora (D), Lewental Szymon (G), Litman Josef (PL), Lewin Gina (D), Liliensztejn Moniek (B), Lewski Izio (L), Lent Szanan (PL), Libert Chajm (D), Lewender Jafa (D).

Mordkowicz Basia (D), Manfred (D), Mittelman Israel (B), Moselman Rysiek (L) Manelak Bronka (PL), Morgenlender Icek (HH), Morgensztern Jochanan (PR), Majufes (L), Majerowicz Marek (PR).

Nulman Sewek (L), Nowodworski Dawid (HH), Nożyce Icchak (D), Niemiecka Renia (L).

Ochran Wanda (L), Oszerowski Michał (HH), Obersztyn Josef (D), Orwacz Abraham (HH).

Rozowski Israel-Wolf (B), Rozental Chaim (D), Romanowicz Israel (B), Rozowski Israel (B), Rozowski Lejb (B), Rudnicki Lew (L), Rozenfeld Różka (L), Rozen Stefan (PL), Rotman Cwi (HH), Rysia (D), Rutman Gedalia (A), Rotblat Lutek (HH), Rozenberg Jardena (HH), Rubin Mosze (D), Rozencweig Rachel (D), Rapaport Lejb (D), Rabow Fejga (D), Rajngewirc Moniek (D), Rubeńczyk Mosze (D).

Szłubowska Sara (D), Szwarc Szlome (B), Sznajdmil Abram (Berek, B), Szyfman Miriam (B), Szwarc Meir (B), Szuszowska Szulamith (HH), Sztengiel Heniek (D), Szwarcsztejn Falek (D), Symplak Icchak (D), Sufit (D) Sylman Sura (D), Szulman Dawid (D), Symplak Icchak (D), Sufit Szalom (A), Szpancer Szaja (L), Sarnak Jerzyk (L), Simson Zygryda (L), Szwarcfus Janek (L), Sarenka (HH), Sukiennik Icchak (Koza HH), Szajngot Tuwia (Tadek, ?), Szafirsztejn Rebeka (Julia, HH), Szarfsztejn Moszek (D), Sobol Szmul (D), Szulman Genia (D), Szerman Majorek (D), Skulska Chana (D), Szuster Szlamek (D), Sylman Batia (D), Szklar Ruth (D), Szyfman Leja (D), Stolak Abram (PL).

Troks Lejb (D), Tenenbaum Szlamek (L), Tajchler Guta (L).

Wortman Zeew (HH), Winogron Szloma (HH), Wald Benjamin (B), Waksfeld Mojsze (L), Wartowicz Olek (L), Wichter Icchak (PL), Wilner Arie (Jurek, HH), Wengrowicz Jehuda (H).

Zajfman Aron (PR), Zimak Naftali (D), Zając Herman (D), Zylberg Heniek (L), Żagiel Sara (L), Zimak Lilka (D), Zylbersztejn Moszek (L), Zelcer Israel (G), Zolotow (L), Zylberman Israel (D).

A — Akiba, B — Bund, D — Dror, G — Gordonia, HH — Haszomer Hacair, L — Lewica, PL — Poale Sjon Lewica, PR — Poale Sjon Prawica.

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXII

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA POLSKI

Część pierwsza

Obejmująca okres od zarania Państwa Polskiego do r. 1500 to jest doprowadzona do przełomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.

HISTORIA POLSKI Pawła Zaremby jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy.

Cena egz. 20 NF (30 sh., 4,25 dol.)

Str. 600 plus indeks

TOM LXXIII

I-szy

ZESZYT HISTORYCZNY

z a w i e r a :

Nieznane exposé prem. T. Arciszewskiego

Aleksander Lednicki (1866-1934)

(prace Z. Nagórskiego, sr. i W. Lednickiego)

Powstanie Warszawskie L. Mitkiewicza

F.O.N. w czasie II-ej wojny światowej W. Jędrzejewicza

o r a z

Indeks do 3-ch tomów „Historii Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego.

Str. 240

Cena ZESZYTU w sprzedaży:

15,00 NF (22/-; dol. 3)

— w prenumeracie o połowę taniej

Notatnik socjalistyczny

Informacje i komentarze
pod redakcją Adama Ciołkosza.

Gospodarka planowa w społeczeństwie zamożnym

W publicystyce ekonomicznej tak w kraju jak i na emigracji powstało od czasu wojny zjawisko wieloznaczności wielu pojęć umownych. To samo zjawisko obserwujemy zresztą w całej dziedzinie publicystyki polityczno-społecznej. Słowa takie jak „demokracja” czy „socjalizm” są tu typowym przykładem. Dlatego chciałbym przede wszystkim sprecyzować ściśle zakres omawianego przeze mnie tematu. Kiedy mówię o „gospodarce planowej”, czy o „planowaniu gospodarczym”, mam zawsze na myśli (chyba że określam to planowanie inaczej) planowanie socjalistyczne w zachodnio-europejskim, czy, jak kto woli, socjal-demokratycznym sensie tego pojęcia. Jak to wyjaśnię niżej, zasady, formy i metody socjalistycznego planowania gospodarczego różnią się w sposób zasadniczy nie tylko od centralistycznego planowania typu komunistycznego, ale także od rozmaitych form planowania fragmentarycznego, które występują dziś we wszystkich niemal państwach Europy zachodniej.

Pojęcie „społeczeństwa zamożnego” — *affluent society* — jest z konieczności mało precyzyjne. Zamożność — nawet zamożność zbiorowa — jest w zasadzie pojęciem subiektywnym, które trudno ująć w ściśle ramki definicji naukowej. Tym niemniej, przynajmniej z punktu widzenia gospodarki planowej, istnieją niewątpliwie społeczeństwa zamożne i społeczeństwa ubogie. Każde z nich wymaga *nieco odmiennych zasad i form i zasadniczo odmiennych metod* socjalistycznego planowania gospodarczego. Typowym przykładem społeczeństwa ubogiego są Indie. Zamożnego — powiedzmy — Szwajcaria.

Oczywiście, te przykłady krańcowe niewiele wyjaśniają. Postaram się wobec tego ściślej określić granicę między społeczeństwem zamożnym i ubogim. W praktyce istnieją różne stopnie zamożności i ubóstwa. Z punktu widzenia planowania gospodarczego istnieje jednak jedno zasadnicze, choć — przyznaję — niedoskonałe kryterium podziału. Chodzi tu mianowicie o sto-

pień zaspokojenia potrzeb danego społeczeństwa w podstawowy zestaw artykułów pierwszej potrzeby. Jeżeli przeciętny dochód rodziny robotniczej, oparty w zasadzie na jednym zarobku, wystarcza na zaspokojenie tych potrzeb i zostawia pewien margines, wytwarzający popyt na tak zwane artykuły pół-luksusowe czy luksusowe i jeżeli jednocześnie podaź obu typów tych artykułów jest wystarczająca na zaspokojenie popytu, to mamy do czynienia ze społeczeństwem zamożnym.

To kryterium podziału nie jest może precyzyjne z naukowego punktu widzenia, ale lepszym miernikiem zamożności nauka ekonomii nie rozporządza. Dla ustalenia zasad, form i metod gospodarki planowej, to kryterium podziału ma jednak znaczenie decydujące. Wynika to z tego, że popyt na artykuły pierwszej potrzeby jest w zasadzie homogeniczny i mało elastyczny — a zatem możliwy do określenia *a priori*, podczas gdy popyt na artykuły półluksusowe jest heterogeniczny i elastyczny — można go więc określić tylko *metodą empiryczną*.

Ten empiryczny i elastyczny charakter popytu determinuje zasady, formy i metody planowania gospodarczego w społeczeństwie zamożnym. Ta zasadnicza cecha występuje zresztą niezależnie od ustroju politycznego. Mówię o tym dlatego, że społeczeństwa typu zamożnego istnieją dziś nie tylko w Europie zachodniej, w Ameryce czy w Australii, ale także w Europie wschodniej. Czechosłowacja na przykład, moim zdaniem, przekroczyła już granicę zamożności, a Rosja, a nawet Polska stosunkowo szybko zbliżają się do tej granicy. Oczywiście przejawy tej zamożności są zdeformowane przez sztywność planów gospodarczych — np. w zakresie braków w budownictwie mieszkaniowym, które nie pozwalają na bardziej swobodne kształtowanie podaży przez popyt. Tym niemniej powoli wytwarza się w tych krajach bardziej heterogeniczna i elastyczna struktura popytu, z którą gospodarka typu komunistycznego nie może po prostu dać sobie rady. Stąd kryzys planowania komunistycznego, wyrażający się między innymi w nieśmiałym szukaniu metody połączenia planowania typu centralistycznego za szczytkowymi formami gospodarki rynkowej. Poszukiwania te utrudnione są sztywnością doktrynalną i hegemonią polityki nad ekonomią, a przez to są nieefektywne.

Ten kryzys planowania komunistycznego jest oczywiście wodą na młyn wszelkich teoretycznych przeciwników samej zasady gospodarki planowej. Specjalnie mówię o teoretycznych przeciwnikach, gdyż w praktyce nikt potrzeby planowania gospodarczego — przynajmniej w jego szczytkowej formie interwencji państwowej — już dziś nie neguje. Klasyczna gospodarka liberalna typu „laissez faire” występuje dziś tylko w podręcznikach ekonomii. W rzeczywistości obserwujemy tylko rozmaite mniej lub bardziej pełne formy planowania gospodarczego. W drugiej połowie dwudziestego wieku wszelka działalność gospodarcza musi być planowana i to planowana *centralnie*. Różne są tylko formy, zasady i metody tego planowania, no i przede wszystkim różne są jego *cele*.

Upraszczać nieco całe zagadnienie można powiedzieć, że planowanie typu komunistycznego jest w zasadzie centralistyczne w formie, dyrektywne w metodach, sztywne i nieelastyczne. Wynika to nie tylko z tego, że działa ono w ramach ustroju monopartyjnej dyktatury, ale jest także rezultatem zasadniczego celu, którym jest pełna mobilizacja środków ekonomicznych dla osiągnięcia maksymalnego tempa wzrostu gospodarczego. Stąd arbitralne ustalanie priorytetów i tendencja do mierzenia tego tempa wzrostu pojęciem produkcji globalnej, często oderwanym od rzeczywistych potrzeb rynku. W planowaniu typu komunistycznego pogoń za osiągnięciem wskaźników planu gospodarczego, a w praktyce za maksymalizacją wzrostu, zastępuje racjonalną analizę ekonomiczną. W rezultacie plan, zamiast być środkiem do osiągnięcia pewnych celów — staje się celem samym w sobie.

Planowanie w państwach o typie liberalnej gospodarki rynkowej ma w zasadzie charakter szątkowy. Trudno więc jego formy podciągnąć pod jakiś wspólny mianownik. Jest ono bardziej elastyczne od planowania komunistycznego, ale przez swój szątkowy charakter mało efektywne. Polegając głównie na działaniu mechanizmu rynkowego, ogranicza ono swoje cele w zasadzie do utrzymania wysokiej koniunktury gospodarczej i równowagi monetarnej.

Inaczej zupełnie wygląda planowanie typu socjalistycznego. Nie występuje tu przede wszystkim — w przeciwieństwie do planowania typu komunistycznego — pojęcie konkretnego planu, w formie zestawu wskaźników, które mają być osiągnięte w ustalonym okresie czasu. Nie ma więc ani centralistycznej formy ani dyrektywnych metod. Istotą socjalistycznego planowania jest stosowanie *rozmaitych* środków i bodźców, ustalanych *empirycznie* (w zależności od potrzeb wynikających z drobiazgowej analizy sytuacji ekonomicznej kraju) dla osiągnięcia pewnych konkretnych celów gospodarczych i społecznych. W gospodarce typu socjalistycznego planowanie jest więc tylko środkiem do celu, a nie celem samym w sobie.

Podstawowym celem planowania socjalistycznego nie jest w zasadzie maksymalne tempo wzrostu, ale pełne zatrudnienie. Jest to cel szczególnie ważny w społeczeństwie zamożnym, gdzie rozmiary produkcji zależą w dużo większym stopniu od popytu konsumpcyjnego, niż w społeczeństwie ubogim, gdzie zwłaszcza w początkowym okresie wzrostu występuje wysoki popyt typu inwestycyjnego. Toteż pełne zatrudnienie jest nie tylko podstawowym celem *społecznym* planowania socjalistycznego, ale także celem *ekonomicznym*. Życie już dawno przekreśliło naiwny dogmat, że nacjonalizacja środków produkcji (a nawet ich uspołecznienie) i maksymalizacja tempa wzrostu automatycznie likwidują problem bezrobocia. Wystarczy wskazać tu na doświadczenia w Polsce w latach 1957-1960, czy na sytuację w Bułgarii.

Pełne zatrudnienie można osiągnąć w dwojaki sposób. Przede wszystkim przez planową, długofalową korelację nakładów inwestycyjnych z istniejącymi zasobami siły roboczej, której przy-

rost jest znany na szereg lat z góry ze statystyk demograficznych. Druga droga, to doraźna interwencja dla uregulowania zaburzeń na rynku pracy. Socjalistyczne planowanie gospodarcze musi w zasadzie stosować obie metody osiągania pełnego zatrudnienia. Żaden plan nie może przewidzieć wszystkich okoliczności i wahań rozwoju ekonomicznego, a zwłaszcza tempa postępu technicznego. Stąd konieczność stosowania w razie potrzeby, środków doraźnych. Oczywiście, oprócz groźby bezrobocia, może wystąpić problem braku rąk do pracy. Dlatego w ramach koordynowania nakładów inwestycyjnych z zasobami siły roboczej w planie długofalowym, centralny organ planowania musi zachować w rezerwie pewne środki inwestycyjne, które odgrywają rolę regulatora na rynku pracy.

To wszystko nie dotyczy oczywiście przejściowego bezrobocia typu frykcyjnego, które występuje zawsze i wszędzie jako cena społeczna postępu ekonomicznego. Stąd konieczność zasiłków dla bezrobotnych *tego typu*, w wysokości możliwie zbliżonej do zarobków średnich, a to w myśl zasady *work or maintenance*, praca lub utrzymanie.

Pełne zatrudnienie jest podstawowym celem socjalistycznego planowania. Ale istnieją jeszcze również ważne cele dodatkowe. Należy do nich między innymi maksymalizacja dochodu narodowego. Celem tego nie należy uważać za jednoznaczny z maksymalizacją tempa wzrostu, który występuje jako cel w planowaniu komunistycznym. Planowanie socjalistyczne dąży oczywiście do tego, aby wszystkie środki ekonomiczne były wykorzystane w sposób najbardziej produktywny. Ale, zwłaszcza w społeczeństwie zamożnym, nie może dyktować, co ma być wyprodukowane i w jakich ilościach. Pozostawiając w dużej części określenie tych danych działaniu mechanizmu rynkowego (zwłaszcza w zakresie artykułów konsumpcyjnych typu półluksusowego i luksusowego), rząd socjalistyczny czuwa tylko nad tym, aby te środki ekonomiczne, które potrzebne są dla osiągnięcia konkretnych celów społecznych, nie zostały zużytkowane w inny sposób, chociażby nawet zgodny z prawem popytu i podaży. Na przykład środki potrzebne na budownictwo mieszkaniowe muszą być zabezpieczone, nawet kosztem innych, mniej zasadniczych potrzeb, na które istnieje bardziej efektywny popyt.

Ekonomiści socjalistyczni wychodzą z założenia, że w każdym społeczeństwie istnieją dwie zasadnicze kategorie potrzeb ludzkich: potrzeby podstawowe i potrzeby subiektywne. Potrzeby podstawowe, to przede wszystkim żywność, odzież i mieszkanie — czyli potrzeby indywidualne, a także szkolnictwo i służba zdrowia i świadczenia społeczne — czyli socjalne potrzeby zbiorowe. Oczywiście charakter tych potrzeb podstawowych i ich zasięg zależy od stopnia zamożności danego społeczeństwa. W społeczeństwie zamożnym zaspokojenie minimalnych potrzeb w zakresie żywności i odzieży musi być z natury rzeczy większe, niż w społeczeństwie ubogim. Potrzeby mieszkaniowe — to w zasadzie samodzielne mieszkanie dla każdej rodziny, przy ustalonym

standardzie zagęszczenia na jeden pokój mieszkalny. I wreszcie w społeczeństwie zamożnym ustawodawstwo społeczne musi zapewnić pełne zaspokojenie zbiorowych potrzeb socjalnych. A więc: bezpłatna nauka, aż do uniwersytetu włącznie, bezpłatne leczenie ambulatoryjne i szpitalne, a także świadczenia społeczne jak emerytury dla wszystkich, renty inwalidzkie itp.

Pełne zaspokojenie potrzeb podstawowych osiąga socjalistyczna gospodarka planowa w dwojaki sposób: poprzez zwiększenie siły nabywczej warstw najuboższych, albo przez świadczenia bezpłatne, finansowane z budżetu państwa. W praktyce może wystąpić kombinacja obu tych metod — na przykład w formie subsydiowania cen żywności, czy budownictwa mieszkaniowego. Ze *społecznego* charakteru gospodarki socjalistycznej wynika jednak zawsze konieczność zaspokojenia potrzeb podstawowych całego społeczeństwa *w pierwszej kolejności*.

Na ten cel potrzebne są oczywiście środki ekonomiczne. Wynika z tego, że określona część dochodu narodowego musi być w dyspozycji państwa, które pilnuje zaspokojenia potrzeb podstawowych na zasadach priorytetu. Jest to jednocześnie najbardziej skuteczna forma wyrównywania podziału dochodu społecznego w sposób bardziej sprawiedliwy.

Zaspakajanie potrzeb podstawowych podlega tylko w sposób szczątkowy działaniu mechanizmu rynkowego. Świadczenia społeczne są w zasadzie bezpłatne, a popyt na inne potrzeby podstawowe jest świadomie deformowany (w sensie popytu efektywnego) przez subsydiowanie cen. Na tym odcinku socjalistycznej gospodarki planowej dominują cele społeczne. Opiera się to na założeniu nieelastycznego i homogenicznego popytu na potrzeby podstawowe, popytu opartego na kryteriach sprawiedliwości społecznej.

Inaczej wygląda sprawa zaspokojenia potrzeb subiektywnych. Potrzeby te z natury rzeczy mają charakter indywidualny, wysoce elastyczny i heterogeniczny. Stąd, przy zaspakajaniu tych potrzeb planowanie ekonomiczne może odgrywać tylko rolę drugorzędną, jako narzędzie pomocnicze i jako regulator mechanizmu rynkowego.

Na każdym poziomie zamożności, po zaspokojeniu potrzeb podstawowych, które są (albo powinny być) w zasadzie homogeniczne, pozostaje do zaspokojenia u poszczególnych jednostek, z których składa się dane społeczeństwo, nieskończona ilość potrzeb subiektywnych i heterogenicznych. Jest przecież aksjomatem nauki ekonomii, że potrzeby ludzkie są nieograniczone, natomiast ściśle ograniczone są środki ekonomiczne, przy pomocy których można te potrzeby zaspokoić. Stąd *każde* zaspakajanie konkretnych potrzeb oparte jest na decyzjach wynikających z określonego priorytetu. W dziedzinie potrzeb *podstawowych* o tym pierwszeństwie z konieczności decyduje władza odpowiadająca za planowanie gospodarcze. W dziedzinie potrzeb *subiektywnych* o tym pierwszeństwie *musi* decydować jednostka. Ani z ekonomicznego, ani ze społecznego punktu widzenia nie ma

żadnego uzasadnienia dla kierowania czy planowania popytu względnie podaży na odcinku potrzeb subiektywnych. Jedynym skutecznym instrumentem zaspakajania popytu jest tutaj mechanizm rynkowy.

Dlatego też ta część dochodu narodowego, która pozostaje *po zaspokojeniu potrzeb podstawowych* musi podlegać pełnemu działaniu mechanizmu rynkowego, tak w zakresie wytwarzania jak i podziału. Inaczej mówiąc, państwo socjalistyczne zostawia swym obywatelom pełną swobodę wyboru w zakresie zaspakajania potrzeb *subiektywnych*. Na tym odcinku decyzje priorytetowe pobierane są indywidualnie, przy pełnym działaniu prawa popytu i podaży, a produkcja, która ma na celu zaspokojenie potrzeb subiektywnych oparta jest całkowicie na analizie rynku. Czyli, na tym odcinku produkcję kształtuje efektywny popyt.

Powstaje oczywiście pytanie: jak zharmonizować z sobą te dwa odcinki działalności gospodarczej o tak pozornie różnym charakterze produkcji i dystrybucji? Przecież nie są to odcinki hermetycznie od siebie oddzielone. Potrzeby subiektywne mogą łatwo wkraczać w dziedzinę potrzeb podstawowych. Jednostka może wydać tę część dochodu, która w zasadzie przeznaczona jest na zaspokojenie potrzeb subiektywnych — na dziesięciopokojową willę lub na dodatkową odzież czy żywność. Powstaje więc problem: jak połączyć gospodarkę planową ze swobodnym działaniem mechanizmu rynkowego?

Trudność takiego połączenia jest tylko pozorna, przynajmniej przy planowaniu typu socjalistycznego, które zakłada popyt typu rynkowego na obu odcinkach działalności ekonomicznej. Na jednym odcinku popyt ten kształtowany jest przez organ planowania, a na drugim przez obywateli. Zaspakajanie takiego złożonego popytu jest niewątpliwie bardziej skomplikowane. Wymaga ono z jednej strony większej elastyczności podaży, niż w klasycznej gospodarce rynkowej, a z drugiej normalnych rezerw, których na przykład gospodarka typu komunistycznego nie przewiduje. Ale za to zaspakajanie potrzeb jest w rezultacie bardziej efektywne i pozwala uniknąć marnotrawstwa ekonomicznego, które jest nieuchronne przy planowaniu dyrektywnym, opartym całkowicie na priorytetach ustalanych przez państwo (a w praktyce przez Biuro Polityczne).

W praktyce więc gospodarka typu rynkowego dominuje w zakresie *podaży* zarówno artykułów żywnościowych, jak i odzieży. Państwo socjalistyczne kształtuje jednak *popyt*, w zakresie niezbędnym do zaspokojenia potrzeb podstawowych, przez odpowiednie wyrównywanie dochodów. To znaczy, że państwo umożliwia każdemu zaspokojenie tych potrzeb, ingerując czasem (choć tylko w wypadkach wyjątkowych) nawet czynnie (na przykład jeśli chodzi o zaspokojenie tych podstawowych potrzeb u dzieci, zaniedbywanych przez rodziców). Wszelki dodatkowy popyt ma już charakter subiektywny.

W dziale budownictwa mieszkaniowego państwo dyktuje nie tylko popyt na odcinku budownictwa o charakterze społecz-

nym, ale także reguluje częściowo podaż przez zabezpieczenie środków na zaspokojenie potrzeb budownictwa społecznego w pierwszej kolejności. Ale w zasadzie państwo nie przeszkadza zaspakajaniu jednocześnie potrzeb subiektywnych w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Praktyka Europy zachodniej wykazuje, że elastyczna podaż może, bez poważnych zakłóceń, zaspokoić całkowicie obie kategorie popytu na materiały budowlane.

W zasadzie więc gospodarka planowa typu socjalistycznego ma charakter rynkowy, częściowo tylko deformowany priorytetem popytu państwowego i świadomym działaniem w kierunku bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego.

Ten sprawiedliwy podział dochodu narodowego jest trzecim z kolei ważnym celem socjalistycznego planowania. Głównym instrumentem tego sprawiedliwego podziału jest z jednej strony polityka podatkowa, oparta o zasadę progresywności i podatków bezpośrednich, a z drugiej cała struktura świadczeń społecznych. Poprzez politykę podatkową, państwo zabiera część dochodu warstwom najlepiej uposażonym, a przez świadczenia społeczne i subsydiowanie cen uzupełnia dochody warstw uboższych. Bardziej sprawiedliwy podział dochodu narodowego to cel, który wynika przede wszystkim ze społecznych założeń socjalizmu. Ale ten bardziej sprawiedliwy podział ma także cel ekonomiczny. Praktyka dowiodła, że w gospodarce, w której dochody są bardziej wyrównane, popyt globalny jest bardziej efektywny i ma charakter bardziej stabilny. Wyrównywanie dochodu indywidualnego przyczynia się więc także do bardziej sprawnego działania mechanizmu rynkowego i do lepszego zaspakajania potencjalnych potrzeb całego społeczeństwa. Z tych względów — niezależnie od jego konieczności społecznej — bardziej sprawiedliwy podział dochodu narodowego stanowi integralną część socjalistycznej gospodarki planowej.

W krótkim tym szkicu mogłem podać tylko zasady socjalistycznego planowania i to w bardzo ogólnym zarysie. Trudno wchodzić w szczegóły praktyczne, z reguły dyktowane przez specyfikę ekonomiczną poszczególnych krajów. Dlatego na przykład nie omawiałem w ogóle zagadnienia upaństwowienia (czy też uspołecznienia) środków produkcji. Tutaj praktyka krajów skandynawskich różni się na przykład od praktyki brytyjskiej w okresie rządów Labour Party. Planowanie socjalistyczne nie daje zresztą konkretnych recept praktycznych. Wynika to z empirycznego charakteru metod planowania, które muszą być *zawsze* dostosowane do specyfiki struktury gospodarczej danego kraju, a nawet do zmiennej sytuacji ekonomicznej w danym kraju.

Dlatego socjalistyczne planowanie nie przewiduje gotowych metod i schematów działania. Przedstawia tylko konkretne cele podstawowe i zestaw środków, który pozwala te cele osiągnąć. Zastosowanie tych czy innych środków i intensywność ich stosowania wynika całkowicie z analizy konkretnej sytuacji ekonomicznej.

I wreszcie ostatnia uwaga. O intensywności, charakterze i metodach planowania gospodarczego w państwie socjalistycznym decyduje w ostatecznym rozrachunku wyborca. Państwo socjalistyczne jest *ex definitione* państwem demokratycznym. Rząd socjalistyczny pozostaje u władzy tak długo, jak długo zechcą wyborcy. Dlatego i zakres i metody gospodarki planowej zależą całkowicie od woli społeczeństwa. Rząd socjalistyczny może prowadzić tylko taką gospodarkę planową, którą aprobuje, a przynajmniej toleruje, większość wyborców. Dla dogmatyka planowania ekonomicznego jako celu samego w sobie, tego rodzaju postawienie sprawy może być irytującym nonsensem. Dla socjalisty i demokraty to ograniczenie zakresu i metod planowania wolą społeczeństwa jest sprawą oczywistą i nie podlegającą dyskusji.

Michał GAMARNIKOW

5-ciogodzinny dzień pracy

W kwietniu roku 1856 robotnicy murarscy stanu Victoria, w Australii uzyskali po raz pierwszy w historii świata 8 godzinny dzień pracy. Ponad sto lat później — w styczniu 1962 roku robotnicy elektryczno-budowlani w Nowym Jorku uzyskali po raz pierwszy w historii świata 5 godzinny dzień pracy, a 25 godzinny tydzień pracy.

Obie daty znaczą etapy historyczne w dziejach ruchu robotniczego, szczególnie zaś w dziejach ruchu zawodowego.

Od czasów Engelsa i Bebla, a może i wcześniej dyskutowano w ruchu socjalistycznym, robotniczym definicję rewolucji — czym właściwie jest rewolucja. W dyskusji tej, w latach 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku, teoretycy wyodrębniać zaczęli koncepcję rewolucji politycznej i społecznej. Rewolucja polityczna to zagadnienie gwałtownego przewrotu politycznego, a więc w pierwszym rzędzie zmiany kontroli nad państwem, które ma monopol władzy i przymusu. Rewolucja społeczna jest natomiast przemianą społeczną, przemianą w strukturze klasowej, w rozdziale dochodu społecznego, w położeniu klas pracujących, w sposobie życia społecznego, które jest uwarunkowane rozwojem gospodarczym i technologicznym. Historia naszej cywilizacji zna wiele rewolucyj politycznych, które nie były rewolucjami społecznymi. W czasie Renesansu włoskiego — w wieku 14 czy 15 — gwałtowna przemiana władzy politycznej często była nie powiązana z zasadniczymi przemianami społecznymi. Wiele rewolucji w Ameryce Południowej było rewolucjami politycznymi, bez konsekwencji społecznych.

Są też „rewolucje ewolucyjne” — rewolucje społeczne, a więc przemiany zasadnicze; chociaż szybkie — to jednak są one z natury stopniowe, bo związane ze stopniowym rozwojem nauki i wynalazczości. Odbywają się w ramach pozornie niezmiennych form politycznych. Ustrój polityczny pozostaje niezmieniony, a przecież dokonywują się przemiany zasadnicze, w skali historycznej. Dwudziestopięciogodzinny tydzień pracy jest symptomem takiej rewolucji, rewolucji związanej z automatyzacją części przemysłu, z niezwykle wprost rozwojem sił produkcyjnych, akumulacją kapitału — no i z siłą organizacyjną związków zawodowych. Dodajmy do tego, że płaca robotnika elektrycznego — budowlanego wynosi dzisiaj 4.96\$ za godzinę, a więc niemal 5 dolarów za godzinę, 7 dolarów i 44 centów za tzw. „overtime” — a więc pracę dodatkową, ponad 5 godzin. Wynosi to ponad 160 dolarów na tydzień. W ciągu jednej godziny pracy, robotnik zarabia więc tyle, że może za to kupić spodnie i koszulę roboczą, za dwie godziny pracy — parę butów, za półtora dnia pracy — średniego gatunku ubranie; powiedzmy za miesiąc pracy — używany, wcale nienajgorszy samochód. Oczywiście — są to „godziny teoretyczne” — bo robotnik musi przecież zapłacić mieszkanie i jedzenie, podatki, itd. Dają one jednak wyobrażenie o jego sile kupną.

Nota bene — sytuacja jest poniekąd paradoksalna. Młody nauczyciel szkoły zawodowej w Nowym Jorku zarabiać będzie (przeciętnie) mniej niż jego uczeń, który po ukończeniu nauki zatrudniony zostanie na budowie jako kwalifikowany pracownik, elektryk.

Stany Zjednoczone stworzyły warunki gospodarcze i społeczne, w których w rzeczywistości, a nie w teorii zanikać zaczyna bieda i nędza. Pozostały inne problemy, i to wiele problemów do rozwiązania. Ale jedno zagadnienie — zagadnienie głodu, zagadnienie poniżenia ludzkiego — bo człowiek biedny, który nie może wyżywić swej rodziny, w ciągu długich lat rozwoju historycznego był nie tylko ofiarą poniżenia, ale i wyzysku — to zagadnienie jest na drodze rozwiązania.

Robotnicy wysoko kwalifikowani zawsze torują drogę wielkim przemianom. Dodajmy — że robotnicy elektryczni domagali się 20-godzinnego tygodnia pracy — uzyskali zaś 25-godzinny tydzień. Dwudziestogodzinny tydzień pracy jest tylko kwestią czasu.

Doświadczenie więc wykazuje, że jest wiele dróg rozwiązywania kwestii społecznych, że rozwiązywanie zagadnień społecznych wymaga alternatyw społecznych i inteligentnego wyboru alternatyw. W naukach społecznych, tak jak w naukach przyrodniczych, uczyć się musimy z doświadczenia; teoria opiera się na faktach, i nie można rozwijać teorii sprzecznej z faktami. Zadaniem teoretyka jest odnalezienie tych dróg — a sprawa wyboru jest już zagadnieniem decyzji społecznych.

Wiemy też, że rozwiązanie pewnych zagadnień stwarza zagadnienia nowe. Wprowadzenie 25-godzinnego dnia pracy stawia wielkie zagadnienie kulturalne: jak zużytkować pozostały czas, jak zachować energię i dynamikę ludzką, i jak skierować zainteresowania ludzkie w kierunku twórczym. Skrócenie czasu pracy i podwyższenie płacy bynajmniej nie rozwiązuje wszystkich zagadnień społecznych.

Labour Party a Wspólny Rynek europejski

W roku 1961 rząd konserwatywny stanął przed problemem, który istniał wprawdzie od końca wojny, ale który do tej pory nie wymagał decyzji ze strony Brytanii. Mowa o problemie zjednoczonej Europy. Okazało się, że „Wspólny Rynek” funkcjonuje, że rozwija się nieprzerwanie i że integracja sześciu państw Europy zachodniej będzie postępowała nadal. Natomiast „Strefa Wolnościowa”, organizacja siedmiu innych państw powstała pod wpływem Brytanii jako kontrakcja dla Wspólnego Rynku, okazała się tworem bardzo anemicznym i skazanym na powolną śmierć. Na dobitkę, już przy pierwszym spotkaniu się premiera Macmillana z nowoobranym prezydentem Kennedym okazało się, że Brytania nie może liczyć na specjalne przywileje w swych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Po tej rozmowie Macmillan zdecydował się na porzucenie tradycyjnej polityki nieangażowania się na kontynencie i na rozpoczęcie pertraktacji o przystąpienie Brytanii do Wspólnego Rynku. Decyzja ta — piszemy: decyzja, bo chociaż ciągle jeszcze toczą się wstępne rozmowy i kłamka do tej pory nie zapadła, to jednak wycofanie się z nich jest zgoła nieprawdopodobne — stanowiła szok dla tradycyjnie konserwatywnych Anglików i spowodowała podział wśród obu głównych partii politycznych, tj. konserwatystów i labourzystów; tylko wśród liberałów nie ma podziału, partia liberalna w całości wypowiada się za przystąpieniem Brytanii do Europy.

Różnica zdań w Partii Pracy w tej sprawie zachodzi przede wszystkim ze względów wewnętrzno-politycznych. Związanie się Brytanii z Wolnym Rynkiem będzie musiało spowodować wielkie zmiany w organizacji gospodarczej kraju, zwłaszcza w rolnictwie. Decyzja ta nie będzie popularna, a ponieważ doświadczenia trzech ostatnich wyborów parlamentarnych wykazały, że hasła labourzystowskie nie przemawiają do większości wyborców, więc wśród działaczy Partii Pracy istnieje tendencja do nieangażowania się w sprawy sporne i pozostawiania odium decyzji konserwatystom, którzy są przy władzy. Jeżeli idzie o głębsze przyczyny, należy rozróżnić kilka grup. Socjaliści — tradycjonaliści nie mają zrozumienia dla psychiki kontynentalnej i nie chcą bliższej współpracy z Europejczykami. Socjaliści — planiści obawiają się, że przystąpienie Brytanii do Wspólnego Rynku spowoduje częściową utratę suwerenności i w razie dojścia Partii Pracy do władzy ograniczy swobodę socjalistycznego planowania i socjalistycznych reform gospodarczych. Jeszcze inna grupa jest przeciwna wiązaniu się z kontynentem, ponieważ rządy sześciu krajów Wspólnego Rynku są na ogół prawicowe i stąd obawa, że wpływy socjalistyczne w Brytanii związanej z Wspólnym Rynkiem będą raczej malały niż rosły. Dalej, istnieje grupa działaczy labourzystowskich, bardzo dziś wpływowa w partii (np. Denis Healey, Patrick Gordon-Walker), która widzi przyszłość Brytanii jako państwa utrzymującego stosunki specjalnego typu ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki i do pewnego stopnia uprzywilejowanego w stosunku do państw kontynentu europejskiego. Działacze ci obawiają się, że jako jeden z wielu członów zjednoczonej Europy Brytania straci bezpośredni

wpływ na politykę światową. Wreszcie tzw. Nowa Lewica. Grupa ta jest zdecydowanie przeciwna przystąpieniu do Wspólnego Rynku, ponieważ — jej zdaniem — utrwali ono podział Europy na dwa bloki, zachodni i wschodni i utrudni w przyszłości pokojowe rozwiązanie konfliktów między blokiem komunistycznym a blokiem zachodnim, a nawet przyczyni się do zahamowania ewolucji państw satelickich w kierunku ich demokratyzacji.

Wśród stuprocentowych zwolenników przystąpienia Brytanii do Wspólnego Rynku najwybitniejsi są C.A.R. Crossland i Roy Jenkins, obaj tzw. rewizjoniści. Utrzymują oni, że Brytania nie może istnieć w drugiej połowie XX wieku jako państwo całkowicie samodzielne, gdyż żyjemy w okresie wielkich organizmów gospodarczych, których przykładem są Stany Zjednoczone Ameryki i Związek Sowiecki. Odrzucają oni tezę, że organizmem takim jest także brytyjska Wspólnota Narodów, ponieważ — ich zdaniem — afrykańscy i azjatyccy członkowie Wspólnoty, a nawet Kanada, wykazują tendencje odśrodkowe, zaś Wspólnota jest w ogóle organizacją zbyt luźno powiązaną, by w dzisiejszych warunkach mogła odgrywać w świecie rolę jako jednolita całość. Poza tym Crossland, konsekwentny głosiciel dynamizmu w polityce brytyjskiej, wierzy, że konsekwencją powiązania się Brytanii z Europą będzie szok psychologiczny, nowe idee obudzą społeczeństwo angielskie z apatii i wyrwą je z obecnej stagnacji.

Podział w sprawie Wspólnego Rynku nie idzie w Partii Pracy po tradycyjnej linii podziału na prawicę i lewicę. Np. zarówno taki „Europejczyk” jak Douglas Jay, jak i taki „anty-Europejczyk” jak Gordon-Walker należą do rewizjonistów, zaś wśród „Europejczyków” znajdują się tacy przedstawiciele lewicy jak Frank Cousins, Donald Soper czy Bob Edwards. Większość działaczy i członków Partii Pracy woli się jednak nie wypowiadać, gdyż albo jest chwilowo rzeczywicie niezdecydowana, albo też korzystając z przywileju przysługującego opozycji pozostawia rządowi powzięcie decyzji, a sobie prawo krytykowania rządu, jeśli decyzja okaże się niekorzystna. To ostatnie podejście jest też oficjalnym stanowiskiem partii, która postanowiła — mowa o uchwale klubu parlamentarnego — wypowiedzieć się dopiero gdy zostaną ujawnione oficjalnie wyniki pertraktacji, prowadzonych obecnie przez rząd z grupą sześciu państw Wspólnego Rynku.

Jan LEWARTOWSKI

Socjalizm w Afryce i Azji

Staraniem Stowarzyszenia Fabianów ukazała się w Londynie praca dr Rity Hinden pt. „Zasady socjalizmu w Afryce i Azji” (*Principles of Socialism — Africa and Asia*). Dr Rita Hinden, redaktorka świetnego miesięcznika „Socialist Commentary”, autorka lub współautorka szeregu książek i broszur na tematy krajów kolonialnych, współzałożycielka przed dwudziestu laty i chronologicznie pierwsza sekretarka Fabiańskiego Biura Kolonialnego, daje w tej bardzo sumiennej pracy odpowiedź na zapytanie: czy doświadczenia i dorobek socjalizmu europejskiego mają wartość i znaczenie dla socjalistów w krajach afrykańskich i azjatyckich, które ostatnimi czasy uzyskały niepodległość.

Odpowiedź jest pozytywna, ale warunkowa: socjaliści w krajach Afryki i Azji powinni korzystać z doświadczeń europejskich, muszą jednakże znaleźć swą własną drogę do socjalizmu. Dr Hinden analizuje najpierw ideologię socjalistyczną, która ukształtowała się w Europie w ciągu z górą stu lat. Powstała ona jako wyraz tęsknoty do społeczeństwa, w którym naczelną wartością będzie człowiek a nie zysk, w którym wszyscy będą mieli równe prawa, w którym ludzie będą swobodnie dokonywali wyboru i brali na siebie odpowiedzialność i w którym będą świadomi swych obowiązków wobec społeczeństwa. Wielkim celem socjalizmu był tedy ideał *etyczny* i temu celowi miała służyć taka zmiana systemu gospodarczego, by produkcja służyła potrzebom ludzkim a nie zyskowi. Socjaliści sądzili powszechnie, że dla osiągnięcia tego celu konieczne jest uspołecznienie środków produkcji, wymiany i podziału. Różnili się między sobą co do drogi prowadzącej do tego ideału, a więc albo drogi demokratycznej i stopniowej, albo też gwałtownej i rewolucyjnej. Tą drugą drogą poszli bolszewicy rosyjscy. Socjaliści demokratyczni poszli inną niż bolszewicy drogą; przeżywają dziś oni ogromny swój triumf, gdyż idee socjalistyczne weszły w sposób myślenia społeczeństw zachodnio-europejskich, znikła nędza, bezrobocie, niepewność jutra. W szeregu krajów zachodnio-europejskich nastąpił szereg posunięć takich, jak uspołecznienie kluczowych pozycji życia gospodarczego, jak planowanie gospodarcze, jak opodatkowanie o wysokim napięciu progresji, jak zabezpieczenie społeczne od kolebki do grobu, jak coraz szersze udostępnienie szkolnictwa wszystkich stopni. Posunięcia te razem wzięte przeobraziły społeczeństwo współczesne, aczkolwiek żadne z tych posunięć samo przez się nie oznacza automatycznego postępu w kierunku socjalistycznych ideałów, a tylko stanowi zajęcie pozycji wyjściowych ku nowemu społeczeństwu. Wszystko to uczy nas, że środki prowadzące do socjalizmu są różne i wielorakie i że w każdym kraju i w każdej epoce należy środki te odpowiednio dobierać. Historia socjalizmu w Europie, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat, wykazała, że ideał etyczny socjalizmu jest wszędzie ten sam, ale droga do socjalizmu musi być w każdym kraju odmienna.

Kraje afrykańskie i azjatyckie różnią się bardzo między sobą poziomem cywilizacji, obszarem, bogactwami naturalnymi, gęstością zaludnienia, podziałami klasowymi. Wszystkie te kraje mają jednak pewne cechy wspólne; są nimi: niski poziom życiowy; przewaga rolnictwa, o chłopskim typie gospodarki; początkowe dopiero stadium rozwoju szkolnictwa, organizacji zdrowia publicznego i opieki społecznej. Kapitałów brak, zakłady przemysłowe są nieliczne i rozrzucone, robotników jest mało, związki zawodowe są w powijkach, za to ruch spółdzielczy, zwłaszcza spółdzielczość zbytu i kredytowa przyjęła się bardzo dobrze. Głównym problemem jest brak rodzimych kapitałów inwestycyjnych. Oto więc różnice w porównaniu z sytuacją w krajach europejskich w początkach ruchu socjalistycznego. To jednak nie wszystko. W Europie — pisze dr Hinden — socjaliści zawsze kładli główny nacisk na ideał równości, w Afryce i Azji natomiast największy nacisk kładli na ideał wolności i niepodległości narodowej. Dopiero teraz, po osiągnięciu niepodległości, wolność nabiera dalszego znaczenia; wolności jednostki, swobód obywatelskich; wylaniają się różnice zdań co do sposobów kształtowania przyszłości, powstają stronnictwa polityczne. Wciąż jednak okres niewoli kolonialnej i walki o niepodległość, chociaż należący już do przeszłości, ciąży nad umysłami. Naczelnym nakazem w walce o zrzucenie obcego panowania była jedność; zazwyczaj w walce tej przewodziła ta czy inna wybitna jednostka, ona też po uzyskaniu niepodległości brała ster rządów w swe ręce. Nowe państwo musi budować swój aparat administracyjny, organizować obronę kraju, rozwijać życie gospodarcze; wszystko to wymaga scentralizowanej akcji i szybkich decyzji.

W tych warunkach budzą się wątpliwości, czy potrzebom tych krajów odpowiada trudny, powolny i skomplikowany europejski typ demokracji, szuka się innego typu demokracji, bardziej odpowiadającego potrzebom miejscowym.

Dr Hinden wykazuje duże zrozumienie dla tych tendencji, a raczej dla tła, na którym się pojawiają. Przyznaje ona, że istnieją różne formy ustroju demokratycznego, przypomina jednak, że wszystkie te formy mają pewne cechy wspólne. Są nimi: przedstawicielstwo narodowe wybrane w głosowaniu powszechnym, swobodna działalność stronnictw politycznych, poszanowanie prawa, swobody obywatelskie i niezależne sądownictwo. Z chwilą, gdy bodaj jeden z tych elementów znika, system przestaje być demokratyczny, staje się systemem autokratycznym. Jeżeli demokracja parlamentarna w nowych państwach Afryki i Azji funkcjonuje z trudnością, to tylko ten wniosek stąd płynie, że w państwach tych potrzebne są dodatkowe gwarancje, nie konieczne w państwach z dawna istniejących, np. oprócz gwarancji niezależności sądów, w państwach nowych potrzebne być mogą także gwarancje bezstronności sędziów — a nie ten, że należy z demokracji zrezygnować. Funkcjonowanie demokracji — pisze dalej dr Hinden — zależy od tego, czy jej pragnie i czy ją ceni szeroki ogół oraz czy jej pragną i czy ją cenią ludzie stojący na czele społeczeństwa. Wiemy np., że w Indiach i szeroki ogół ludności i sam Nehru cenią sobie wolności osobiste i demokrację, gotowi są jej bronić w razie jej zagrożenia. Podobnie wiemy, że w Nigerii słynny dr Azikiwe, pierwszy czarny gubernator tego kraju, wierzy głęboko w demokrację. Dlatego też myślimy z ufnością o przyszłości tych krajów. W innych natomiast krajach sytuacja nie jest tak pomyślna i tam podstawowym obowiązkiem socjalistów jest troska o rozwój instytucji demokratycznych. Byłoby też wielkim błędem poprzestawać wyłącznie na ciałach parlamentarnych w skali ogólnokrajowej; demokracja winna funkcjonować w każdej najmniejszej wiosce, każdy winien czuć, że odgrywa jakąś rolę w życiu swego kraju. Bez instytucji samorządu lokalnego, stanowiących ogniwo pośrednie pomiędzy centrum życia państwowego a najdalszymi peryferiami, demokracja będzie tylko fasadą bez żadnego pokrycia w życiu tzw. szarego człowieka.

W dalszym ciągu omawia dr Hinden problem wolności ekonomicznej, która winna oznaczać co najmniej tyle, by każdy był wolny od głodu i od pracy ponad siły. To zaś wymaga rozwoju gospodarczego i tutaj stoją przed nowymi państwami różne możliwości: albo gospodarka liberalna z rosnącymi nierównościami społecznymi, jak w Europie XIX stulecia, albo też gospodarka etatystyczna, totalitarna, jak w Rosji sowieckiej. Socjaliści demokratyczni odrzucają jedną i drugą, łączą oni wolność polityczną z rozwojem gospodarczym. Rozwój gospodarczy zależy od napływu kapitałów na inwestycje i od rozsądnego wyzyskania tych kapitałów. Jedynie dobrze przemyślane planowanie gospodarcze — pisze dr Hinden — może skierować napływające kapitały do takich inwestycji, które są wskazane z punktu widzenia potrzeb ogółu, potrzeb społecznych. Istnieją różne metody całego planowania prac inwestycyjnych, zgodne z demokracją polityczną, nie pociągające za sobą ofiar i cierpień ludzkich — i socjaliści w rządach nowych państw będą umieli dokonać wyboru między tymi metodami, zgodnie z nakazami miejsca i czasu. Rozwój gospodarczy tworzy nowe bogactwa, kolejną więc troską socjalistów w nowych państwach musi być czuwanie nad tym, by podnoszenie się poziomu życiowego było wyrównane, by nie powstawały nowe nierówności społeczne. Tu społeczeństwo ma dwie metody interwencji. Jedna, to system podatków bezpośrednich i progresywnych, metoda najskuteczniejsza i najprostsza, druga to właściwe wydatkowanie wpływów podatkowych, a więc na szkolnictwo i na opiekę społeczną, co znowu wymaga starannego planowania. Na ostatnim miej-

scu stawia dr Hinden to, co socjalistom w Europie w ubiegłym stuleciu wydawało się najważniejsze, a mianowicie uspołecznienie środków produkcji. Socjaliści w Azji i Afryce winni jednak czuwać, by nie powstawały wielkie koncentracje kapitałów prywatnych; by napływające kapitały pozostawały pod kontrolą społeczną; by motywem przewodnim produkcji nie był zysk lecz potrzeby miejscowego społeczeństwa. Optymalny byłby typ przedsiębiorstwa o własności mieszanej, państwa i prywatnych udziałowców. Bardzo polecenia godna jest spółdzielczość zbytu i zakupów, spółdzielczość oszczędnościowa i kredytowa, spółdzielczość spożywców i mieszkaniowa, a więc te typy stowarzyszeń spółdzielczych, które uniezależniają ludność tubylczą od lichwiarzy i pośredników, wzbogacają ubogiego i słabego, wzmacniają tendencje egalitarne. Dalej, konieczne są związki zawodowe jako instrument samoobrony robotników przed pracodawcami; pod żadnym warunkiem nie powinny one przekształcić się w instrument administrowania siłą roboczą.

Tyle, jeśli chodzi o socjalistyczny ideał równości. Jeśli chodzi o socjalistyczny ideał braterstwa (fellowship), dr Hinden wskazuje, że kraje niedorozwinięte gospodarczo mają więcej sposobności do praktykowania tego ideału, są bowiem bardziej zależne od samopomocy, od „czynu społecznego” w małych jednostkach terytorialnych, mniej — od odgórnej organizacji społecznej, państwowej. Gdy w życiu gospodarczym wszystkie decyzje pobiera państwo, gdy państwo bierze na siebie zbyt wiele — ztraca się bezpośredni, braterski stosunek pomiędzy ludźmi. Stąd dwa wnioski: po pierwsze, planowanie i własność publiczna znajdować się winna zawsze pod demokratyczną kontrolą, po drugie, pewna część życia gospodarczego winna być zawsze pozostawiona decyzjom indywidualnym. Oczywiście, socjaliści winni walczyć z systemem kastowym w Indiach. Oczywiście, winni walczyć z systemem segregacji, podziału rasowego w Afryce Południowej. Socjalizm — pisze dr Hinden — nie zna prawd ostatecznych i nie zna dogmatów, charakter jego walki zmienia się w każdym pokoleniu. Problemy stronnictw socjalistycznych w dzisiejszej Europie są bardzo dalekie od problemów przed jakimi stoją socjaliści w Azji czy Afryce. Nowoczesne życie polityczne i gospodarcze jest tam dopiero w początkach, równość jest wciąż odległa i wciąż jeszcze trzeba szukać form, w których najlepiej będzie się mógł wyrazić socjalistyczny ideał braterstwa rodu ludzkiego. Socjaliści w Azji i Afryce muszą wziąć te problemy w swe własne ręce i rozwiązywać je na swój własny rachunek. Doświadczenia socjalistów europejskich mogą im być pomocne, ale nie mogą być rozstrzygające; kraje te muszą znaleźć swą własną drogę do socjalizmu.

A. C.

Ze względu na zainteresowanie — specjalnie wśród czytelników krajowych — międzynarodowym ruchem socjalistycznym i brak odpowiednich publikacji w języku polskim, zdecydowaliśmy się wprowadzić specjalny dział informacyjny pod redakcją Adama Ciołkosa, jednego z czołowych przywódców polskiego ruchu socjalistycznego.

Dodatek będzie ukazywał się periodycznie.

REDAKCJA

O Łobodowskim i o "cywilizacji jagiellońskiej"

Wybrańcem jury nagrody literackiej „Kultury” za rok 1961 został Józef Łobodowski. Jako czytelnik jego poezji i powieści mogę wyrazić tylko wielkie zadowolenie z tego wyboru, — tym bardziej słusznego, że w liczbie laureatów kilku corocznych nagród londyńskich, jak mnie poinformował prezes Związku Literatów, Łobodowski nie figuruje!

Wiadomość o przyznaniu mu nagrody przez jury paryskie została zapatrzona w grudniowym numerze z r.ub. „Kultury” w krótki komentarz podpisany inicjałami „P.H.” (Paweł Hostowiec).

Wyznaję otwarcie: ta półtorastronicowa impresja o twórczości Łobodowskiego i źródłach jej inspiracji poruszyła mnie do głębi, — jak szok elektryczny, budzący usypianą przez rzeczywistość, zastygłą w nieruchomym wspomnieniu — prawdę wewnętrzną; jak zastrzyk odżywiający świadomość przynależności do jakiegoś osamotnionego klanu, do pewnego typu psychicznego, który dziś błędzi wśród „swoich”, jak zatracony w bezbrzeżnych „komyszach” partyzant.

Nie wiem czy wielu czytelników doznało tego samego silnego wrażenia, czytając tych kilka zdań Hostowca:

„Poeci romantyczni, bredzący Litwą i Ukrainą, zostawili nam obraz Rzpltej Jagiellońskiej... W ich otoczeniu spisane zostały pierwsze książki o folklorze i własnym obliczu ludów, wchodzących w skład dawnej Rzpltej. Wiedzeni instynktem, autorzy ich pragnęli jak gdyby oddzielić się barierą nowych ludów od zwycięskiej potęgi Rosji.

Następne pokolenia odwróciły się od tego ogromnego fresku romantyków i od zagadnień cywilizacji jagiellońskiej. Myśli ich zwróciły się w inną stronę, jak gdyby w przeczuciu późniejszych wyroków losu. Dziś, gdy po pięciuset latach Polska wróciła do granic pias-towskich, wizja pozostawiona przez romantyków stawia nowe pytania. Wielu z nas, czy tego chcemy czy nie, jest synami Rzpltej Jagiellońskiej, naznaczonymi w jakiś sposób przez jej osobliwą cywilizację.

Czasami, nawet w tłumie rodaków, odczuwamy wynikłą stąd milczącą odrębność. Co mamy z nią zrobić w naszej piastowskiej ojczyźnie?"



Może nie wszyscy epigoni „cywilizacji jagiellońskiej”, czytając w pośpiechu te słowa, uświadomili sobie, że sformułowana w nich została *en passant* głęboka prawda ich pojęć, uczuć i wyobrażeń.

Bo przecież nam, synom cywilizacji jagiellońskiej, co innego staje przed oczami naszej wyobraźni na dźwięk słowa „Rzeczpospolita”, niż innym naszym rodakom, którzy odruchowo dodają do niego przymiotnik „Polska”; przecież my nie odczuwamy żadnej obcości czy to gdy słyszymy dokoła siebie mowę białoruską, litewską, ukraińską, czy to gdy patrzymy na litewskie krzyże przydrożne, lub na białoruskie płótna wyszywane na jarmarkach wileńskich, lub na białe chaty ukraińskie wśród żółtych słoneczników na tle dali stepowej; my wszak szczycimy się tym, że nie mówiący po polsku prawosławny ks. Konstanty Ostrogski bił Moskwę pod Orszą z ramienia Rzplitej; że „ruski” z pochodzenia i kultury wojewoda Kisiel był promotorem Umowy Hadiackiej; że szlachcice polscy (Barszczewski, Dunin-Marcinkiewicz, Bohuszewicz i inni) kładli podwaliny pod literaturę białoruską; że Białorusin, Konstanty Kalinowski, poniósł śmierć wraz z Trauguttem, jako członek rządu powstańczego Litwy w r. 1864; że Polak Roman Skirmuntt był prezesem I-go Białoruskiego Komitetu Narodowego w r. 1917, a dwaj inni Polacy tegoż co Skirmuntt jagiellońskiego klanu — Aleksander Prystor i Stanisław Stempowski, zasiadali w pierwszych rządach: Prystor w białoruskim, a Stempowski — w ukraińskim.

Oni, ci wszyscy „synowie cywilizacji jagiellońskiej”, wiedzieli — lub wyczuwali instynktem — że pomiędzy Rosją a Niemcami nie ostaną się przed losem satelitów państwa powstałe z narodowych podziałów dawnego terytorium państwa Jagiellonów. W zmodernizowanej i zdemokratyzowanej konstrukcji jagiellońskiej poszukiwali oni rozwiązań dla tego *jednego w swój różnorodności* terytorium.

Ale na to było jeszcze za wcześnie. Polska „pańskość” i szlacheckość zbyt jaskrawo kontrastowały z masowym tłem ludności tych obszarów. Ani ta społeczno-obyczajowa „pańskość”, ani wyłączność lub przewaga polskiej kultury ostać się tam nie mogły. Młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych historycznych pobratymców obróciły się w końcu XIX wieku przeciwko nam, przeciwko *wspólnocie jagiellońskiej*.

Był to proces naturalny i nieunikniony. Biegł on zresztą równoległe z zacieśnieniem i unarodowieniem polskich pojęć i wyobrażeń o Rzplitej. Po traktacie ryskim i uznaniu w r. 1923 wschodnich granic Polski, tym traktatem wytkniętych, polityczna wizja „synów cywilizacji jagiellońskiej” była już sprawą przegraną. Epigońska grupa wileńskich demokratów, tzw. krajowców, do r. 1923 silna pokrewieństwem myśli i dążeń z Józefem Piłsudskim, usiłowała potem przechować ją przez lata złowróżbnej ciszy, co na tych ziemiach nastąpiło — aż przyszedł huragan wojenny 1939-1941, który zmiotł słabe władza polityczne tego kraju, a ludzi wytrzebił rękami moskiewskich enkawudystów. Pozostały jednostki rozsiane po świecie. Idea

polityczna cywilizacji jagiellońskiej zapadła w głęboki sen zimowy, jak cała przyroda na jej rozległych obszarach.



Łobodowski jest „ostatnim romantycznym poetą 'szkoły ukraińskiej'” — pisze Hostowiec. Nie jestem tak pewien czy ostatnim. Ale jest on bezwątpienia współczesnym przedstawicielem „ukraińskiej” gałęzi cywilizacji jagiellońskiej, gałęzi odrębnej przez to, że nie miała ona swego ośrodka intelektualnego, jakim dla „litewskiej” było Wilno. (Lwów nigdy tej roli nie pełnił i pełnić jej nie chciał, dumnie mianując siebie polskim miastem *kresowym*).

Wśród żyjących poetów i pisarzy „szkoły litewskiej” nie ma dziś nikogo (może z wyjątkiem Józefa Mackiewicza) kto by był tak bliskim duchowi i twórczości Białorusi i Litwy, jak Łobodowski bliski jest duchowi współczesnej Ukrainy. Paru innych, młodszych, co by może kiedyś mogło z nimi się mierzyć, porzuciło opustoszałą nawę cywilizacji jagiellońskiej.

Tym bardziej wyróżnienie Łobodowskiego dla nas, niedobitków „litewskiej” jej gałęzi jest wydarzeniem miłym i bliskim. Bo jak słusznie pisze Hostowiec:

„Spotkanie z Józefem Łobodowskim pozwala nam przejrzeć się na nowo w zwierciadło naszych jagiellońskich wspomnień i skonfrontować je z nową rzeczywistością. On jeden słyszy wyraźnie głosy, dochodzące poprzez kordony graniczne z dawnych obszarów Rzplitej, a które dla wielu z nas są tylko niejasnym szmerem pamięci”.

Czy tylko „szmerem pamięci”? Czyż naprawdę wyschły doszczętnie żywotne soki cywilizacji jagiellońskiej? Czy ma ona bezpowrotnie odejść w sferę archeologii?

Nie odważyłbym się wydać takiego wyroku — i nie myślę aby to chciał uczynić Hostowiec. Obecny stan rzeczy na ziemiach Rzeczypospolitej nie jest rzeczywistością rzeczywistą. Rzeczywistość została tam przemocą postawiona na głowie i wróci samorzutnie do postawy naturalnej skoro tylko odpadnie przymus. Problem wyboru *nowych form wolnego życia* powstanie automatycznie: bałkanizacja wschodu Europy czy powolna *integracja wolnych narodów*?

Cywilizacja jagiellońska ma pewne cechy wspólne z cywilizacją Karolingów na zachodzie Europy, trwała jednak znacznie dłużej. Jej elementy polityczne odrodziły się po tysiącu latach w formie potężnych prądów do integracji zachodniej Europy. To w co jeszcze przed 10 laty nikt nie chciał wierzyć, budzi podziw tempem i zasięgiem swego wzrostu.

Niwelujący wszystko przymus hamuje dziś na wschodzie Europy naturalny proces wyżycia się i dojrzewania narodów, cywilizacyjnie pokrewnych, do idei *braterstwa kultur i politycznego solidaryzmu*. Mimo to, nie potrwa zapewne on tak długo jak to było na zachodzie, — bo w drugiej połowie XX wieku przymus jako metoda a sojusz komunizmu z nacjonalizmem jako treść — to krucha konstrukcja polityczna. Tym bardziej ważnym jest prze-

chowanie, przez okres wiatrów wstecznych, zrębów myśli jagiellońskiej: — w piśmiennictwie, w sztuce i w sercach jej wyznawców na szerokim świecie.

Kazimierz OKULICZ

Komunikaty

NAGRODA PISARSKA

ufundowana przez ambasadora E. Raczyńskiego

Amb. Edward Raczyński postanowił ufundować nagrodę za *oryginalne i wartościowe dzieło pisarza polskiego na emigracji w języku polskim lub obcym, ogłoszone w latach 1957-1962*. Nagroda wyniesie 100 funtów. Do jury nagrody, prócz fundatora, wejdą: Józef Czapski, prof. Oskar Halecki, amb. Kajetan Morawski, Juliusz Sakowski, Wiesław Wohnout i Wacław Zbyszewski.

Zebranie jury odbędzie się pod koniec b.r. w Paryżu.



PRZEDŁUŻENIE TERMINU

KONKURSU NA SZKIC LITERACKI

Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im. Sylwestra Gruski w Sydney ogłosiło w dniu 19 kwietnia ub.r. Konkurs Literacki, dostępny dla wszystkich autorów polskich zamieszkałych na obczyźnie, celem nagrodzenia najlepszych nowel, bądź też szkiców literackich (esejów) na dowolny temat, nigdzie poprzednio nie drukowanych.

Jury konkursu wyznaczone przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie (Władysław Günther, Zofia Kozarynowa i Wiesław Wohnout), doszło do przekonania, że utwory nadesłane w terminie poprzednio przewidzianym nie wystarczają do powzięcia ostatecznej decyzji i postanowiło przedłużyć konkurs do 1 czerwca 1962 r.

Prace nadesłane na konkurs nie mogą przekraczać 20 stron maszynopisu (format znormalizowanego papieru tzw. handlowego, margines, tekst pisany z odstępami, czyli na stronie nie więcej niż 32 wiersze). Ostateczny termin nadsyłania prac upływa 1 czerwca 1962 r.

Fundatorzy przeznaczają kwotę £ 70 na nagrody z tym, że będą trzy nagrody: I — w wysokości £ 40, II — w wysokości £ 20 i III — w wysokości £ 10.

Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem: Union of Polish Writers Abroad, 12, Thurloe Square, London S.W. 7, England, z zaznaczeniem: „Konkurs Koła Kulturalno-Artystycznego w Sydney”.



KONKURS LITERACKI „GŁOSU POLSKIEGO”

Ze względu na wyrażone życzenia ze strony osób zainteresowanych z Argentyny i innych krajów naszego osiedlenia, Komitet Redakcyjny „Głosu Polskiego” przedłuża termin nadysłania prac do dnia 15 kwietnia 1962 r. — Według daty stempla pocztowego.

Zarazem przypominamy warunki Konkursu, rozpisanego przez „Głos Polski”, organ Związku Polaków w Argentynie, w ramach obchodów Tysiąclecia Polski.

Konkurs literacki rozpisany jest na nowelę lub esej o dowolnym temacie — prace dotąd nie ogłoszone w druku. Udział w konkursie mogą wziąć wszyscy pisarze polscy z kraju i na emigracji.

Ogólna suma nagród — 30.000 pesów. I nagroda, nowela — 7.500 pesów argent. — szkic — 7.500 pesów argent.; II nagroda, nowela — 5.000 pesów argent. — szkic — 5.000 pesów argent.; III nagroda nowela — 2.500 pesów argent. — szkic — 2.500 pesów argent.

Nowela nie może przekraczać 12 stron, szkic 6 stron maszynopisu formatu biurowego z podwójnym odstępem między wierszami.

Komitet Redakcyjny „Głosu Polskiego” oraz zaproszeni sędziowie wybiorą spośród nadesłanych sześć najlepszych prac i przyznają im kolejne nagrody. Komitet Redakcyjny rezerwuje sobie prawo drukowania w „Głosie” prac nienagrodzonych. Prace nagrodzone stają się własnością „Głosu Polskiego”.

Prace należy nadsyłać zaopatrzone godłem i niepodpisane, pod adresem: Komitet Redakcyjny „Głosu Polskiego”, calle Serrano 2076, Buenos Aires, w kopercie z napisem *Konkurs Literacki*. Do pracy winna być załączona druga zapieczętowana koperta zawierająca godło, a wewnątrz nazwisko i adres autora.

Wszystkie pisma polskie prosimy o przedruk.



„PAN TADEUSZ” PO ANGIELSKU

Nakładem i staraniem Polskiego Instytutu Naukowego w New Yorku ukazał się przekład „Pana Tadeusza” na język angielski dokonany przez znanego filologa i poetę, dra Watson Kirkconnella, prezydenta Acadia University, Wolfville, Nova Scotia.

Książka zawiera 400 str. Cena 7 dol. Zamówienia należy kierować na adres:

The Polish Institute of Arts and Sciences in America
59 East 66th Street, New York 21, N.Y.

NAGRODA SYNDYKATU DZIENNIKARZY POLSKICH W NIEMCZECH

Powołanie przez Zarząd Syndykatu Jury konkursowe w składzie: Dr T. Piszczkowski (przewodniczący), F. Broniecki, W. Gniatczyński, I. Klibański, S. Zadrozny (członkowie) postanowiło — na posiedzeniu w dniu 1.XII.1961 r. — przyznać nagrodę konkursową w sumie \$ 50, ustanowioną uchwałą Walnego Zjazdu z dnia 16.X.1958 r. za artykuł publicystyczny omawiający sprawy polskie w czasie drugiej wojny światowej — p. Aleksandrowi Milkerowi, członkowi Związku Dziennikarzy RP, z Londynu. Nagrodzony artykuł pt.: „Żywe pochodnie Radogoszcza” ogłoszony był w „Tygodniu Polskim” dnia 12.XII. 1959 r.

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Bez taryfy ulgowej

W samym tylko Londynie doliczyć się można przeszło dziesięciu instytucji powołanych przez polską emigrację do prowadzenia pracy naukowej: 5 instytutów, Ośrodek Studiów, kilka towarzystw naukowych, Społeczność Akademicka, PUNO, PUCAL, SNPS itd. W Nowym Yorku mamy dwa instytuty oraz dwie fundacje, w Paryżu — bibliotekę, towarzystwo naukowe i muzeum, w Rzymie — instytut, w Edynburgu — towarzystwo naukowe. Cieszy nas, gdy któraś z tych instytucji ogłasza coś drukiem, dając przez to dowód życia i aktywności. Czy jednak, w sumie, nie jest tych instytucji za dużo, a dowodów ich żywotności za mało? i czy wszystkie publikacje stoją na wysokości zadania? Stosowania przy ich ocenie „taryfy ulgowej”; publicznych nad nimi zachwytów, przy prywatnym tłumaczeniu, że, w trudnych warunkach emigracyjnych, dobrze, że przynajmniej „coś się robi”, nie uważamy za właściwe. Chcielibyśmy, i sądzimy, że jest to obiektywnie możliwe, by publikacje emigracyjne stały na poziomie zachodnich wy magań naukowych i stanowiły użyteczny i poszukiwany przez obcych materiał, a nie tylko formalną „kartę wizytową”, świadczącą o istnieniu w wolnym świecie również autorów polskich. Jako organ opinii publicznej, uważamy, iż mamy do tego prawo, gdyż większość wydawnictw emigracyjnych ukazuje się przy mniej lub więcej wydatnej pomocy środków publicznych. W trosce, by środki te były używane w sposób najbardziej celowy i owocny, będziemy na łamach „Kultury” omawiać polskie wydawnictwa emigracyjne BEZ TARYFY ULGOWEJ, tak jak to robimy w stosunku do wydawnictw krajowych czy obcych. Sądzimy, że jest to metoda krytyki jedynie właściwa i że, postępując w ten sposób, przyczynimy się, być może, do podniesienia ogólnego poziomu emigracyjnych wydawnictw. Prosimy również o stosowanie wzajemności przy omawianiu wszystkich naszych wydawnictw.

DOKUMENTY O STOSUNKACH POLSKO-SOWIECKICH

W okresie urzędowania uznawanego powszechnie Rządu Polskiego w Londynie panowała zasada, że wszystkie polskie publikacje dostosowane być winny do możliwości ludzi pochłoniętych wysiłkiem wojennym, to znaczy tak krótkie, by mogły być skonsumowane w ciągu najwyżej kilkudziesięciu minut. W rezultacie setki czy tysiące ton papieru i dziesiątki czy nawet setki tysięcy funtów poszły na wydawnictwa ulotne, które szybko kończyły swój żywot i dziś, po latach nie spełna dwudziestu, nie są łatwe do odnalezienia na półkach nawet najpoważniejszych bibliotek. Nieporęczny i stosunkowo często zmieniany format wydawnictw ciągłych, powodował trudności w ich kompletowaniu i korzystaniu po latach. Cóż z tego, że numery poszczególnego czasopisma objętościowo dorównywały przeciętnej książce, jeśli jego roczniki dostosowane są do możliwości olbrzymów. Te błędy polityki wydawniczej, w większym bodaj stopniu niż ówczesne trudności polityczne, spowodowały względny brak trwałych „pomnikowych” wydawnictw z okresu polskich szerokich możliwości finansowych na Zachodzie.

Jak to często u nas bywa, dopiero w warunkach znacznie mniej pomyślnych sytuacja zaczęła ulegać poprawie i dziś trwały dorobek wydawniczy polskiej emigracji nie jest bagatelny. Źródłowe zbiory dokumentów o stosunkach polsko-sowieckich w przełomowych latach wojny powołane były do zajęcia w nim bardzo poczesnego miejsca. Pilną ich potrzebę odczuwano od pierwszych lat wojny, niestety trudności polityczne spowodowały, że po pobieżnym omówieniu tych stosunków w wydawnictwie z 1940 roku (1) przygotowywany następnie w Londynie tom obszerniejszy nie wyszedł poza stadium egzemplarza korektorskiego i dziś jest prawdziwym „białym krukiem” (2). W 1944 r., staraniem Ambasady Polskiej w Waszyngtonie ukazał się wybór 90 dokumentów dyplomatycznych pod tytułem *Polish-Soviet Relations 1918-1943*. W następnym roku londyńskie wydawnictwo H.W. Hendersona wydało pod podobnym tytułem (*Polish-Soviet Relations, 1917-1945. Facts and Documents*) 48 stronicową broszurę, zawierającą przeważnie krótkie wyciągi z 75 dokumentów. W kilka lat później opracowano w Londynie zbiór około 450 dokumentów w dwóch powielanych i nieprzeznaczonych do użytku publicznego tomach. Po pamiętnikach gen. Andersa (*Bez*

(1) *Official Documents concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations, 1933-39*. Tzw. polska Biała księga wydana przez MSZ w 1940 roku w językach angielskim i francuskim. (W Londynie u Hutchinsona & Co.).

(2) *Poland and the USSR. 1921-1941, with an Introductory Note* by W.F. Reddaway, M.A., Hon Ph. D., F.R. Hist. S., Fellow of Kings College, Cambridge, edited by The Polish Research Centre, London 1941, str. 157.

Ostatniego Rozdziału) i książkach paru innych generałów o wydarzeniach w Rosji (3) wyszły w Londynie dwie publikacje prof. Kota: *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego* (1956) i *Rozmowy z Kremlem* (1959). Wciąż jednak brakowało wydawnictwa bardziej kompletnego, zawierającego możliwie pełny i obiektywnie zestawiony zbiór oficjalnych dokumentów i materiałów o stosunkach polsko-sowieckich od 1939 roku. Próbę wypełnienia tej luki podjął Komitet Studiów, powołany w styczniu 1958 r. przez Instytut Historyczny im. gen. Wł. Sikorskiego w Londynie. Wydany w 1961 r. pierwszy tom dokumentów z lat 1939-1943 jest rezultatem jego pracy (4).

Zewnętrznie wydawnictwo to wyróżnia się bardzo dodatnio spośród wszystkich dotychczasowych: potężny, przeszło 600-stronicowy tom, dobry papier, przyjemny, czysty i czytelny druk, doskonała korekta (niestety, tylko techniczna, nie redakcyjna — ob. niżej), solidna trwała oprawa. Cena — dodajmy w nawiasie — też odpowiednia: trzy gwineje, czyli dziewięć dolarów.

Poza podpisaną w czerwcu 1960 r. przez Edwarda Raczyńskiego *Przedmowę* i podpisanym przez Stanisława Biegańskiego *Wstępem od Redakcji*, wskazującym, m.in. metody jej pracy oraz wykorzystane przy niej źródła, omawiany tom zawiera 321 dokumentów (z których 89 są zaopatrzone przez Redakcję w przypisy) i 9 załączników, a także wykaz skrótów, używanych przy cytowaniu w nagłówkach dokumentów i załączników oraz w przypisach do nich, źródeł archiwalnych i drukowanych, podstawowych i wtórnych; listę głównych postaci; dokładny spis treści dokumentów i załączników oraz indeks alfabetyczny. Słowem, aparat wydawałoby się, odpowiadający w pełni wymaganiom zainteresowanych pracowników naukowych. Z wydania takiej książki można i należy się cieszyć i można by z niej być dumnym, gdyby nie to, że wnikliwsze przestudiowanie ujawnia jej, niestety poważne, usterki i braki.

Ponieważ podjęta przez Komitet Studiów praca nie jest jeszcze zakończona i w interesie nas wszystkich leży, by jej ostateczne wyniki były jak najlepsze i możliwie wolne od wszelkich zarzutów, intencja poniższej krytyki jest pozytywna: być może niektóre chociaż z jej uwag przydadzą się Komitetowi i Redakcji w ich dalszej pracy. Z tym nastawieniem chcę kolejno bardziej szczegółowo omówić poszczególne działy książki, poczynając od *Wstępu* Redakcji i wykazów źródeł.

Cel i metoda wydawnictwa

Za cel swej pracy Redakcja postawiła „dostarczenie badaczom współczesnej historii dokumentarnych materiałów, doty-

(3) Z. Bohusz-Szyszko, *Czerwony Sfinks*, K. Rudnicki, *Na Polskim Szlaku*, Londyn 1952.

(4) *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*, Volume I, 1939-1943, Heinemann, London 1961, str. XL i 625.

czących polityki rządów polskiego i *sowieckiego* (podkr. moje) w okresie drugiej wojny światowej". Pisze, że miała „całkowitą swobodę poszukiwań i wyboru”, to jest włączania do wydawnictwa wszystkich wartościowych materiałów”, które dobierała „liberalnie i obiektywnie, nie wchodząc w ich krytyczną ocenę oraz powstrzymując się od uwzględniania późniejszych kontrowersji i polemik”. Takiemu teoretycznemu stanowisku należy całkowicie przyklasnąć. Jednocześnie jednak we *Wstępie* czytamy że „sowieckie materiały dokumentarne nie mogły być w pełni wykorzystane, dlatego, że tylko niektóre części źródeł były dostępne, a mianowicie całość korespondencji pomiędzy ZSSR i Polską. Istotna polityka Kremla, jego plany, cele i decyzje, nie były znane i o nich wnioskować można tylko pośrednio z polskich i brytyjskich sprawozdań o sowieckich akcjach”. Takie sformułowanie, czy też postawienie sprawy, wywołuje już poważne zastrzeżenia. Jeśli nawet jest prawdą, że „istotna polityka Kremla, jego plany, cele i decyzje” pozostają wciąż jeszcze oficjalnie nieznane, czy jednak, mając na celu dostarczenie badaczom dokumentarnych materiałów, dotyczących polityki rządu *sowieckiego*, można ograniczać się jedynie do materiałów polskich i brytyjskich, w których ta polityka mogła znajdować pośrednie tylko odbicie, pomijając zaś całkowicie oficjalne wypowiedzi i publikacje sowieckie (poza korespondencją z Polską)? Zresztą takiemu oświadczeniu przeczy fakt, że w dwukrotnie podanym (i częściowo odmiennym we *Wstępie* od Redakcji i w wykazie stosowanych skrótów) wyliczeniu źródeł wymienione zostały niektóre, bardzo zresztą przypadkowo i dorywczo dobrane, źródła i materiały sowieckie, inne niż korespondencja z rządem polskim. Jednakże — i to jest zarzut bardzo istotny — nie są tam nawet wspomniane liczne i szeroko znane na Zachodzie oficjalne wydawnictwa sowieckie właśnie dotyczące okresu krytycznego. Można, co prawda, uważać, że większość owych, formalnie niekiedy bardzo okazałych, zbiorów sowieckich dokumentów z okresu wojny jest merytorycznie „pusta”, tym niemniej fakt całkowitego ich pominięcia w wydawnictwie, mającym na celu obiektywne przedstawienie polityki rządu *sowieckiego*, nie może nie wzbudzać poważnych zastrzeżeń.

Dlaczego, dwukrotnie wymieniając w wykazach źródeł III tom zbioru Klucznikowa i Sabanina z 1928 r., Redakcja nie uwzględniła również specjalnie poświęconej stosunkom polsko-rosyjskim *Krasnoj Knigi*, wydanej przez Komisariat Spraw Zagranicznych w Moskwie w językach rosyjskim i francuskim w roku 1920? Dlaczego nie wspomniała o rozpoczętym w 1957 r. w Moskwie, bardzo poważnym i źródłowym, wielotomowym wydawnictwie *Dokumenty Wnieszniej Politiki SSSR*? Dlaczego wreszcie całkowicie pominęła, merytorycznie co prawda mniej wartościowe, wydawnictwa sowieckie z okresu wojny, jak np. *Wnieszniaja Politika Sowietского Sojuza w pieriod Otieczestwiennoj Wojny. Dokumenty i Matieriały* (tom I, 22.VI. 1941-31 XII. 1943, Ogiz 1944, str. 698 i tom II, 1.I. 1944-31. XII. 1944, Ogiz

1946, str. 684, przetłumaczone przez Andrew Rothsteina na angielski i wydane w Londynie przez Hutchisona & Co. pod tytułem *Soviet Foreign Policy during the Patriotic War, Documents and Materials*), lub *Soviet War Documents. Addresses, Notes, Orders of the Day Statements*, wydane przez sowiecką ambasadę w Waszyngtonie w 1943 r. jako *Special Supplement* do *Information Bulletin*. Skoro Redakcja omawianego wydawnictwa nie przyjęła metody, zastosowanej m.in. przez redaktorów *Dokumentów Wnieszniej Poltiki SSSR*, drukowania w tekście tylko dokumentów własnych i podawania niektórych wiążących się z nimi dokumentów obcych w przypisach, jeśli wydawnictwo swoje chciała traktować „liberalnie”, „obiektywnie” i „bezzstronnie” nie powinna była pomijać oficjalnych wydawnictw rządu sowieckiego niezależnie od ich merytorycznej wartości. Tym bardziej, że moim zdaniem, właśnie w oficjalnych wydawnictwach sowieckich (nie koniecznie tych tylko, które zostały wyżej wymienione) mogła znaleźć sporo brakującego w omawianym *Zbiorze* materiału, dobitnie naświetlającego „istotną politykę Kremla, jego plany, cele i decyzje”.

Źródła materiałów: istotne i pozorowane

We *Wstępie* Redakcja pisze o korzystaniu przy przygotowywaniu *Zbioru* z licznych pierwszych źródeł polskich, a mianowicie akt: Urzędu Prezesa Rady Ministrów; Naczelnego Wodza; Sztabu Generalnego; Ministerstwa Wojny czy Obrony Narodowej; Ministerstwa Spraw Zagranicznych wraz z częścią *dokumentów Wnieszniej Poltiki SSSR*, drukowania w tekście tylko dokumentów polskiego poselstwa i jego agencji na Środkowym Wschodzie; Kancelarii Prezydenta Rzplitej oraz zbiorów dokumentów gen. Andersa, płk. Zamoyskiego i innych. Jak czytamy we *Wstępie*, we wszystkich tych aktach redaktorzy *Zbioru* szukali przede wszystkim oryginalnych dokumentów lub ich bezpośrednio przez kalkę dokonanych odpisów. W nielicznych tylko wypadkach, oznaczonych *MSZ Coll*, odpisy dokumentów Ministerstwa Spraw Zagranicznych z lat 1943-1946 sporządzone do użytku służbowego musiały im zastąpić poszukiwane oryginały. Ich autentyczność była starannie sprawdzana w każdym wypadku (str. XII).

Powyższy, dokładnie powtórzony za *Wstępem*, opis metod Redakcji *Zbioru* poszukiwania oryginalnych dokumentów ze źródeł polskich następuje parę uwag. Przede wszystkim pewne zdziwienie budzi wymienienie przez Redakcję wśród *utilized... Polish sources* „Polish Legation and Agencies in the Middle East”. Ponieważ w krajach Środkowego Wschodu, poza Ambasadą w Ankarze, funkcjonowało kilka polskich poselstw (legacji) oraz w okresie krytycznym przez pewien czas przebywał Minister-członek Rządu, określenie przez Redakcję w podany wyżej sposób akt

przez nią wykorzystanych jest zbyt ogólnikowe i nawet zagadkowe. Jeszcze bardziej dziwi nie wskazanie przez Redakcję dokładnego okresu czasu, który obejmowały przestudiowane przez nią różnorodne akta, ani też nie podanie miejsca, gdzie się te akta obecnie znajdują.

Co prawda, w umieszczonym bezpośrednio po redakcyjnym *Wstępie* wykazie skrótów, używanych w nagłówkach dokumentów oraz przypisach do nich, wymienione zostały jako „źródła archiwalne” (*archival sources*): 1. „Documents from the Chancery of the President of Polish Republic. 2. „General Sikorski Historical Institute in London. Archives with notations and numbers of records, groups and files”. Z tego wnioskować możemy, że wykorzystane przez Redakcję przy układaniu *Zbioru* dokumenty znajdują się w archiwach Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego. Jest to jednak wniosek tylko pośredni i, kto wie, czy w stu procentach słuszny.

Redaktorzy *Zbioru* twierdzą we *Wstępie*, że poza oryginałami nie ogłoszonych dokumentów przeglądali i wykorzystali wydrukowane następnie szczegółowo w 18 pozycjach źródła drukowane (*printed collections*). Liczba ta jednak nie jest **bardzo dokładna**, gdyż w wykazie stosowanych skrótów ilość „drukowanych podstawowych źródeł” (*printed primary sources*) wzrasta do 23. Ta rozbieżność w podawanych przez Redakcję liczbach skłania do bardziej szczegółowego zainteresowania się, skąd istotnie zostały zaczerpnięte dokumenty umieszczone w omawianym *Zbiorze*? Dokładne obliczenie podanych na pierwszym miejscu przy ich tytułach znaków umownych daje następujące rezultaty:

A. jako zaczerpnięte z innych drukowanych źródeł zostały oznaczone 81 dokumentów i 4 załączniki, a mianowicie:

Kolejna pozycja źródła w:
Wstępie — *Wykazie skrótów*

a.	24 dokumenty z	<i>Documents on German Foreign Policy 1918-1945</i> , tt. V-VIII	4	4
b.	15	„ z polskiej <i>Białej Księgi</i> z 1940 r.	13	20
c.	7	„ z londyńskiego <i>Hansard’a</i>	14	6-7
d.	6	„ z <i>Dziennika Ustaw Rzpl Pol.</i>	5	5
e.	7	„ z korespondencji Stalina z Churchillem i Rooseveltem	11	1
f.	3	„ ze zbioru Degras’a	2	2
g.	3	„ z roczników <i>Times’a</i> za lata 1934, 1939, 1941-1943	18	—
h.	3	„ z czasopisma <i>Mirowoje Choziajstwo</i> (Moskwa)	11	—
i.	2 dok. i 3	zał. z <i>Documents on British Foreign Policy 1919-1939</i>	3	3
j.	1	„ z <i>Sobranja Zakonow i Riasporiazenij Rabocze-Krestjanskogo Pravitielstva SSSR</i>	—	211
k.	1 dokumenty ze	zbioru Klucznikowa i Sabanina	8	12

l.	1	„	z roczników moskiewskiej <i>Prawdy</i> za lata 1934, 1939, 1941, 1943	16	—
m.	1	„	z roczników <i>Izwestij</i> za lata 1939, 1943,	6	—
n.	1	„	z <i>Livre Blanc Polonais</i> (?) — ob. wyż. b)	—	—
o.	1	„	z roczników <i>Monitora Polskiego</i> za lata 1939, 1940	12	—
p.	1	„	z publikacji Ligi Narodów za lata 1923, 1934, 1939	9-10	15-16
r.	1	„	z <i>Nazi-Soviet Relations</i> , Washington 1948	—	18
s.	1	„	z <i>Polish-Soviet Relations</i> , Washington 1944	15	19
t.	1	„	z <i>Pariser Zeitung</i>	—	—
u.	„	„	z publikacji Międzyn. Czerwonego Krzyża	17	
w.	1	„	załącznik z publikacji H.M.'s Stationery Office	—	8

Natomiast z jednej (7) pozycji, wymienionej jako wykorzystane źródło we *Wstępie*, oraz z 7 lub 8 pozycji *printed primary sources* w wykazie stosowanych skrótów (9, 10, 11, 13, 14, 17? (5), 22 i 23) żaden dokument załącznik do *Zbioru* włączony nie został.

B. Jako zaczerpnięte ze źródeł archiwalnych oznaczone zostały: 240 dokumentów i 5 załączników, a mianowicie:

1 dokument z Kancelarii Prezydenta Rzplitej
239 dokumentów i 5 załączników z archiwów Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego.

Te ostatnie dokumenty i załączniki, według podanych przy ich tytułach dalszych znaków literowych, należały do następujących grup aktów:

84 dokumenty prawdopodobnie do akt Urzędu Prezesa Rady Ministrów (oznaczone „*GSHI PRM*”) (6).

134 dokumenty i 5 załączników prawdopodobnie do akt innych wymienionych we *Wstępie* Redakcji władz i urzędów polskich (oznaczone „*GSHI A*”) (6);

13 dokumentów prawdopodobnie do wspomnianego we *Wstępie* zbioru gen Andersa (oznaczone „*GSHI KGA*”) (6);

6 dokumentów, oznaczonych „*GSHI MSZ Col.*”, prawdopodobnie zostało zaczerpniętych z przygotowanego w Londynie w 1948 powielonego dwutomowego *Zbioru Dokumentów* (Ob. wykaz stosowanych skrótów, poz. 17);

Pochodzenia 2 dokumentów, oznaczonych *GSHI Col* i *GSHI Kol* wyjaśnić nie potrafię.

(5) Pod pozycją 17 „wykaz skrótów” wymienia *Stosunki polsko-sowieckie. Zbiór dokumentów MSZ, 1939-1946*, London, 1948, 2 vols. (mimeographed), cytowane w skrócie *MSZ., Coll.* Prawdopodobnie to „printed primary source” jest identyczne ze wspomnianymi wyżej „odpisami dokumentów Ministerstwa Spraw Zagranicznych z lat 1943-1946 sporządzonymi do użytku służbowego” i następnie przez Redakcję traktowanymi jako zaczerpnięte ze „źródeł archiwalnych”.

(6) Skróty *PRM, A, KGA, Col. i Kol.* w „wykazie skrótów” nie figurują i w omawianym tomie nie znalazłem wyjaśnienia, co oznaczają.

Powyższe obliczenie ulegnie jednak zmianie w wypadku wzięcia pod uwagę znaków umieszczonych przy nagłówkach dokumentów (i załączników) na miejscu drugim (przy 53 dokumentach i 1 załączniku), względnie drugim i trzecim (przy 4 dokumentach). Z tych dodatkowych znaków wydaje się przede wszystkim wynikać, że 42 dokumenty i 1 załącznik, oznaczone jako zaczerpnięte ze źródeł archiwalnych literami GSHI, były już drukowane bądź to w waszyngtońskim wydaniu *Polish-Soviet Relations* (1944), bądź w polskiej *Białej Księdze* z 1940 r., bądź wreszcie w wydawanych w czasie wojny w Londynie *Soviet War News*. To odpowiednio zmniejsza ilość dokumentów drukowanych w *Zbiorze* po raz pierwszy, powiększa zaś ilość przedruków. Poza tym umieszczone przy niektórych dokumentach na drugim miejscu znaki nasuwają wątpliwości, czy redaktorzy *Zbioru* istotnie zadawali sobie trud samodzielnego przeglądania (jak o tym piszą we *Wstępie*) na przykład roczników za kilka lat moskiewskich *Izwestij*, czy *Prawdy* lub *Mirowogo Choziajstwa*, względnie nawet londyńskiego *Times'a* czy polskiego *Monitora*, a nie zaś zaczerpnęli umieszczonych w *Zbiorze* rzekomo z tych „źródeł” (z każdego przeważnie po jednym) dokumentów bezpośrednio z „drugiej ręki”, a mianowicie z wymienionych przy ich tytułach na drugim miejscu: polskiej *Białej Księgi* i zbioru Degras'a. To samo dotyczy może sowieckiego *Sobranja Zakonow* oraz zbioru Klucznikowa i Sabanina, jak również *Hansard'a*, pośrednikiem przy korzystaniu z którego mogło być źródło wymienione we *Wstępie* pod pozycją siódmą. W dalszej konsekwencji wątpliwości te mogłyby prowadzić do poważnego obciążenia ilości drukowanych źródeł, podawanych przez Redakcję jako wykorzystane przy układaniu *Zbioru*.

Również ilość dokumentów drukowanych w *Zbiorze* po raz pierwszy, zmniejszona już z 245 do najwyżej 190, przy bardziej dokładnym ich zbadaniu musi ulec dalszej redukcji. W szczególności dokumenty, umieszczone w *Zbiorze* pod pozycjami 67, 68, 71, 72, 110 oraz załącznik 1, na pewno nie są drukowane po raz pierwszy. Są to bowiem akty sowieckiego wewnętrznego ustawodawstwa i, jako takie, były we właściwym czasie ogłaszane w sowieckich wydawnictwach oficjalnych, m.in. we wspomnianych we *Wstępie* rocznikach *Izwestij* czy *Prawdy*. Ponieważ oryginały tych dokumentów na pewno nie znajdują się w archiwach Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie, drukowanie ich w *Zbiorze* jako zaczerpniętych z tych archiwów wydaje się dziwne.

Całkowitość i pełność zbioru

Jak to dwukrotnie zaznacza Redakcja we *Wstępie*, nie wszystkie dokumenty w *Zbiorze* zostały wydrukowane w całości. Raz na stronie XII pisze: „Dokumenty lub ustępy dokumentów, dotyczące spraw osobistych lub sporów wewnętrznych,

zostały opuszczone, jeśli nie były ważne (*important*) dla zrozumienia przebiegu wypadków"; drugi raz na stronie XIV: „Dokumenty polityki zagranicznej z reguły są przytoczone w ich pełnym tekście angielskim lub francuskim. Te zaś, które nie mają charakteru ściśle dyplomatycznego, podane są w wyciągach, ograniczonych do tego, co dotyczyło stosunków polsko-sowieckich. Niektóre dokumenty, ważne dla zrozumienia tego zagadnienia, lecz do niego nie należące, zostały podane w załącznikach. Adresy, zwroty grzecznościowe (*compliments*), podpisy i znaki kancelaryjne (*office marks*) zostały w dokumentach pominięte, z wyjątkiem traktatów i konwencji”.

Pomijając już niedostateczną „ostrość” pojęć użytych przy formułowaniu tych zasad (co to znaczy „dokumenty polityki zagranicznej”, lub o „charakterze ściśle dyplomatycznym”?), stwierdzić należy, że w praktyce nie zostały one konsekwentnie zastosowane. Traktat Ryski, niewątpliwie podstawowy dla stosunków polsko-sowieckich „dokument polityki zagranicznej” o „charakterze ściśle dyplomatycznym”, nie został umieszczony w *Zbiorze* w pełnym tekście, pominięto też w nim podpisy, zwroty grzecznościowe i znaki kancelaryjne. Podobnie w wyciągach tylko o bez podpisów wydrukowano w *Zbiorze* polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 1932 roku oraz porozumienie (*agreement*) sowiecko-litewskie z 1939 r. Bez podpisów umieszczono również konwencję o określeniu napastnika z 1933 r. i protokoły międzynarodowe z 1929 r. i 1934 r. Natomiast inne dwa traktaty, 3 porozumienia (*agreement*), 9 różnego rodzaju protokołów międzynarodowych oraz decyzję ambasadorów o wschodnich granicach Polski z 1923 r., zgodnie z zapowiedzią we *Wstępie*, wydrukowano z podpisami. Podpisy jednak umieszczono również pod znajdującymi się w *Zbiorze* 7 dokumentami nie posiadającymi „charakteru ściśle dyplomatycznego”, a mianowicie: 5 dekretyami Najwyższego Sowietu (w tym jeden tylko w wyciągu), sowieckim prawem o obywatelstwie oraz deklaracją Rady Komisarzy Ludowych ze stycznia 1920 roku. Podane przez Redakcję we *Wstępie* zasady teoretyczne nie pokrywały się również z jej praktyką umieszczania dokumentów w „Załącznikach”: dla czego np. decyzja Konferencji Ambasadorów lub konwencja o określeniu napastnika, albo też liczne dokumenty polsko-angielskie figurują wśród „Dokumentów”, a polsko-sowieckie porozumienia (*agreements*) w sprawach finansowych w „Załącznikach”?

Bez przeprowadzania ścisłych obliczeń, „na oko” można ustalić, że co najmniej jedna trzecia dokumentów w *Zbiorze* została umieszczona z mniejszymi lub większymi opuszczeniami. Z reguły, aczkolwiek nie zawsze (ob. niżej) i w szczególności nie przy opuszczaniu podpisów, zostało to zaznaczone przez umieszczenie kilku kropek w kwadratowych nawiasach; nigdzie jednak w książce nie znalazłem wyjaśnienia, że ten umowny, lecz nie powszechnie stosowany, znak to właśnie oznacza.

Jak już wspominałem, redaktorzy i wydawcy omawianego *Zbioru* nie tylko dokonywali cięć w umieszczanych w nim doku-

mentach, lecz niektóre z nich całkowicie pomijali. W zasadzie nie można mieć do nich o to pretensji: zebranie i wydanie WSZYSTKICH BEZ WYJĄTKU dokumentów dotyczących jakiejś kwestii w najkrótszym chociażby okresie czasu jest praktyczną niemożliwością. Toteż we *Wstępie* jest kilkakrotnie mowa o „selekcji” dokumentów, zaś gen. Kukiel w polemice z recenzentami krajowymi (7) wręcz pisze, że „kilka nie zamieszczonych ze względów techniczno-redakcyjnych (dokumentów) podamy jako suplement w t. II”. Niestety nie wiemy ile i jakich dokumentów pominiętych w pierwszym tomie trafi do „suplementu” tomu drugiego, wiemy natomiast czym kierowała się Redakcja przy dokonywaniu właściwej, jej zdaniem, selekcji: jako podstawowe (*crucial*) uznała ona następujących siedem zagadnień:

1. wznowienie polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych w 1941 r.;
2. zerwanie tych stosunków w 1943 r.;
3. współpraca wojskowa i formowanie armii polskiej w ZSSR w 1941 r.;
4. trudności, z jakimi to formowanie spotkało się w roku 1942;
5. organizacja opieki nad obywatelami polskimi w ZSSR i jej następna likwidacja;
6. spory co do obywatelstwa ludności ze wschodniej Polski i wreszcie
7. zagadka polskich jeńców wojennych w ZSSR.

Moim zdaniem, ten wykaz podstawowych w stosunkach polsko-sowieckich w okresie drugiej wojny światowej zagadnień nie jest pełny. Brakuje w nim co najmniej dwóch zagadnień najbardziej bodaj *crucial*:

- a. stosunków polsko-sowieckich PRZED wznowieniem stosunków dyplomatycznych w 1941 roku oraz
- b. zagadnienia sporu terytorialnego i polsko-sowieckich granic, i pominięcie przez Redakcję w wykazie *crucial problems* tych dwóch najbardziej drastycznych zagadnień w stosunkach polsko-sowieckich, nie mogło, moim zdaniem, nie wpłynąć ujemnie na dokonywaną przez nią selekcję dokumentów.

Crucial problems

Omawiany tom *Zbioru* w zasadzie zawiera dokumenty dotyczące stosunków polsko-sowieckich w latach 1939-1943. Posiada jednak część wstępną — 35 „dokumentów wprowadzających” (*introductory documents*) z lat 1918-1939. Przyjmując, jako datę graniczną pomiędzy częścią wprowadzającą i główną, dzień 1

(7) *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, Londyn, nr 242 z 11.X. 1961 r.

września, Redakcja, moim zdaniem, postąpiła niesłusznie. Dzień rozpoczęcia wojny polsko-niemieckiej był niewątpliwie datą przełomową w historii Polski, w historii Europy czy nawet świata, ale nie w historii stosunków polsko-sowieckich. Stosunki te, zarówno formalne jak i faktyczne, uległy gwałtownej i radykalnej zmianie dopiero w dniu 17 września. Ale na czym w istocie rzeczy ta zmiana polegała. Co właściwie zaszło pomiędzy Związkiem Sowieckim a Polską w dniu 17 września 1939 roku?

Ambasador Raczyński w *Przedmowie do Zbioru* podkreśla zawziętość (*persistence*), z jaką rząd sowiecki wysuwał w swoim czasie tezę o rzekomym nieistnieniu już wówczas Państwa i Rządu polskiego, oraz uważa jego twierdzenie, że ten rzekomy fakt miał zwolnić ZSSR od wszelkich zobowiązań międzynarodowo-prawnych wobec Polski, za *a fine example of Communist dialectic*. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego była to teza tak groteskowa, że została następnie zapomniana przez wszystkich, z autorami sowieckimi bodaj włącznie. Skoro jednak notoryczne jest, że prowadzące w sojuszu z innymi państwami ciężką wojnę z Niemcami Państwo Polskie i jego rząd w 1939 r. nie przestały istnieć, jakie były ich międzynarodowo-prawne stosunki z państwem i rządem sowieckim? Na to, niezmiernie z punktu widzenia teoretycznego i praktycznego interesujące, pytanie po dziś dzień żadna ze stron nie udzieliła definitywnej i miarodajnej odpowiedzi i ogłoszenie omawianego *Zbioru* nie przyczyniło się, niestety, do wyjaśnienia tej kwestii.

Czy w latach 1939-1941 była wojna polsko-sowiecka?

W ogłoszonych w *Zbiorze* dokumentach znajdujemy co najmniej dwukrotnie polską pozytywną odpowiedź na to pytanie. W dniu 18 czerwca 1941 r. w Londynie gen. Sikorski w rozmowie z brytyjskim ambasadorem w Moskwie, sir Stafford Cripps'em, powołując się na „ostatnie posiedzenie Rady Ministrów”, mówił o polskiej *line of policy, which is the policy of war against Russia, imposed on us by the latter* (str. 107). Również w *Instrukcji ogólnej dla Ambasadora Rzplitej Polskiej w ZSSR*, datowanej w Londynie 28 sierpnia 1941 r., lecz nie wiadomo przez kogo wydanej i podpisanej, jest wyraźnie mowa o tym, że wznowiający stosunki dyplomatyczne układ z 30 lipca 1941 r. „zakończył stan wojny pomiędzy obu krajami, zapoczątkowany sowiecką agresją na Polskę w dniu 17 września 1939 r.” (str. 158). Oba te dokumenty i, w szczególności, przytoczone wyżej zdania, nie zasługiwały, zdaniem Redakcji, na żadne wyjaśnienie czy komentarz (8),

(8) W przypisie Nr 85 do notatki z rozmowy gen. Sikorskiego z Crippsem Redakcja ogranicza się jedynie do ustalenia (na podstawie Keesing'a) daty nominacji Crippsa na ambasadora w Rosji oraz faktu jego podróży do Londynu w 1941 r.

aczkolwiek od tego, czy w okresie pomiędzy 17 września 1939 r. a 30 lipca 1941 r. był, czy też nie był, formalny stan wojny pomiędzy Polską a ZSSR, z punktu widzenia prawnomiędzynarodowego zależy bardzo wiele.

Zaznaczyć zresztą należy, że strona polska wkrótce milcząco wycofała się z tego nieopatrznie, być może, zajętego stanowiska, gdyż pozostawało ono w oczywistej sprzeczności z konsekwentnie podtrzymywaną następnie zasadniczą tezą polską, że po „incydencie” z września 1939 r. stosunki polsko-sowieckie w lipcu 1941 r. WRÓCIŁY do normalnego stanu sprzed „incydentu”. Strona rosyjska natomiast, cynicznie godząc się podczas rokowań lipcowych na niestawianie kropki nad „i”, przeprowadziła następnie w praktyce swoją tezę, że, po całkowitej *debellatio* Państwa Polskiego w 1939 r., stosunki ZSSR z „nową Polską Ludową” zostały oparte na nowych, całkowicie odmiennych od dawnych, zasadach.

Tak, niestety, moim zdaniem, przedstawia się to zagadnienie w praktyce, niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie. Redakcja *Zbioru* uchyliła się przed zajęciem w tej sprawie jakiegokolwiek stanowiska, odmówiła wszelkiego komentarza i, co gorsze, pozornie nie przywiązując do zagadnienia większego znaczenia oraz coś wspominając we *Wstępie* o trudnościach zgromadzenia pełnego materiału dokumentarnego z okresu działalności rządu polskiego we Francji w latach 1939-1940, pominęła przy selekcji szereg niezwykle ważnych i ciekawych dokumentów, dobitnie charakteryzujących stosunki polsko-sowieckie w owym, zaiste *crucial*, okresie.

A przecież rzekomo pokryta tajemnicą „istotna polityka Kremla”, jego plany, cele i zamiary znajdowały wówczas swój wcale niedwuznaczny wyraz zarówno w odezwach do żołnierzy polskich podpisanych we wrześniu 1939 r. przez sowieckich *Komandarmów* i późniejszych marszałków, S. Timoszenkę i M. Kowalewa, jak i na łamach oficjalnej sowieckiej prasy. Być może wspomniane odezwy, ze względu na ich specyficzny, rzekomo tylko „polski”, język, styl, składnię i ortografię, nie dadzą się dokładnie przełożyć na język angielski, sądzę jednak, że w tak starannie przygotowywanym wydawnictwie można je było, wyjątkowo, umieścić w fotostatycznych odbitkach z oryginałów, dostarczając w ten sposób wcale nierzadkim wśród obcych badaczy osobom, znającym języki polski i rosyjski, obok ciekawego materiału dokumentarnego również pewnej uciechy. Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest pominięcie przez Redakcję komunikatów operacyjnych Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, oficjalnie wydawanych i codziennie drukowanych w prasie sowieckiej pomiędzy 17 a 26 września 1939 r. Są to bowiem dokumenty nie tylko niezwykle istotne dla układu ówczesnych stosunków polsko-sowieckich, lecz bez ich znajomości niezrozumiałą jest cała późniejszy (i w *Zbiorze* uwzględniony) spór o ilość polskich „jeńców wojennych w ZSSR, ani nawet sam fakt znajdowania się tam

takich „jeńców” (9). Również drukowane wówczas w *Prawdzie* (z 7 i 19 XI 1939) niektóre rozkazy marsz. Woroszyłowa oraz depesza gratulacyjna Stalina z powodu XX-lecia I Konnej Armii Czerwonej, moim zdaniem, zasługiwałyby na uwzględnienie przy selekcji. Osobiście zapewne bym się nie oparł przed umieszczeniem w *Zbiorze* także następującej wymiany depesz, ogłoszonych w *Prawdzie* z 23 i 25 grudnia 1939 r.

„Do Pana Józefa Stalina w Moskwie.

Wspominając o historycznych momentach w Kremlu, które położyły początek decydującego zwrotu w stosunkach pomiędzy obu wielkimi narodami i przez to stworzyły podstawę do długotrwałej pomiędzy nimi przyjaźni, proszę Pana o przyjęcie w dniu Pańskiego 60-lecia moich najbardziej gorących życzeń.

Joachim von Ribbentrop, Minister Spraw Zagranicznych”

„Berlin. Ministrowi Spraw Zagranicznych Niemiec, Panu Joachimowi von Ribbentropowi.

Dziękuję Panu, Panie Ministrze, za życzenia. Przyjaźń narodów Niemiec i Związku Sowieckiego, przypieczelowana krwią (skreplennaja krowju), ma podstawy do tego, by była długotrwałą i mocną.

J. Stalin”.

Wprawdzie powyższe lapidarne depesze pośrednio tylko dotyczyły stosunków polsko-sowieckich, wspomniana w nich krew była POLSKĄ. Poza tym były one niewątpliwie dobitnym wyrazem „istotnej polityki Kremla, jego planów, celów i zamiarów” oraz co ciekawe, odbiły się niedawno zgola niespodziewanym i, prawdopodobnie, nieuświadomionym freudowskim echem w przemówieniu Gomułki, który na 22 Zjeździe sowieckiej partii komunistycznej w Moskwie mówił m.in. o „naszym braterstwie i naszej solidarności, zrodzonych ze wspólnej walki i przypieczelowanych wspólnie przelaną krwią (*skrepleny sowmiestno prolitoj krowju* „Prawda” z 20. X. 1961).

Sprawa „Amnestii” dla „jeńców wojennych”

Zgodnie z protokołem podpisanym przez gen. Sikorskiego i amb. Majskiego jednocześnie z Paktem Lipcowym, po przywróceniu stosunków dyplomatycznych z Polską rząd sowiecki miał udzielić „amnestii wszystkim obywatelom polskim, pozbawionym obecnie wolności na terytorium ZSSR, bądź to jako jeńcy wojenni lub na innych dostatecznych podstawach”. Według ustalonej przez wieki praktyki międzynarodowej, jeńcy wojenni nigdy nie byli uważani za przestępców, którym by nale-

(9) Charakterystyczne jest, że gen. Sikorski w rozmowach z amb. Majskim nie powoływał się na oficjalne komunikaty Sztabu Generalnego, lecz na jakieś, bliżej nieokreślone, *official Soviet statistics, published recently* — ob. dok. Nr 91, str. 117. W przypisie do tego dokumentu Redakcja nie wyjaśnia, co mianowicie mógł mieć Generał na myśli.

żało udzielać amnestii. Termin ten nie figurował również w przytoczonych w *Zbiorze* pierwotnych projektach umowy polsko-sowieckiej (Ob. dok. Nr 90-105) i, jak *deus ex machina*, pojawił się dopiero w ostatecznym tekście, podpisanym 30 lipca, by zostać następnie raz jeszcze powtórzonym w lakonicznym dekreście Prezydium Najwyższego Sowietu z 12 sierpnia 1941 r. Dzięki notatce (wspomnianej przez Redakcję w przypisie na stronie 581, lecz w *Zbiorze* nie umieszczonej (10), spisanej w swoim czasie przez W. Arleta z jego rozmowy z amb. Cripps'em w dniu 8 sierpnia 1941 r., wiemy obecnie, że ów dokładnie w prawie karnym zdefiniowany termin „amnestia”, logicznie implikujący przyznanie władzom sowieckim prawa *kaznit' il miłovat'* „polskich przestępców — jeńców wojennych”, został istotnie wprowadzony dopiero w ostatniej chwili przez Stalina podczas jego rozmowy z Cripps'em i, bez zastrzeżeń, przyjęty przez stronę polską, by nie utrudniać ostatecznego zawarcia tak niecierpliwie przez Anglosasów oczekiwanego polsko-sowieckiego „porozumienia”. Niestety, ani wówczas, ani nawet po rewelacjach katyńskich, nikt z oficjalnych przedstawicieli polskich nie uświadomił sobie i nie podniósł publicznie, jak złowieszczą prognozę stanowiło owe kategoryczne żądanie Stalina, by w oficjalnej umowie z Polską zostało mu, przynajmniej pośrednio, przyznane legalne prawo traktowania polskich „jeńców wojennych” jako przestępców, zasługujących na dowolną łaskę lub karę. A przecież od chwili pośredniego nawiązania kontaktu z Polakami w dn. 4 lipca 1941 r. przedstawiciel sowiecki stale kwestionował liczbę polskich „jeńców wojennych” w Rosji i nie przyznawał się do więcej niż 20.000 (dok. Nr 90), wówczas gdy gen. Sikorski uparcie mówił o około 190.000, w tym ponad 10.000 oficerów, między innymi oświadczając w dniu 11 lipca 1941 r., iż „nie chce dać wiary twierdzeniom Niemców, że wszyscy oni zostali wymordowani” (str. 130). Jakże mianowicie „twierdzenie Niemców” (*German assertion*) gen. Sikorski mógł mieć wówczas na względzie, Redakcja *Zbioru* nam nie wyjaśnia.

Sprawa granicy polsko-sowieckiej

Jak to, niestety, wyraźnie wynika z ogłoszonych w *Zbiorze* dokumentów, jeszcze, bodaj, przed rozpoczęciem wojny niemiec-

(10) Na ogół Redakcja *Zbioru* wykazała ogromną i niezupełnie zrozumiałą powściągliwość przy selekcji do druku dokumentów z najwcześniejszego okresu po przybyciu przedstawicieli polskich do Moskwy w sierpniu 1941 roku. Dzięki temu pozostaje m.in. nadal niewyjaśniona ciekawa i zagadkowa sprawa „nominacji” dr. J. Retingera na polskiego *Chargé d'Affaires* w ZSSR, gdyż przypis na stronie 582 sprawy tej dostatecznie nie wyjaśnia. W szczególności wspomniana w tekście notatka spisana przez Arleta, moim zdaniem, zasługiwała na ogłoszenie w pełnym tekście, jako istotne i ważne źródło historyczne. Tymczasem str. 581, na której znajduje się o niej wzmianka, w ogóle nie figuruje w indeksie przy nazwiskach Crippsa i Arleta.

ko-sowieckiej W. Brytania uważała sprawę granicy polsko-sowieckiej za teoretycznie „otwartą” (Ob. m.in. oświadczenie prem. Churchilla w Izbie Gmin 5.IX.1940 — dok. Nr 79), zaś Związek Sowiecki, od pierwszego kontaktu z gen. Sikorskim w dniu 5 lipca 1941 r., za faktycznie „zamkniętą”, to jest definitywnie przesądzoną przez wydarzenia 1939 roku. Rząd gen. Sikorskiego cały czas usiłował przechodzić nad tymi wyraźnie sformułowanymi stanowiskami dwóch wielkich mocarstw do porządku dziennego, na którym w toku rokowań lipcowych przede wszystkim umieszczał sprawę oficjalnego i formalnego unieważnienia przez ZSSR tzw. umów Ribbentrop-Mołotow. Gdy w końcu gen. Sikorskiemu udało się to przeprowadzić, subiektywnie prawdopodobnie zupełnie szczerze uważał, że z układu lipcowego „automatycznie” i „logicznie” wynikał powrót do międzynarodowo-prawnego stanu sprzed września 1939 r., o czym z gorącym przekonaniem zapewniał polską opinię publiczną zarówno przed jak i po lipcowym układzie (m.in. w przemówieniach przez radio 23.VI. i 31.VII. 1941 r. — dok. NrNr 86 i 109). Niestety, nie brał przy tym pod uwagę ani doświadczenia historycznego, ani też, nie stanowiącego żadnej tajemnicy, faktu, że Związek Sowiecki teoretycznie wyznaje i praktycznie stosuje zasady logiki nie formalnej, lecz „dialektycznej”. Przecież już raz rząd sowiecki był uroczyście unieważnił traktaty rozbiorcze Polski, z czego jednak, jego zdaniem, bynajmniej „logicznie” nie wynikało przywrócenie polskich granic przedrozbiorowych. Dlaczegożby w dwadzieścia kilka lat później miało być inaczej?

W omawianym *Zbiorze*, jako dokument Nr 1, figuruje wyciąg z ostawionego dekretu Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 r. Redakcja zaopatrzyła go w stosunkowo obszerny przypis (ob. niżej) nie wspominając jednak ani słowem, że w lipcu 1941 r. rząd sowiecki dokładnie powtórzył precedens z roku 1918: formalnie „unieważnił” martwe już wówczas umowy, nie wyciągając z tego żadnych „logicznych” ani praktycznych konsekwencji. W swoim czasie gen. Sikorski mógł, być może, nie zdawać sobie z tego sprawy; dziś wydaje się obowiązkiem wyraźnie tego stwierdzenie i jak najdobitniejsze podkreślenie.

Sprawa „plebiscytu”

Zgodnie z uparciem i konsekwentnie przez stronę sowiecką podtrzymywanym stanowiskiem, wschodnia połowa Państwa Polskiego przeszła na rzecz Związku Sowieckiego jeszcze w 1939 r. i to mniej lub więcej niezależnie (w pierwszym okresie — do 1941 r. — mniej, w późniejszym — więcej) od jakichkolwiek umów z hitlerowskimi Niemcami. W omawianym *Zbiorze* znalazł się jeden dokument (Nr 64), a mianowicie nota Rządu Polskiego jeszcze z Paryża z 21.X.1939 r., w którym jest mowa o jakimś „plebiscycie”, rzekomo organizowanym przez władze sowieckie

na „terytoriach czasowo okupowanych”. Słowo „plebiscyt” jest terminem prawniczym, posiadającym w prawie publicznym i międzynarodowym zupełnie dokładnie i ściśle określone znaczenie. Przez osoby słabo orientujące się w subtelnościach prawniczych, źle poinformowane lub złej wiary, termin ten był i jest niestety, niekiedy używany w odniesieniu do wydarzeń, jakie w 1939 r. miały miejsce na polskich Ziemiach Wschodnich. Skoro, z tych lub innych względów, w czasie, gdy wypadki wojenne czyniły niemożliwym uzyskanie dokładnych i ścisłych informacji, został on użyty w oficjalnej nocie rządu emigracyjnego, którą Redakcja *Zbioru* uważała za celowe wybrać do druku, należało się jakieś wyjaśnienie w odpowiednim komentarzu. Redakcja *Zbioru* tego nie uczyniła, przez co wszystkim osobom gorszej woli dostarczyła przynajmniej cienia „dowodu”, że Polacy sami przyznają, iż na Ziemiach Wschodnich odbył się jednak jakiś „plebiscyt”, przeciwko któremu nieskutecznie protestowali. Tymczasem, jak wiadomo, władze sowieckie nigdy i nigdzie żadnego plebiscytu nie przeprowadzały, natomiast, zarówno na Ziemiach Wschodnich, jak później (w 1940 r.) w państwach bałtyckich, zarządziły tzw. „wybory” do tzw. „zgromadzeń ludowych” czy też — w państwach bałtyckich — „parlamentów” i, po notorycznym sfałszowaniu tych rzekomych „wyborów”, „uwzględniły” rzekomo „jednomyślnie prośby” rzekomo „jednomyślnie wybranych delegatów” czy „posłów” o wcielenie odnośnych terytoriów do Związku Sowieckiego. I ten, niewątpliwie dla stosunków polsko-sowieckich jak najbardziej *crucial*, problem Redakcja *Zbioru* potraktowała po-macoszemu. Całkowicie pominęła wcale nietrudne do odnalezienia w ówczesnej oficjalnej prasie sowieckiej, zarówno centralnej jak i tym bardziej, lokalnej, lwowskiej i białostockiej, dokumenty i materiały (11), stwierdzające ponad wszelką wątpliwość sowiecką perfidię i złą wolę oraz fikcyjność zarządzonych i w błyskawicznym tempie, w toku niemal działań wojennych, „przeprowadzonych” „wyborów”. Natomiast, po przytoczeniu (bez komentarza) wspomnianej wyżej bałamutnej noty polskiej o „plebiscycie” i wydrukowaniu uzyskanych z drugiej ręki (Degras) wyciągów z przemówienia Mołotowa z 31.X. 1939 r., ograniczyła się do umieszczenia pod NrNr 67 i 68, również faktycznie cytowanych z drugiej czy nawet trzeciej ręki, dekretów Najwyższego Sowietu ZSSR z 1 i 2 listopada 1939 r. o uwzględnieniu „prośb” tzw. „zgromadzeń ludowych” tzw. Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi” (w Białymstoku!) o wcielenie tych terytoriów do Związku Sowieckiego. Drukując te perfidne „dokumenty”, rzeczywiście nie pozostające w żadnym związku z „istotną polityką Kremla, jego planami, celami i decyzjami”, Redakcja *Zbioru*, zamiast by ich treść podważyć i obalić przy pomocy innych, autentycznych i oficjalnych, sowieckich dokumen-

(11) Dla niektórych z tych dokumentów znalazło się miejsca nawet w małej broszurce, wydanej w 1945 r. przez H.W. Hendersona. Ob. *Polish-Soviet Relations 1917-1945*, str. 17-19.

tów i materiałów, zdecydowała to zrobić we własnym przypisie. Na niecałej stronie 572, w ośmiu punktach od a) do h) przytoczyła argumenty, które, jej zdaniem, wystarczały by upoważnić ją do użycia w tekście przypisu takich zwrotów jak: „rzekomo 'swobodnie wyrażonej woli ludu' ” oraz „tak zwanych 'wyborów' ”. Tu jednak muszę zrobić małą dygresję natury osobistej.

W swoim czasie, jeszcze w 1943 r. w Londynie, z własnej inicjatywy i własnym staraniem, zrobiłem, w oparciu wyłącznie niemal o dokumenty i oficjalne materiały sowieckie, przeszło 100 stronicowe opracowanie o *Warunkach i Okolicznościach tzw. „wcielenia” Polskich Ziem Wschodnich do ZSSR w 1939 roku*. Własnoręcznie w kilku egzemplarzach przepisane na maszynie „pierwsze wydanie” tego opracowania zaopatrzyłem w następującą uwagę: „Praca ta winna była zostać wykonana staraniem Rządu Polskiego w roku 1940 lub 1941; została wykonana staraniem prywatnym w roku 1943: czy i kiedy ukaże się w druku?”. Ewentualnie ciekawych mogę poinformować, że w druku dotąd się nie ukazała i, prawdopodobnie, już nie ukaże się nigdy. Natomiast, jeszcze w 1943 r., któreś z londyńskich polskich ministerstw, po usunięciu wyżej wspomnianej uwagi, wydało ją, bodaj parokrotnie, w formie powielanej, zarówno w tekście polskim, jak i — nienajlepszym — tłumaczeniu na język angielski. Obecnie z omawianego *Zbioru* dowiaduję się, że widocznie jeden z polskich egzemplarzy tego, wydanego zresztą anonimowo, opracowania trafił do archiwów Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego i figuruje pod sygnaturą A. 11.49 /Sow/ 6 jako *W. Sukienicki. Sprawa aneksji Polski Wschodniej przez Sowiety*. Taki bowiem tytuł nosi powołane w wyżej wspomnianym przypisie na pierwszym miejscu źródło informacji jego autora czy autorów. Pomimo to, nie przyjmuję odpowiedzialności za niezbyt dokładne, a niekiedy nawet wręcz bałamutne, sformułowania, w szczególności pod pozycjami b) i c) wspomnianego przypisu Nr 67.

Sowieckie postulaty terytorialne i sowiecka konstytucja

Chociaż sprawa polsko-sowieckiego sporu terytorialnego nie była zaliczona przez Redakcję *Zbioru* do *crucial problems*, stosunkowo znaczna ilość włączonych do *Zbioru* dokumentów dotyczy tego problemu. *Soviet territorial claims* były omawiane w licznych rozmowach, listach i memorandumach polsko-angielskich (ob. np. dokumenty NrNr 176, 179, 189, 191, 196, 204 itd.) i polsko-amerykańskich (dok. NrNr 194 i 195); znajdziemy w *Zbiorze* nawet, zaopatrzoną w stosunkowo bardzo obszerny przypis, depeszę amb. Papée'go o stanowisku zajmowanym w tej kwestii przez Stolicę Apostolską (dok. Nr 207). Ponieważ jednak *Zbiór* w zasadzie miał dotyczyć tylko stosunków polsko-sowieckich, pominięte wszystkie pośrednie materiały i informacje, ograniczając się jedynie do dokumentów bezpośrednio sprawy dotyczących.

Podczas rokowań lipcowych strona sowiecka dość chętnie zgodziła się na formalne przemilczenie w tekście projektowanej umowy sprawy granicy polsko-sowieckiej, jednocześnie bardzo mocno akcentując zdanie rządu sowieckiego o niepodległym Państwie Polskim „within the limits of Polish nationality” (dok. Nr 94, str. 128). Gen. Sikorski, zgodziwszy się na to *de facto*, formalnie pozostawał przy swojej tezie o „automatycznym” i „logicznym” przywróceniu granicy ryskiej i nawet, podczas rozmów na Kremlu, wychodząc z założenia, że teoretycznie nie może dopuścić, „aby polskie granice państwowe mogły być uważane za płynne” (str. 244), uchylił się od dyskusji nad postulatami terytorialnymi Stalina, które miały być *very, very moderate* (str. 311).

Tak miał je oceniać sam gen. Sikorski w rozmowie z amerykańskim podsekretarzem stanu, Sumner Wellesem, w Waszyngtonie, 25 marca 1942 r. (dok. 195). Notatka (nie wiadomo przez kogo sporządzona) z rozmów podczas obiadu na Kremlu w dniu 4 grudnia 1941 r. (dok. Nr 160) o tak sformułowanych postulatach Stalina nic wyraźnie nie wspomina. Zawiera ona jednak m.in. następującą wymianę zdań pomiędzy gen. Sikorskim i Stalinem:

„....nie mogę się zgodzić, nawet w zasadzie, na założenie, że polskie granice państwowe mogą być uważane za płynne (*Fluid*). Wszyscy polscy obywatele w przedwojennych granicach Polski nie przestali być naszymi obywatelami. Nie można stwarzać faktów dokonanych przy pomocy siły. Nikt na Zachodzie na to się nie zgodzi.

— Wzięli oni udział w głosowaniu i stali się obywatelami sowieckimi.

— Powiedział Pan wczoraj, że świat by się śmiał, gdyby cała polska armia opuściła Rosję. Odpowiem na to, że świat pękłby ze śmiechu, gdybym się zgodził na dyskusję granic 1939-go roku i uznanie faktów, dokonanych przez was podczas wojny. W istocie, wiemy dobrze jak wyglądały te wszystkie plebiscyty (!? W.S.) na Ziemiach Wschodnich, plebiscyty (!? W.S.), które miały załatwić kwestię naszych granic wschodnich.

— Nie będziemy się kłócili z powodu granic... Powinniśmy ustalić nasze wspólne granice pomiędzy sobą i jeszcze przed Konferencją Pokojową, gdy tylko Armia Polska wejdzie do akcji. Powinniśmy przestać mówić na ten temat. Nie martwcie się, nie skrzywdzimy was.

— Granica 1939 roku nie może być kwestionowana. Pozwoli Pan, Panie Prezydencie, że wrócę jeszcze do tego problemu.

— Chętnie, proszę bardzo (*Please, you will be welcome*)” (str. 244-45).

Następnie sprawa polsko-sowieckiego sporu terytorialnego była poruszana w szeregu not wymienionych przez Komisariat Ludowy Spraw Zagranicznych z Ambasadą Polską w ZSSR na temat obywatelstwa mieszkańców polskich Ziemi Wschodnich oraz w związku z kwalifikacją geograficzno-państwową poszczególnych miejscowości. Gdy Ambasada w nocy z 9 grudnia 1941 r. (dok. Nr 163) m.in. użyła argumentu, że rozciągnięcie ustawy o obywatelstwie sowieckim na ludność polskich Ziemi Wschodnich byłoby sprzeczne z postanowieniami konwencji haskich z

1907 r., Komisariat odpowiadał w nocy z 5 stycznia 1942 r. (dok. Nr 167), że ten argument jest „pozbawiony wszelkich podstaw zarówno z politycznego jak i międzynarodowego punktu widzenia, ponieważ wkroczenie wojsk sowieckich do Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi na jesieni 1939 r. nie było okupacją, lecz przyłączeniem wspomnianych terenów do Związku Socjalistycznych Sowieckich Republik w rezultacie swobodnie wyrażonej woli ludności tych terenów”. W nocy z 9 stycznia 1942 r. (dok. Nr 170) Komisariat uznał nazywanie „okupacją” zajęcia polskich Ziemi Wschodnich za „obraźliwe dla Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik”, zaś w nocy z 17 stycznia 1942 r. (dok. Nr 172), „uważając za niemożliwe wchodzenie w dyskusję na temat historycznych i prawnych podstaw przynależności miasta Lwowa oraz innych miejscowości na terytoriach Ukraińskiej i Białoruskiej SSR do Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik” zapowiedział nieprzyjmowanie w przyszłości not ambasady, zawierających twierdzenia, że odpowiednie miejscowości znajdują się na „terytoriach Rzplitej Polskiej”.

Nadmienić należy, że ze strony sowieckiej był wysuwany jeszcze jeden „argument”, rzekomo uniemożliwiający jej jakąkolwiek dyskusję na ten temat, a mianowicie konstytucję sowiecką. Ponieważ konstytucja Związku Sowieckiego wyraźnie wymieniała poszczególne *oblasti* republik Ukraińskiej i Białoruskiej jako stanowiące część Związku Sowieckiego, dla wszystkich lojalnych i przestrzegających praworządności obywateli i urzędników sowieckich sprawa ta miała być ostatecznie i definitywnie przesądzona. Niektórzy z polskich przedstawicieli, nie wiedząc o dokonanej w 1940 r. zmianie odpowiednich artykułów sowieckiej konstytucji, byli tym „argumentem” w pierwszej chwili zaskoczeni. Redaktorzy omawianego *Zbioru* nic o tym nie wspominają, oraz, zamieszczając cały szereg aktów wewnętrznego ustawodawstwa sowieckiego, nie znaleźli w *Zbiorze* miejsca na przytoczenie tekstu zmienionej sowieckiej konstytucji i omówienie okoliczności, w jakich ta zmiana została dokonana.

Inne zagadnienia

W porównaniu z wyżej poruszonymi, inne zagadnienia, jak organizacja opieki nad obywatelami polskimi czy nawet współpraca wojskowa i formowanie armii polskiej w ZSSR, były stosunkowo mniejszej wagi. Pominiemy też omawianie licznych w tych kwestiach dokumentów, ogłoszonych w *Zbiorze*, ograniczając się jedynie do słów kilku na temat wykonywania „amnestii” i przywracania wolności uwięzionym i deportowanym z polskich terytoriów obywatelom, których liczba, kwestionowana zresztą przez przedstawicieli polskich, jako niekompletna, wynosić miała, według danych udzielonych przez Wicekomisarza Spr. Zagranicznych, A. Wyszyńskiego, podczas jego rozmowy z amb. Kotem, 387,932 osoby, w tym w więzieniach i obozach pracy

71.481; deportowanych lub zesłanych 291.137 oraz „jeńców wojennych” — 25.314. Nie wszystkie z dotyczących tej, wydawałoby się bardzo istotnej kwestii rozmów oraz not, wymienionych pomiędzy Ambasadą a Komisariatem Spraw Zagranicznych, zostały przez Redakcję *Zbioru* zakwalifikowane do druku. M.in. nie zostały wydrukowane ani pierwsza rozmowa na ten temat Retingera z Wyszyńskim z 28 sierpnia 1941 r., ani pierwsza nota Ambasady z 27 września. Nie zostało wydrukowane również zasadnicze Memorandum w tej sprawie, złożone przez Ambasadę 19 maja 1942 r. oraz sowiecka na nie odpowiedź w *Pro-memoria* z 10 lipca. Z tego ostatniego zresztą Redakcja wydrukowała pierwsze parę stron, dalsze zaś dziewięć jedynie streściła w przypisie, nie zaznaczając tego wyraźnie w tekście, chociażby przez umieszczenie kropek w kwadratowych nawiasach (ob. wyż.). Podobnie 15 stronicowe *Memorandum* z 19 maja streszczone zostało na jednej stronie przypisu do umieszczonego w *Zbiorze* w pełnym tekście formalnego pismka, przy którym *Memorandum* zostało do Komisariatu przesłane (dok. Nr 221). Osobiście nie uważam tego za słuszne, gdy *Memorandum* to, przedstawiające sowiecką politykę stosowaną przy aresztowaniach i deportacjach na terenach nowozajętych przez władzę sowiecką w celu wyeliminowania stamtąd wszystkich elementów przywódczych miejscowego społeczeństwa, w moim rozumieniu, było dokumentem bardzo istotnym i zasługiwało na selekcję do *Zbioru* w stopniu wyższym, niż niektóre z wydrukowanych w całości dokumentów (np. raport londyński o sowieckich audycjach radiowych w języku polskim — dok. Nr 188).

Przypisy

O redakcyjnych przypisach wspominałem już parokrotnie. Stanowią one niewątpliwie najbardziej samodzielną i oryginalną część książki, ale, moim zdaniem, nie najlepszą. Na 321 dokumentów w *Zbiorze* w przypisy zaopatrzonych zostało 89, czyli nie wiele więcej niż 27%. Moim zdaniem, jak tego kilka przykładów podałem wyżej, wiele innych dokumentów i kwestii w nich poruszonych wymagało pewnych wyjaśnień i komentarzy, byle jasnych i dokładnych. A tego, niestety, o wielu wydrukowanych przypisach powiedzieć nie można. Weźmy, dla przykładu, przypis do dokumentu Nr 1, a mianowicie wyciągu z dekretu Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 r. Dekret ten, jak wiadomo, poza traktatami dotyczącymi Polski, wyliczał szereg innych umów Rosji z państwami niemieckimi, które, zdaniem rządu sowieckiego, utraciły moc obowiązującą w związku ze zmienionymi okolicznościami i warunkami. Tymczasem, według zdania autora czy też autorów przypisu, miał on stanowić krok w jakiejś, obliczonej na dalszą metę, „nowej polityce” rządu sowieckiego, zapoczątkowanej na jesieni 1918 r. i skierowanej ku Zachodowi (*pointed to the West*). Rzekomo, opierając się na

gwarancji terytorialnej jej udzielonej w dodatkowym traktacie z 27 sierpnia 1918 r. przez Niemcy Wilhelmowskie, a jednocześnie licząc na ich szybki upadek, Rosja Sowiecka miała od września 1918 r. rozpocząć przygotowania do „zbrojnej walki klasowej w Polsce, Łotwie i Litwie na bardzo wielką skalę, tworząc na swym terytorium załążki rządów i wojsk (*shadow governments and nuclei of troops*), wyczekując na koniec niemieckiej okupacji i powstanie nowych krajów (*rising of new countries*). W dalszej konsekwencji *this line of policy*, zdaniem autora czy autorów przypisu, pozostawać miało anulowanie w dniu 13 listopada 1918 r. traktatu brzeskiego, co jednak stanowić miało powrót do idei sojuszu 'mas pracujących' na ruinach niemieckiego i austro-węgierskiego imperiów pod przywództwem Sowieckiej Rosji; działalność tego nowego bloku (!? W.S.) miała być skierowana 'przeciwko zachodniej burżuazji i uciskowi kapitalistycznemu' świeżo uwolnionych narodów (str. 562).

Pomimo powołania się po takich wywodach na 5 publikacji, w większości sowieckich, nie wydają się mi one w zasadzie słuszne. Pobieżne przejrzenie podręcznika historii Rosji Sowieckiej poucza, że po tzw. „powstaniu czechosłowackim” i utworzeniu antysowieckich rządów w Samarze i w Omsku oraz po wysadzeniu oddziałów Sprzymierzonych na Murmaniu, w Rosji Sowieckiej, odciętej „od swoich podstawowych rejonów zaopatrzenia żywnościowego, surowcowego i opałowego” (12), 30 sierpnia 1918 miał miejsce terrorystyczny zamach na Lenina w Moskwie, zaś w Piotrogradzie zamordowani zostali Wołodarski i Urycki. W odpowiedzi na to, 2 września 1918 r. Republika Sowiecka została ogłoszona oficjalnie za zagrożony ze wszystkich stron „obóz wojenny” i trudno przypuszczać, że można było wówczas poważnie myśleć o przygotowywaniu, i to „na bardzo wielką skalę”, „zbrojnej walki klasowej w Polsce, Łotwie i Litwie, a nie zaś na Woldze, Uralu, Syberii, Północy, Ukrainie, Donie itp. Oddziały narodowościowe, czy raczej już w tym czasie 'międzynarodowe', były istotnie w Rosji Sowieckiej tworzone i używane, jak np. „polscy ułani”, w walkach z Czechosłowakami na froncie nadwołżańskim i uralskim, natomiast koncepcje tworzenia *shadow governments* (w pierwszym rządzie dla Łotwy i Estonii) spotykały się w partii z zasadniczą i zacieklą opozycją. Dopiero po kapitulacji Niemiec na zachodzie Komisarzowi do Spraw Narodowości Stalinowi udało się się z dużym trudem przełamać tę opozycję i doprowadzić do utworzenia „rządów” Stuczki i Kapsukasa dopiero w drugiej połowie grudnia 1918 r. Nadmienić wreszcie należy że w okresie od lipca do listopada 1918 r. „Legacja Rady Regencyjnej” była oficjalnie, choć niezbyt chętnie, uznawana przez rząd sowiecki i urzędowała w Moskwie, a jej ekspozytura w Piotrogradzie, jako polskie „przedstawicielstwa dyplomatyczne” oraz że 28 października rząd sowiecki oficjalnie zawiadomił przedstawiciela Rady Regencyjnej o swym zamiarze wysłania

„przedstawiciela dyplomatycznego” w osobie Juliana Marchlewskiego, do Warszawy. Wszystkie te fakty (13) pozostają w oczywistej sprzeczności z treścią przypisu redakcyjnego do dokumentu, umieszczonego w *Zbiorze* pod Nr 1-ym.

Zbyt wiele czasu i miejsca zajęłoby prostowanie niedokładności i nieścisłości, zawartych w innych przypisach, usiłujących, często zbyt zwięzłe i bez uwzględniania szybko w niektórych okresach zmieniającej się sytuacji politycznej, wyjaśniać poszczególne, często bardzo skomplikowane, problemy, jak np. politykę narodowościową Piłsudskiego czy sowiecką. Gorzej, gdy redakcyjne przypisy podają fakty wręcz nieprawdziwe. Tak np. przypis do dokumentu Nr 251 mówi o W. Arlecie jako *the arrested Secretary of the Embassy* (str. 602), jednocześnie cytując słowa Wyszyńskiego, że gdyby tylko „dostał jego w swoje ręce, to wypiewałby on całą prawdę”. Wyszyński „prawdy” się nie dowiedział, gdyż Arlet wbrew twierdzeniu przypisu nie był nigdy przez władze sowieckie aresztowany i jeśli z Wyszyńskim rozmawiał, to jedynie na stopie nie tylko wolności, lecz i równości. W nawiasie zaznaczyć należy, że w *Zbiorze* nie ma w ogóle wzmianki o Piwowarczyku-Wolskim, którego afera odegrała tak decydującą rolę przy kategorycznym sowieckim żądaniu natychmiastowego odwołania z Rosji Arleta i gen. Wolikowskiego. Również inna tajemnicza sprawa Roli-Janickiego i jego „teczki”, aczkolwiek w *Zbiorze* wspomniana, nie została w nim należycie wyjaśniona.

Dziwne, czy zabawne, jest nie wymienienie w *Zbiorze* nazwiska A. Mniszka. Jako 2-gi Sekretarz Ambasady brał on, na równi z Arletem udział w rozmowach w Komisariacie Spraw Zagranicznych; następnie wrócił do kraju, usiłował tam, ponoć kontynuować służbę w dyplomacji i miał, bodaj jakieś nieprzyjemności, co jednak nie zatarło ani w pamięci ludzkiej ani w dokumentach roli, jaką w latach 1941-42 odgrywał w Kujbyszewie.

Korekta redakcyjna i indeks

Ponieważ urzędnicy Komisariatu Spraw Zagranicznych, z Andrzejem Wyszyńskim łącznie, nie przyznawali się do znajomości języka polskiego, w charakterze tłumaczy przy rozmowach polsko-rosyjskich występowali zawsze Polacy: Arlet, Mniszek czy, niekiedy, min. H. Sokolnicki. Dlatego też nie może odpowiadać prawdzie wzmianka w nagłówku dokumentu Nr 139 o Puszkynie

(13) Znaleźć je można m.in. w wydanych przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk pod ogólną redakcją N. Gąsiorowskiej *Materiałach Archiwalnych do Historii Stosunków Polsko-Radzieckich*, T. I., Marzec 1917 — listopad 1918, Warszawa 1957. Redakcja Zbioru nie wspomina o tym poważnie i ciekawie zapowiadającym się wydawnictwie, którego dotąd ukazał się tylko tom pierwszy, a które, według zapowiedzi redakcyjnej, miało być zakończone w pięciu tomach w 1961 roku.

acting as interpreter. Na ogół stwierdzić należy brak jednolitego i konsekwentnego identyfikowania wszystkich uczestników ze strony polskiej w rozmowach z dygnitarzami sowieckimi. Również autorzy notatek z tych rozmów są w *Zbiorze* wskazani tylko w wyjątkowych wypadkach. Jeszcze gorzej jest z identyfikowaniem osób w indeksie. Oczywiście ideałem by było rozbięcie jego na indeks nazwisk, miejscowości i rzeczowy. W danym wypadku nie miało to miejsca i w rezultacie liczne miejscowości wspomniane w tekście nie figurują w indeksie; brak tam m.in. hasel „Komi”, „Karagandy”, „Primorskiej kraj”, „Saratow”, „Jaku-tia” i wielu innych. Jeszcze gorzej jest z innymi nazwami: dla przykładu wymienię wspomniany na str. 164-165 „ZWZ”. Nie tylko nie figuruje on w indeksie, podobnie zresztą jak i „PPS” czy „ZSL” lub *Peasant Party* itp., lecz również brak przy tym kryptonimie jakiegoś wyjaśnienia, niezbędnego chyba obcym czytelnikom, dla których wydawnictwo jest w zasadzie przeznaczone. O sporadycznych opuszczeniach w najbardziej rozbudowanym dziale indeksu — nazwiskach, już wspominałem (ob. odsyłacz 10). Osoby w nim wymienione są identyfikowane tym szczegółowiej i dokładniej im bardziej są powszechnie znane. Natomiast osoby mniej znane są identyfikowane niekiedy błędnie lub niedokładnie czy niedostatecznie. Błędne identyfikowanie najczęstsze jest przy nazwiskach Polaków; co zilustruję paru przykładami. „Załęski Maciej” zidentyfikowany został jako *Polish Welfare Officer*, aczkolwiek w rzeczywistości był pierwszym Sekretarzem Ambasady i jej Delegatem we Władywostoku.

Podobnie, jako *Polish Welfare Officers* zostali błędnie w indeksie zidentyfikowani korzystający z uprawnień dyplomatycznych Attachés i Delegaci Ambasady: Henryk Słowikowski, Witold Płoski, Stanisław Lickindorf, Bohdan Kościakowski i Marian Heitzman (ob. str. 444).

„Weese Eugeniusz” został zidentyfikowany jako *Counsellor in the Polish Embassy in USSR*, aczkolwiek w okresie, którego zbiór dotyczy, nie był on w ogóle w ZSSR i przebywał w Londynie. Niedostatecznie czy niedokładnie zidentyfikowanych jest wielu zarówno Polaków jak i cudzoziemców, przy nazwiskach, których (i to nie zawsze) figurują bądź to nie wiele mówiące inicjały bądź, przy wojskowych, stopnie bez wskazania narodowości armii. Tak np. Naczelną Wódz armii litewskiej gen. Rastikis jest zidentyfikowany po prostu jako „General”, podobnie jak Józef Haller, T.G.G. Haywood, Albert Kesselring, Khrulov, Paulus, Alexander Sergejevich Shcherbakov, Maxime Weygand i inni. To samo dotyczy również wielu osób zidentyfikowanych jedynie jako „Colonel”. Brak metody, jednolitości i konsekwencji w identyfikowaniu osób w indeksie ilustruje również fakt, że na tej samej stronie 621 występują „Roosevelt, Anna Eleanor” z dodatkiem w nawiasie (Mrs. F.D. Roosevelt) i „Sikorska, Helena” bez żadnego dodatku.

Wnioski

Wydawnictwo źródłowych dokumentów pozornie tylko jest rzeczą łatwą. Oprócz dobrych chęci i kwalifikacji ogólnych wymaga także bardzo dokładnej znajomości epoki i warunków lokalnych, których dokumenty dotyczą, a także ogromnej staranności i tego, co Niemcy nazywają *Sitzfleischem*. Bez posiadania w stopniu wybitnym takich szczególnych kwalifikacji trudno uniknąć mniej lub więcej licznych usterek i braków. Oby ich było jak najmniej w dalszych tomach wydawnictwa podjętego przez Komitet Studiów Instytutu Historycznego im. gen. Wł. Sikorskiego w Londynie. Życzę mu tego jak najgoręcej.

Wiktor SUKIENNICKI



WSPOMNIENIA GEN. KOPAŃSKIEGO

W okresie wojennego współdziałania polsko-brytyjskiego cztery wielkie jednostki polskie odegrały rolę wybitną. Trzy z nich — Drugi Korpus, Brygada Spadochronowa i Dywizja Pancerna — weszły do literatury pamiętnikarsko-wojennej, głosami swoich dowódców — Andersa, Sosabowskiego i Maczka. Dowódca jednostki czwartej — Brygady Karpackiej — odezwał się dopiero teraz (1). Co prawda, dziejom swej Brygady poświęca gen. Kopański zaledwie trzecią część książki. Wspomnienia jego bowiem obejmują okres prawie siedmiu lat — od chwili wybuchu wojny niemiecko-polskiej do momentu demobilizacji i likwidacji armii polskiej w W. Brytanii w r. 1946. Autor — zrazu pułkownik, później generał, był w tym siedmioletnim okresie oficerem z wyższego szczebla w sztabie Naczelnego Wodza podczas kampanii wrześniowej; po klęsce Polski i po krótkim pobycie w Rumunii i Francji został dowódcą formowanej na Bliższym Wschodzie polskiej Brygady Karpackiej, dowodził tą Brygadą w walkach jej w Afryce, w oblężonym Tobruku i pod Gazalą, wreszcie — w r. 1943 powołany został na stanowisko

(1) Stanisław Kopański: *Wspomnienia Wojenne 1939-1946*, tom 54 serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, 1961, stron 394, portret autora, 4 dwustronne wkładki z ilustracjami, 4 mapy, obwoluta układu Janiny Chrzanowskiej.

szefa Sztabu polskiego Wodza Naczelnego w Londynie, i z tego wysokiego szczebla patrzył na tak tragiczne wydarzenia, jak Teheran, Jalta, Poczdam, „Burza” krajowa, powstanie warszawskie...

Książkę swoją gen. Kopański poprzedza krótką przedmową i zamyka jeszcze krótszym posłowiem. Te wstępne i końcowe uwagi dziwią swoją treścią, określają bowiem stosunek autora do własnego wysiłku pisarskiego w sposób, w literaturze raczej niespotykany. Bo — powiada autor — „nie jest to pamiętnik o wartości dokumentu politycznego lub wojskowego. Nie brałem udziału w większych wydarzeniach międzynarodowych, ani też nie miałem do czynienia z mężami stanu. Dowodzenia wysokiego szczebla nie sprawowałem, a naczelne dowództwo polskie na obczyźnie nie kierowało operacjami wojennymi. Wspomnienia te nie będą interesowały więc ani polityków, ani strategów. Są też zbyt suche i bezbarwne, by były książką dla szerszej masy czytelników”...

Wobec takich wstępnych uwag autora narzuca się pytanie: dla kogo tedy pisał swe wspomnienia, po co i dla kogo ogłosił je drukiem? Wydaje mi się jednak, że trudno byłoby o przykład większej — przesadnej — skromności autorskiej. Autor krzywdzi tu sam siebie, bo wbrew jego mniemaniu — są w książce opisy żywe, barwne, plastyczne, pełne głębokiej nieraz wymowy. Również wbrew przewidywaniom autora i „strateg”-sztabowiec, i polityk znajdzie w książce niejedną ciekawą i cenną dla siebie stronę, historyk zaś uważać będzie te wspomnienia za dokument bezsporny — nie tylko jako głos świadka i uczestnika wielkich zdarzeń, ale też jako obraz psychiki człowieka, którego los czy wybór przełożonych postawił na szczeblu, gdzie praca wiąże się z pojęciem już nie zwykłej, ale dziejowej odpowiedzialności.

Wspomnienia swe napisał gen. Kopański już w latach 1949-1950. Dlaczego z ogłoszeniem ich zwlekał pełnych lat dwanaście? Na pytanie to odpowiada w przedmowie sam: „Odwlekałem ogłoszenie wspomnień drukiem, by nie przyczyniać się do możliwych kontrowersji pomiędzy tymi, którzy jeszcze mogli wspólnie i zgodnie pracować dla sprawy polskiej”. Po dwunastu zaś latach, decydując się na druk, sądził inaczej: „należę do schodzącego pokolenia i wołałbym, by ci spośród moich współczesnych, którzy mogliby i chcieli wnieść coś do opisu wydarzeń, prostując lub uzupełniając ich ujęcie przeze mnie, byli jeszcze w stanie tego dokonać”...

W uzasadnieniach tych tkwi sprzeczność. Bo autor dziś najwyraźniej pragnie tego, czego tak bardzo chciał uniknąć przed dwunastu laty. Czyżby, sam jeszcze czynny w życiu emigracji, uznał, że dziś nie ma już warunków do „wspólnej i zgodnej pracy dla sprawy polskiej”? A może sądził, że po upływie dwunastu lat namietności osłabły, różnice w poglądach i ocenach wyrównały się i złagodniały? Dla Francuza — owszem — okres kilkunastu lat byłby wystarczający. Kto dziś we Francji wraca do sprawy Pétain’a czy Laval’a? Ale Polak ma w sobie dużo upartej zacie-

trzewienia. Na Polaka czas nie działa. Marszałek Piłsudski, jako Naczelnik Państwa zamierzał nadać „Virtuti Militari” wszystkim żyjącym jeszcze wtedy uczestnikom powstania styczniowego. Spotkał się jednak ze strony weteranów z zabiegami, by tego i tamtego pominąć, bo — „byli mieronawczykami”!... To po upływie sześćdziesięciu lat!... Czegóż się spodziewa gen. Kopański od Polaków po upływie dwunastu zaledwie lat?

Mimo jednak tych właściwości narodowych przypuszczam, że ogół polski przyjmie tę książkę raczej spokojnie. W prasie ukazać się mogą recenzje nawet liczne, w większości niechybnie — dodatnie i pochlebne, ale poruszenia głębszego spodziewać się trudno. I to z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że gen. Kopański w poglądach i ocenach swoich jest prawie zawsze wyrazicielem opinii tzw. „większości”. Ta „większość” więc nie będzie widziała powodów do jakichkolwiek zastrzeżeń czy sprostowań. To zaś, co mogłoby wywołać „kontrowersję”, rozbraja sam gen. Kopański: w sądach swoich — nie wszystkich, ale często — jest powściągliwy, operuje metodą napomknienia i niedomówienia, sąd śmielszy czy ostrzejszy łagodzi zaraz jakąś dodatkową uwagą. Wreszcie — a jest to tutaj kwestią najważniejszą — wielu problemów w treści ważkich, nawet arcyważkich, a w temperaturze do dziś gorących, nie porusza zupełnie, tak, jak gdyby nie było ich wcale.

W dodatku przez długą zwłokę z ogłoszeniem dawno napisanych wspomnień wyrządził sobie autor jeszcze jedną krzywdę. Bo w ciągu tych dwunastu lat i na emigracji, i w kraju ogłoszono wiele pamiętników, opublikowano niemało świadectw, wydobyto z archiwów sporo dokumentów. Wszystkie zasadnicze momenty z tego siedmioletniego okresu są — w zasadniczej treści — już chyba powszechnie dziś znane. Nie znaczy to, by w sprawach tych, tak wielkich, bohaterskich, tragicznych, nie można było dziś powiedzieć czegoś nieznanego jeszcze. Przeciwnie — mimo bogatej już literatury, są wciąż jeszcze problemy, są nawet kompleksy zagadnień, oczekujące światła i ostatecznego rozstrzygnięcia. Generał Kopański w książce swej jednak prawie nie wychyla się poza obręb spraw powszechnie dziś znanych. W rezultacie — opóźniony ze swoją publikacją, daje w niej znacznie mniej, niż znaleźć można w narosłej w tym dwunastoleciu literaturze i — co gorsza — dużo, dużo mniej, niż spodziewać się można od relacji oficera z tak wysokiego szczebla. Nie mogę wyobrazić sobie, by szef Sztabu Naczelnego Wodza z najtragiczniejszym dwuleciu nie dostrzegał wielkich, kapitalnych problemów, by nie doceniał wagi ich i znaczenia. Wolę więc przypuszczać, że tę metodę przemilczeń zastosował celowo. Ale jeśli się nawet znalazło jakieś więcej czy mniej słuszne uzasadnienie dla tych przemilczeń w roku 1949, gdy wspomnienia te były pisane, to za wielki błąd i za dodatkową — tym razem ogromną — krzywdę dla autora uznać trzeba ogłoszenie dziś tych wspomnień w ich pierwotnej redakcji.

◆

Za część najlepszą tych wspomnień uznać trzeba cztery rozdziały środkowe, poświęcone dziejom tworzenia Brygady Karpackiej w Syrii, przejścia jej do Palestyny, udziału jej w obronie oblężonego Tobruku, stoczonej przez nią bitwy pod Gazalą, i wreszcie — wycofania jej z frontu, reorganizacji i przekształcenia jej w trzecią dywizję strzelców karpackich, która później — już po odejściu z niej gen. Kopańskiego — tak piękną i tak bohaterską rolę odegra w walce zwycięskiej o zdobycie Monte-Cassino.

Literatura, poświęcona dziejom Brygady Karpackiej, — naukowo-badawcza, pamiętnikarska, nawet beletrystyczna — jest już dość obfita i w sumie swej daje obraz dostatecznie wymowny. Do pełni brakowało tylko głosu dowódcy. Bo chociaż brzmieć to będzie może „zbyt pięknie”, może „zbyt literacko”, to jednak w zgodzie z prawdą stwierdzić trzeba, że to, co w dziejach Brygady jest jej zasługą i chwałą, jest owocem nie tylko szarego żołnierskiego „trudu i znoju”, lecz także owocem znakomitego dowodzenia. Jedno wiąże się tu jak najściślej z drugim.

Można i nawet trzeba żałować, iż gen. Kopański nie ograniczył się do ogłoszenia tylko tej — Brygadowej — części swoich wspomnień. Byłby w takim wypadku autorem doskonałego pamiętnika wojennego i pozostawałby w oczach czytelnika pięknym przykładem oficera o pełni kwalifikacji zawodowych i o nieprzeciętnym zasobie tych wartości wewnętrznych, jakich wymagają od dowódcy rola i zadania jego w służbie bojowej w polu.

Jakżeż inaczej wygląda ten sam człowiek poza linią!

Na pół roku przed wybuchem wojny powołany na stanowisko szefa operacyjnego w Sztabie Głównym, zostaje od samego początku ograniczony w roli — nie ma pola dla żadnej inicjatywy, może i musi być tylko pomocnikiem, pozbawionym głosu wykonawcą poleceń. Nie umie czy nie chce, w każdym razie nie próbuje walczyć o zakres swoich właściwych uprawnień i obowiązków. Godzi się potulnie z sytuacją, w której Wódz Naczelny, szef Sztabu, jego zastępca nie ujawniają przed nim swoich koncepcji i zamiarów; w rezultacie, choć jest szefem działu operacyjnego, o niektórych koncepcjach operacyjnych dowie się dopiero po wojnie. Nikt też z jego zwierzchników ani w przededniu wybuchu wojny, ani w trakcie kampanii nie oczekuje od niego żadnych wniosków, nie przyjmuje żadnych uwag. Jest w tej relacji nawet pewną goryczą zaprawione stwierdzenie, że gdy raz odważył się wystąpić z nieśmiałą uwagą, usłyszał w odpowiedzi, że Naczelny Wódz nie potrzebuje „pouczeń”...

Mimo to w opisie tych tak tragicznych siedemnastu dni września jest obserwatorem-kronikarzem rzetelnie bezstronnym i sumiennym. Opis ten to z jednej strony obraz potwornie ciężkich warunków, w jakich pracować musiał Wódz Naczelny i jego sztab, z drugiej — to dzieje kampanii wrześniowej, widziane z wysokości ośrodka kierowniczego. Autor w opisie ogranicza się

do tego, co widział, co słyszał, z czym się zetknął bezpośrednio — wielu, nawet bardzo istotnych momentów, brak; autor pisze tę część zresztą, jak sztabowiec dla sztabowców — wiele szczegółów pozostawia bez najkrótszych nawet wyjaśnień; wymaga przez to od czytelnika gruntownej znajomości przebiegu kampanii wrześniowej, we wszystkich jej fazach i na wszystkich odcinkach; kto takiej znajomości nie posiada — musi przy tej lekturze sięgać do istniejącej literatury, by tam szukać pomocy w zrozumieniu tego, co autor ma na myśli w swoich skrótach. Jest to więc z całego tomu fragment dla czytelnika przeciętnego najtrudniejszy.

W końcowych „wnioskach i refleksjach” z kampanii wrześniowej próbuje autor, zresztą w sposób niezbyt zdecydowany, podnieść parę zarzutów — „rozproszenia sił”, braku „dowództw pośrednich” pomiędzy poszczególnymi armiami a Naczelnym Wodzem, pewnych „braków w kierowaniu kampanią”. Zarzutom tym, spóźnionym echem pierwotnych sądów i opinii polskich o wrześniu, nie umiał autor nadać siły przekonywującej. Pisze bowiem, w ramach swoich zarzutów, że „przy innym planie wojny, bardziej dostosowanym do naszych skromnych sił” może dałoby się utrzymać „w nieco lepszej sytuacji operacyjnej, niż to miało miejsce”: „może by więc nie doszło jeszcze do wystąpienia Rosji przed ofensywą Zachodu”. Trudno pojąć, jak może autor mieć takie wątpliwości dziś, w roku wydania swojej książki, jeśli od wielu już lat istnieje tak obfita literatura polska i francuska, która w pełni wyjaśniła problem bezczynności wrześniowej Zachodu i niedotrzymanych przezeń zobowiązań sojuszniczych wobec Polski. Trudno też pojąć, jak mógł snuć autor takie przypuszczenia co do Moskwy w trakcie pisania wspomnień, a więc przed dwunastu laty, jeśli o parę już lat wcześniej, bo w r. 1948, waszyngtoński Departament Stanu ogłosił tak obfite zbiory tajnych dokumentów niemiecko-sowieckich z najdokładniejszym w nich przebiegiem konszachtów i targów między Hitlerem a Stalinem co do warunków i terminu sowieckiego, pomocniczego dla Niemców, zbrojnego uderzenia na Polskę!... Ostateczny jednak sąd swój zamyka autor w pojednawczym raczej, choć zbyt wąskim stwierdzeniu, że kampanii wrześniowej „nie mogliśmy wygrać bez silnej ofensywy sprzymierzonych zachodnich w przewidzianym umową terminie”. Wracając też na tory rzetelnej bezstronności, porównuje „reakcje polskiego Naczelnego Wodza i jego odpowiedników we Francji w 1940 roku” i „w Rosji w 1941” i podkreśla, że po polskiej stronie było „może mniej rezygnacji” (?), przy „mocniejszej tendencji przeciwstawienia się woli przeciwnika, nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach”. Wreszcie, parokrotnie podkreśla spokój i hart ducha, cechujące Marszałka Śmigłego-Rydza „stale, w chwilach tak tragicznych”. Przytacza nawet przykłady, jak to od Marszałka właśnie do zachwianych czy załamujących się dowódców armii szły twarde, męskie perswazje, apele, moralne nakazy: trwać, wytrzymać, wziąć się w garść!...

O ile przedwojenny przydział autora do Sztabu Głównego można wytłumaczyć jeszcze różnymi względami i powodami, to powołanie go w r. 1943 na stanowisko szefa Sztabu Naczelnego Wodza uznać trzeba omyłkę przełożonych, omyłkę, utrwaloną i pogłębianą przez jego niezdecydowany opór przy przyjęciu nominacji na stanowisko, które go nie nęciło i na którym czuć się będzie jak w duszącym kieracie. Ze szczerością wręcz rozbijającą pisze, jak „zamykał się ściśle w ramach” spraw wojskowych, jak bardzo chciał być z dala „od gry politycznej stronnictw”, jak pragnął odciąć się całkowicie od „zagadnień polityki wewnętrznej, reprezentowanej przez rząd”, jak starannie unikał „wejścia w jakiekolwiek wewnętrzne tarcia”. Wyznania te mogą budzić u czytelnika oddźwięki życzliwej sympatii, czy nawet współczucia, są jednak wyrazem założeń najniewątpliwiej błędnych, szef Sztabu bowiem nie może być ślepy i głuchy na to, co się dzieje obok, w dziedzinie polityki. Awersją, nawet zrozumiałą, nawet uzasadnioną, daje jednak skutki fatalne. Dość dla przykładu stwierdzić, że o czerwcowej w r. 1944 podróży Mikołajczyka do Waszyngtonu pisze gen. Kopański w czterech tylko wierszach, ograniczając się do stwierdzenia, że premierowi towarzyszył gen. Tatar i że w wyniku waszyngtońskiego referatu Tatara „uzyskał wówczas Mikołajczyk 10 milionów dolarów na potrzeby Polski podziemnej”. Tyle tylko — nic więcej, choć w Waszyngtonie właśnie rozstrzygała się sprawa podróży Mikołajczyka do Moskwy i choć zapadały anglosaskie decyzje właśnie odmowy pomocy dla powstania w Polsce, jeszcze przed wybuchem warszawskim. Chciałoby się mieć nadzieję, że gen. Kopański, z jakichś tam swoich powodów, pisze o tej sprawie znacznie mniej, niż wiedział, jeśli jednak, jako szef Sztabu wiedział tyle tylko, ile o tym napisał, to byłby to już wystarczający powód do stwierdzenia, iż nie odpowiadał wymaganiom zajmowanego stanowiska służbowego. Nie jest to zresztą jedyny przykład jego... niewiedzy. Spraw politycznych, tak mocno powiązanych z dziejami krajowej „Burzy”, z wybuchem powstania warszawskiego, dymisją gen. Sosnkowskiego, nominacją odchodzącego do niewoli Bora-Komorowskiego na Naczelnego Wodza, wreszcie z sytuacją Podziemia krajowego po upadku powstania warszawskiego, nie porusza zupełnie, albo w wyjątkowych wypadkach rzuca jakąś małą wzmiankę. Ta końcowa część tomu jego wspomnień jest w sensie politycznym ubogą. Dziś wiemy znacznie więcej nawet i w tych sprawach, które autor uważa i traktuje, jak osobisty epizod w ramach problemu powstania warszawskiego. A więc w sprawach oceniania depesz Naczelnego Wodza do kraju i nieobecności Naczelnego Wodza w Londynie w dniach, gdy zapadały decyzje co do powstania. Szef Sztabu, pragnący „odciąć się całkowicie od zagadnień polityki wewnętrznej”, nawet nie spostrzegł, jak znalazł się w wirze „gry politycznej stronnictw” i jak został przez te siły pchnięty na drogę rozumowania i działania przeciw Naczelnemu Wodzowi. Złej woli tu nie było,

mścił się jednak grzech, popełniony przez zgodę na przejście z „linii” do sztabu i do zadań, szczepionych nierozdzielnie z nieznaną dotąd dżunglą polskich w Londynie „stosunków i zwyczajów wewnątrzno-politycznych”.

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI

Paryż, 5 lutego, 1962 r.

Nadesłane nowości wydawnicze

- KOPAŃSKI (Stanisław) *Wspomnienia wojenne 1939-1946*. Str. 394. (T. LIV serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1961, cena 40/- (dol. 5,75).
- SURYNOWA-WYCZÓŁKOW-KOWSKA (Janina). *Teresa — dziecko nieudane*. Str. 311. T. XXIV Londyńskiej Biblioteki Literackiej (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1961).
- LOBODOWSKI (Józef). *Kasydy i gazele*. Poezje. Str. 112. (Wydano dzięki staraniom poety Wacława Iwaniuka i pomocy finansowej klubu „Smocza Jama” w Toronto, Kanada, Druk Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1961).
- BONIFACE (Jean). *Arts de masse et grand public*. Str. 160. (Ed. Les Éditions Ouvrières, Paris, 1961. Cena NF. 6,30).
- MANN (Mendel). *Sur la Vistule*. Roman. Traduit du yiddish par Rachel Ertel. Str. 260. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1962).
- Sprawozdanie z działalności Funduszu Pomocy Polakom za okres od 1943 do 31 marca 1961*. Str. 14. (Nakł. Funduszu Pomocy Polakom, Londyn, 1961).
- DZIEDUSZYCKI (Tadeusz). *Top revolution*. Str. 23. Powielacz. (Londyn, 1962).
- KRZYŻANOWSKI (Ludwik). *Julian Ursyn Niemcewicz and America*. Str. 70. (Ed. The Polish Institute of Arts & Sciences in America, New York, 1961).
- BROMKE (Adam). *From „Falanga” to „PAX”*. Str. 29-40. (Odbitka z Nr 39 „Survey”, December 1961, Londyn).
- LABEDZ (Leopold). *Revisionism*. Essays on the history of Marxist ideas. Pp. 404. (Ed. George Allen and Unwin, Ltd., London, 1962, cena 37/6).
- HRUCHEVSKY (M.). *Cours d'Histoire de l'Ukraine*. Pp. 244. (Ed. Première Imprimerie Ukrainienne en France, Paris, 1959).
- Hommage à un grand Européen J.H. Retinger*. Bulletin Nr 5 (1960/61) du Centre Européen de la Culture. Str. 50).
- WULF (Josef). *Lodz. Das letzte Ghetto auf polnischen Boden*. Str. 84. (Zeszyt 59 Schriftenreihe der Bundeszentrale für Heimatdienst, Bonn, 1962).
- ROOS (Hans) *Geschichte der Polnischen Nation 1916-1960*. Von der Staatsgründung im ersten Weltkrieg bis zur Gegenwart. Str. 262. Wyd. Verlag W. Kohlhammer, GMBH, Stuttgart, 1961, cena DM 4,80).

Listy do Redakcji

Hair Lown, N.J., styczeń, 1962 r.

Redakcja „Kultury”!

Donoszę uprzejmie, że nie mam zamiaru odnowić prenumeratury, a to z przyczyn następujących:

1. jedyną zaletą „Kultury” jest fakt że *jest*, *drukuje* Miłosza, Gombrowicza, Terleckiego i innych — poza tym posiada dla mnie same wady.

2. mianowicie niesamowitą arogancję i pewność siebie połączoną z zaściankowatością, kapliczkowatością i kompletnym brakiem wyobraźni,

3. predykcję do Wschodu (Rosji, Ukrainy, Kresów itd.) co jest dla mnie wadą elementarną,

4. wreszcie c'est le ton qui fait la chanson — przebijająca się nuta taniego politykierstwa, pustych polemik, małość, małość, małość... najgorsza wada i ślepotą,

z poważaniem

Marian AXEL M.D.



Londyn, grudzień 1961

Są pewne wspomnienia, które budzą dziwny niepokój, szczególnie te, które się wyłaniają z zestawienia dwóch rzeczywistości: swojej ojczyznianej i cudzej. Ilekroć np. mijam drewniane, zwyczajne, proste, zwykłe stare niemalowane płoty, otaczające skwery nawet w centrum Londynu, staje w mej pamięci jak żywy obraz dalekiego, w pięknej wołyńskiej wiosce postawionego lat temu wiele, płotu.

Było to jakoś na dwa lub trzy lata przed drugą wojną światową. Zmieniając szybkością kolebał się autobus na drodze z Krzemieńca do Wiśniowca, to przyspieszając to zwalniając bieg zależnie od równiejszej czy wyboistszej nawierzchni drogi. Droga się wiała terenem falistym pośród rozkołysanych dojrzewających zbóż. Wionęły zapachy z pól, jakby z jakiej olbrzymiej kazielnicy. Skręciliśmy na drogę wiśniowiecką, mijając w dali po lewej stronie wieś Folwarki Duże i Małe. Niedługo potem ukazały się pola majątku o ciekawiej nazwie Huku-w-Haj i w sinym omgleniu zamajaczył na horyzoncie las horyniecki. Bliżej wieś Horynka tonęła w zieleni sadów i ogrodów. Zmęczony, przeładowany autobus zazgrzytał hamulcami, zadygotał i zatrzymał się na krótki postój przed wiejskim sklepikiem. Wysiadłem dla rozprostowania kości i przyjrzenia się z bliska milej wiosce. Z pobliskiej szkoły dochodził śpiew dzieci, coraz przerywany uwagami nauczycielki. Widocznie przygotowywano występ na zakończenie roku szkolnego. Z pra-

wej strony drogi pykał rytmicznie motor młyński. Naprzeciwno jakiś wieśniak mozolił się nad malowaniem płotu. Zauważyłem, że kładł farbę na już pomalowane może zaledwie kilka dni temu sztachety. Kolory poprzedni i obecny nieco się różniły. Zaciekawiony niespotykanym na wsi widokiem takiego starannego i kosztownego procederu, podszedłem do spotałego wieśniaka i zapytałem o przyczynę takiej troski o wygląd ogrodzenia. — „Ano, proszu pana”, zaczął mnie objaśniać łamaną polszczyzną — „kazały pan posterunkowy, szo taki je przykaz z samoj Warszawy, szczooby płoty koło drogi były nowe i fajno pomalowane. I to do niedzieli”. — „A czemu drugi raz malujecie” — zapytałem. — „A bo proszu pana pan posterunkowy skazały, szo pierwa kraska nie chformalna i przykazały drugi raz malowały”. — „A ta to będzie dobra”? — „Ne znaju pane”, odrzekł chłopina. — Żał mi się zrobiło chłopu, jako że zwłaszcza na przednowku ciężko było o grosz na wsi a przecież taki płot okrajał mu skromniutki budżet o kilkanaście złotych. Ale nie było rady na zarządzenie „z samej Warszawy”. Polska miała mieć wygląd pański, miała imponować zagranicy — i zapewne zarządzenia takie itp. miały upamiętnić imię twórcy pomysłu. — To wydarzenie wyglądało jednak sielankowo w porównaniu z widokiem, jakiego byłem naocznym świadkiem w kilka dni później w samym powiatowym mieście. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Szli strażacy jak burza i łamali żelaznymi łomami drewniane płoty i niektóre handlarskie czy drobno-rzemieślnicze drewniane budki. Okazało się, że ludzie ci działali również na podstawie tego samego zarządzenia z Warszawy — w imię „radosnej twórczości”.

Józef BAYBUZ



Londyn, 12 stycznia 1962.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W poczytnym piśmie Sz. Panów w numerze 4/162 ukazał się artykuł p. Franciszka Kalinowskiego, który na stronie 104 zawiera następującej treści ustęp:

„Znacznie później już jeden z członków organizacji miał wysokie stanowisko w sztabie, a gdy wyjechał za morze okazało się, że sprzeniewierzył pieniądze służbowe; mam w tej sprawie odpis pisma gen. Karpińskiego, który był już wtedy dowódcą Korpusu Przysposobienia (P.R.C.). Piszę o tym dlatego tylko, że fakt ten dowodzi jak trudno jest dobierać ludzi do konspiracji i jak srodcie można się zawieść. Warto też dodać, że przestano nazywać rzeczy po imieniu i pan ów, pomimo złodziejstwa, jest czynnym członkiem koła Stowarzyszenia Lotników Polskich, którego prezesem był wkrótce potem gen. Karpiński”.

Ustęp ten nie tylko zawiera stwierdzenia niezgodne z prawdą, bo „pan ów”, wymieniony przez autora artykułu nie jest członkiem Stowarzyszenia — przestał nim być od chwili wyjazdu do Argentyny, tj. od grudnia 1948 roku — ale ponadto jest nieusprawiedliwionym atakiem na Stowarzyszenie Lotników Polskich.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należnego szacunku.

A.A. DĄBROWA

Przewodniczący Komitetu Wykonawczego
Stowarzyszenia Lotników Polskich

Londyn, 14 luty 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałem w „Kulturze” opowiadania: sowieckiego autora ukrywającego się pod pseudonimem Arżak, „Mówi Moskwa” i Tadeusza Nowakowskiego „Powrót taty”. Zestawione i porównane, opowiadania te wpędziły mnie w zadumę. Rosjanin bierze temat lokalny, realia są zaczerpnięte z właściwości państwa w jakim mieszka, ale służy mu to do celów uniwersalnych, gdyż treścią jego realistyczno-fantastycznej opowieści jest osłupienie wobec wagi tego genialnego odkrycia jakim było Dziesięcioro Przykazań. Polak posługuje się realiami międzynarodowymi, ale zwięzają mu się one do jedynej rzeczy jaka go na świecie obchodzi, tj. Polski. Nowakowski zdaje się cierpieć na nieuleczalną chorobę.

Można jednak wątpić, czy przedstawione u Nowakowskiego kłopoty są właściwe większości Polaków na emigracji. Być może są to kłopoty już tylko oficjalne, używane od święta, a więc martwe. Prawdopodobnie mieszka za granicą mnóstwo Polaków, którzy są najzupełniej normalnymi ludźmi, to jest pracują zawodowo, wychowują dzieci, o Polsce myślą bez hysterii, czytają „Kulturę”, „Nową Kulturę”, „Tygodnik Powszechny”, „Przegląd Kulturalny”, omijają starannie londyńskie „Wiadomości”, bo kostnice nie są zdrowym przybytkiem dla żywych, i mają wiele problemów, z których fakt urodzenia się nad Wisłą czy Wartą jest najmniejszym. Niektóre z tych problemów muszą rozwiązywać bez niczyjej pomocy, bo żadne pisma ani książki nie dostarczają wskazówki.

Nowakowski zajmuje się kłopotem wychowania dzieci. Oficjalnie jest to smutek wynarodowienia. Nieoficjalnie, w praktyce, dokucza ten smutek tylko chyba nielicznym. Podobno, jeżeli wierzyć zasadom pedagogiki, celem jej jest wychować dziecko na człowieka, a nie wszyscy ludzie na świecie są Polakami. Jakkolwiek przypisywanie sobie normalności może być niekiedy uzurpacją, podejrzewam, że w moim stosunku do tych spraw nie jestem odosobniony. A więc przykładowo. Mój syn bardzo dobrze mówi po polsku, ale urodził się poza Polską, nigdy nad Wisłą nie był. Do szkoły chodzi w jednym z krajów anglosaskich. W szkole, w zakresie tego przedmiotu, który u nas nazywał się „polskim”, przerabia w tym roku tragedie Ajschylosa i porównawczo, tragedie Seneki, oraz „Makbeta”, „Ryszarda II” i „Ryszarda III” Szekspira. Czy to znaczy, że powinienem ubolewać i wpajać mu na gwałt miłość do Kochanowskiego, do Mickiewicza albo zmuszać go do czytania „Trylogii”, która wydaje mu się dziecinną brednią, zresztą językowo za trudną, obfitującą w słowa, wyrażenia i pojęcia co najmniej egzotyczne? Albo czy powinienem spędzać z nim wieczory opowiadając o czynach zbrojnych starych Polaków, jeżeli takie słowa jak Warszawa, Wawel, Mazowsze nie kojarzą się w jego wyobraźni absolutnie z niczym? Przypuszczam, że bardzo znaczny procent ludzi w tej sytuacji wybiera instynktownie rozwiązanie pośrednie, unikając skrajności w jakie popadają z jednej strony ci co w domu nie mówią po polsku i chcą żeby ich dzieci były Anglikami, Amerykanami, Francuzami „czystymi”, z drugiej ci co zapisują swoje latorośle na komplety krakowiaka, z tym zapewne skutkiem, że polskość pozostanie dla pupilów na zawsze synonimem podrzędności i dziedziczenia. Należy sobie uświadomić, że rośnie na emigracji młode pokolenie, które znajomość polskiego wynosi z domu, co jest cenne, bo każda mieszanina kulturalna, wzbogacająca, jest cenna, ale zarazem pozbawione i przywiązań i urazów właściwych rodziom. Patriotyzmu nie da się wtłoczyć per procuram, kieruje się on ku miejscom dzieciństwa, pierwszych doświadczeń, i to jest naturalne.

Tak więc założenia u Nowakowskiego są, przynajmniej dla wielu, fikcyjne, ciągnięte za włosy, jeżeli już pominąć technikę jego pisanie,

denerwującą czytelnika, „biegunkową”, co być może pozostaje w jakimś związku ze słabością przemyśleń, przez co został zmarnowany jedyny poważny motyw w opowiadaniu: historia człowieka, który przeżył trzęsienie ziemi w Messynie.

Niemniej Nowakowski poruszył zagadnienie dość istotne, które zasługiwałoby na obszerniejsze omówienie, ale bez fałszywego wstydu, bez tego żalu, że nie wszystkim istotom ludzkim dane jest trzęsienie ziemi w Messynie przechowywać w skarbcu swoich pamiątek. Kto wie nawet czy nie przydałaby się tutaj jakaś ankieta.

Wyrazy szacunku łączę.

Bogusław GRODEK

◆
Londyn, 28 stycznia 1962 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule swym „Lato w Kościelnikach” („Kultura” nr 1/171-2/172, 1962 r.) p. W. Wohnout wspomina, że p. Stefania Sempołowska była w ramach umowy PCK z sowieckim Czerwonym Krzyżem opiekunką nad więźniami-komunistami w Polsce. Nie podaje jednak, że stało się to z woli samego Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Wiem o tym z trzech źródeł: od p. Ireny Kosmowskiej, p. Heleny Radlińskiej i od samej p. Stefanii Sempołowskiej, która potwierdziła mi to już po wypadkach majowych i wtedy gdy już te trzy panie były w opozycji do Marszałka.

A stało się to w ten sposób. Pewien pan, nazwijmy go M. (na odmianę od różnych X-ów) nadzorował z ramienia Oddziału II wszystkie obozy jeńców bolszewickich w pierwszych latach niepodległości państwa. Pan ten nakazał, by jeńcy bolszewicy odmawiali wieczorną i poranną modlitwę a przed wieczorną w dodatku odśpiewywali pieśń „Boże carja chrań”. Dowiedziała się o tym p. Stefania Sempołowska i udała się z tą sprawą do Naczelnika Państwa. Piłsudski, po wysłuchaniu Sempołowskiej oburzył się na to, i zapowiedział jej, że to się zmieni, gdyż jest to niedopuszczalne. Prosił ją też, by donosiła mu o nieodpowiednim zachowywaniu się władz: obozowych wobec jeńców i więziennych wobec więźniów-komunistów. Między innymi poinformowała też p. Sempołowska Piłsudskiego o tym, że szereg więźniów-komunistów, w czasie marszu wojsk sowieckich w 1920 r. na Warszawę chciałyby prosić o zwolnienie z więzienia i o pozwolenie im wstąpienia do armii, gdyż jak się wyrażali, chcą rewolucji i zmiany stosunków społecznych dokonać przy pomocy „ludu polskiego, a nie przy pomocy bagnetów moskiewskich”. Czy wypuszczono wtedy komunistów z więzień, nie wiem.

Po zawarciu pokoju ryskiego Piłsudski prosił p. Stefanię Sempołowską, by nadal opiekowała się więźniami-komunistami. To życzenie Piłsudskiego spowodowało, że ujęto tę opiekę w formie umowy między PCK a sowieckim Czerwonym Krzyżem. Lenin, z wdzięczności za takie stanowisko Piłsudskiego, prosił swą żonę, Krupską, by ona zajęła się opieką nad więźniami-Polakami w ZSSR.

Gdyby ktoś przypadkiem znowu, jak już to raz było, domagał się ode mnie świadków, niestety nie mogę ich przedstawić, gdyż wymienione

trzy panie już niestety nie żyją, a kto chce w to wierzyć, niech wierzy, kto nie — to nie.

Raczy W.Pan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

J. HOFFMAN



Paryż, dnia 24 stycznia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule moim pt.: „Europa” („Kultura”, nr 1/171-2/172 ze stycznia rb.) znalazłem kilka nieścisłości formalnych, które uważam za swój obowiązek sprostować, pomimo, że nie zmieniają one przewodu myślowego.

Str. 168, pierwsze 3 zdania ustępu drugiego:

— traktat rzymski podpisany został 27.3.1957, wszedł w życie 1.1.1958, pierwsza zniżka cel wewnętrznych nastąpiła 1.1. 1959.

— traktat o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (C.E.C.A.) podpisany został 18.4.1951, wszedł w życie 9.3.1953, pierwszym rokiem sprawozdawczym był 1954.

Str. 174, ustęp środkowy:

— cyfry, oznaczające wysokość dochodu narodowego Europy Sześciu i W. Brytanii z jednej strony, a Stanów Zjednoczonych z drugiej strony należy czytać w miliardach dolarów, a nie w milionach.

Łączę wyrazy szczerego szacunku.

AL. KAWAŁKOWSKI



Toledo Ohio — U.S.A. styczeń 1962

Szanowny Panie Redaktorze!

W grudniowym wydaniu „Kultury” ukazał się artykuł p. Mariana Romeyki „Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczypospolitej”, w którym autor porusza temat osobiście mnie obchodzący, a mianowicie rolę, charakter akcji P.O.W. w okresie okupacji oraz w pierwszych tygodniach niepodległości Polski.

Nie pragnę bynajmniej brać udziału w polemice, jaka wywiązała się pomiędzy pp. Romeyko i Florkiem, ale jedynie naświetlić moment dotyczący Płocka oraz stosunku P.O.W. do Milicji Ludowej.

Do P.O.W. wstąpiłem w Okręgu ciechanowskim (Gliniojeck) i po przyjeździe do Płocka zameldowałem się u komendanta plutonu szkolnego Brzozowskiego w gimnazjum im. Władysława Jagiełły. Dowódcą plutonu był Gumowski. Odbywaliśmy częste zbiórki, ranne ćwiczenia na placu szkolnym i nawet nocne w pobliżu miasta.

Władze niemieckie śledziły nas pilnie i przeprowadzały nocne rewizje. Aresztowania były rzadkie. Większość starszych uczniów domyśliła się istnienia tajnej organizacji wojskowej i wyrażała gotowość udziału w akcji, ale członków rekrutowaliśmy ostrożnie i po dłuższej obserwacji, by element niepewny nie dostał się do naszych szeregów. O działalności P.O.W. wiedziało również starsze pokolenie i te okoliczności stwarzały atmosferę czujności i wyczekiwania na jakiś bliżej nieokreślony czyn zbrojny.

W tym okresie przedlistopadowym nie wiedzieliśmy o żadnej innej akcji o charakterze bojowym na terenie Płocka, poza nieliczną grupką P. P. S., z którą koordynowaliśmy ważniejsze posunięcia (likwidowanie szpicłów, projekt ataku na bank itp.). W połowie października rozpoczęła się powolna rekrutacja do Wehrmachtu, który jednak popularnością nie cieszył się.

W dniu 10 listopada otrzymaliśmy rozkaz skupienia się w dwóch punktach; sekcja pierwsza, do której należałem, zebrała się w mieszkaniu Stefana Lisickiego na ulicy Dominikańskiej, tuż koło urzędu Starostwa, druga zebrała się w mieszkaniu pp. Bielskich (o ile pamięć nie myli) na Starym Rynku. Tegoż dnia około północy wyszliśmy na ulice z zadaniem rozbrajania Niemców i zajmowania gmachów publicznych oraz warty głównej. Było nas wszystkiego około 30 i przez pierwsze trzy dni wykonywaliśmy zadanie sami. Potem nagle pojawiła się Milicja Ludowa w czarnych mundurach z czerwonymi opaskami na rękawach. W ciągu kilku dni siła jej wzrosła do ok. 200 ludzi. Do konfliktu między nami nie doszło, ale wartownicy nasi byli ostrzeżeni o rzekomych planach Milicji Ludowej rozbrojenia nas. Rozkaz był: w razie ataku strzelać.

Czy Milicja Ludowa brała udział w rozbrajaniu Niemców, trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że zarówno warta główna, uparcie broniona, jak Starostwo, poczta, magistrat i magazyny były w rękach P.O.W. Wojsko Polskie w Płocku rosło w siłę i w ciągu kilku tygodni liczyło kilka batalionów. Szwadron 4 p. ułanów organizował się powoli z ochotników, przeważnie synów ziemian.

Pragnę dodać, że w szeregach P.O.W. nie omawialiśmy spraw politycznych, nie staraliśmy się wysuwać na czoło ani po 11 listopada pretendować do tytułu kadry Wojska Polskiego. Po prostu spełnialiśmy obowiązek wobec Polski. Świadomość służby dla Sprawy obudziły w nas walki Legionów oraz pierwsza po powstaniu styczniowym akcja zbrojna bojówki P.P.S.

Z powodu wieku musiałem wracać na ławę szkolną i czekać na dalszy ciąg mojej służby do lipca 1920 roku, ale z kolegami z P.O.W. utrzymywałem stale żywy kontakt. Muszę podkreślić fakt, że radość z wolności oraz zwycięstw Polskich Sił Zbrojnych była w nas zbyt wielka, by zastanawiać się nad tym, jakie tworzyły je kadry.

Niewątpliwie wśród byłych Legionistów i Peowiaków było sporo „inkasentów”, którzy swą wątpliwą wielkość podpierali legendami i bohaterstwem. Wątpię czy było ich wielu w okresie tworzenia się Wojska Polskiego, a szukanie skaz na jednym z najwznioślejszych momentów naszej historii uważam za bezcelowe i w dużej mierze przykre.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

J. S. LEŚNIEWICZ

Paryż, styczeń 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zawsze świetnie i z wielką kulturą pisanych felietonach, Londyńczyk w 12/170 numerze „Kultury” znów poruszył sprawę Pax'u. Pisze między innymi „Dopiero na tle XXII Zjazdu widzi się, że październik skończył się w Polsce kłeską. Negatywną rolę w tym procesie odegrał nie tylko PAX ale (boleśnie to powiedzieć) „Tygodnik Powszechny” i „Znak”.

Jestem emigrantem dopiero rok. Zauważyłem, że dawniejsi emigranci nie orientują się tak dobrze w stosunkach Polski Ludowej, jakby się zdawało. Cóż z tego że czytają gazety i książki polskie. Literaci i dziennikarze przestali być wyrazicielami tego co czuje i myśli społeczeństwo. Politykują, przekręcają fakty, upraszczają, kłamią. „Wszystkiemu co w Polsce złego winien PAX” można by myśleć, czytając to co najczęściej się pisze o PAX'ie. Mnie się to wszystko wydaje grubym uproszczeniem. Nic nie jest proste. Oczywiście jak najdalej jestem od tego, żeby znać podszewkę sprawy PAX'u, ale chciałbym zwrócić uwagę na pewne fakty.

„Świetlicą w więzieniu” nazywaliśmy PAX za czasów Stalina. Już wtedy podczas gdy gdzie indziej czytelnik był skazany na bezmyślny socrealizm, Instytut Wydawniczy PAX wydawał wspaniałe książki jak na przykład Greene'a, Marshalla, Bernanosa i Mauriaca. PAX zawsze zatrudniał wielu pracowników, nikogo z nich nie zmuszając do zapisania się na członka Stowarzyszenia. Za Stalina PAX był jedyną instytucją nie zwracającą uwagi na pochodzenie zatrudnionych, nie grały roli w tej instytucji przesady pochodzeniowe.

Nie zawsze społeczeństwo polskie odnosiło się do PAX'u z niechęcią. W PAX'ie za stalinizmu znajdowali pracę uwolnieni polityczni więźniowie, nie mogący znaleźć pracy gdzie indziej. Księża, ci z prawdziwego powołania, z których każdy dłużej czy krócej przesiedział się w więzieniu, pozwalali wiernym drukować w PAX'ie i sami w Paxowskich sklepach nabywali mszały i Pismo Święte, mimo konfliktu jaki zaistniał między PAX'em a Piusem XII z powodu książki „Zagadnienia istotne”.

„Londyńczyk” pisze, że PAX odegrał negatywną rolę w procesie destalinizacji. Słusznie. Właśnie w momencie najbardziej odwilżowym pojawił się artykuł Bolesława Piaseckiego pt. „Instynkt państwowy”, ale parę tygodni potem paxowskie „Kierunki” miały odwagę wydrukować artykuł Mackiewicza zakończony zdaniem (cytuję z pamięci) „Za nonsens uważam angażowanie się Polski w socjalizm”.

Słusznie wreszcie Londyńczyk zauważył, że negatywną rolę w procesie destalinizacji odgrywają „Tygodnik Powszechny” i „Znak”.

Niezrozumiale jest czemu ci, jak się sami nazywają katolicy postępowi, obarczają błotem PAX, głosząc ten sam kompromisowy program. Czemuż pisarze jak Zofia Kossak, Mackiewicz, Żukrowski drukując swoje książki w Instytucie Wydawniczym PAX nie mogą drukować równocześnie w „Kierunkach” i „Tygodniku Powszechnym”, na co komu te getta? W imię czego krzywdzić i wskazywać na paxowskie getto poetów pracujących w PAX'ie, wyróżniających się uczciwą kulturą.

Skoro już mnie wzięło na korespondencję, chcę poruszyć i drugą sprawę. W tym samym numerze „Kultury” — 12/170 — przeczytałem z zainteresowaniem reportaży „Zieloność i pajęczyna”, świetnie napisany, żywym barwnym stylem. Ale równocześnie jest w tym reportażu coś bardzo charakterystycznego dla wrażenia jakie wynoszą z Polski ludzie przebywający tam krótko.

Ma się wrażenie, że autorka reportażu istniała cały czas pomiędzy Łazienkowskim Parkiem, a Starym Miastem, na tej wyelegantowanej trasie. Łazienki, Grand Hotel na Kruczej, a także kosztujący wiele milionów Dom Chłopa na Placu Wareckim, to jeszcze nie cała Polska.

O 100 metrów za Pałacem Kultury zaczyna się „dziki zachód”, niesamowita Żelazna, Wronia, Łucka, Prosta, Krochmalna. Bary pełne pijaków jak z książki Tyrmanda. Autobusem Nr 13 można pojechać na Pragę. Tam parę kroków od dworca Wschodniego znajdują się Brzeska, Markowska i inne zakazane ulice. Suteryny, baraki, gdzie bez światła elektrycznego i wody bieżącej, po pięciorku w kuchni razem z gospodynią mieszkają sublokatorzy płacący po 200 złotych miesięcznie każdy. Inne polecenia godne dzielnice, dokąd również dochodzą tramwaje i autobusy, to Bródno i Annopol, słynny ze swych baraków.

Polska to przede wszystkim kraina kontrastów. Byłoby ciekawie, żeby odważnie na jej ciemne ścieżki wkroczył dziennikarz z wolnego świata, władający tak świetnie piórem jak autorka artykułu „Zieloność i pajęczyna” i niepotrzebujący myśleć o cenzurze.

Z prawdziwym szacunkiem.

Marian OŚMIAŁOWSKI



Londyn, w styczniu 1962 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Do zamierzonej pracy publicystyczno-literackiej poszukuję źródeł (w najszerszym tego słowa znaczeniu) dotyczących czasopism i innych wydawnictw, tajnych i jawnych, które podczas ostatniej wojny ukazywały się w języku polskim w Wilnie i na ziemiach północno-wschodnich pod rządami litewskimi i niemieckimi. Będę bardzo zobowiązany Czytelnikom „Kultury” za udostępnienie mi takich źródeł i wszelkie o nich informacje. Proszę o łaskawe kierowanie ich: M. Sambor, c/o „Kultura”.

Dziękując serdecznie za umieszczenie tej prośby do Czytelników, łączę najlepsze wyrazy.

Michał SAMBOR



Evanston Ill., 16 stycznia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem czytam zawsze artykuły Juliusza Mieroszewskiego, zawierające ciekawe oceny i opinie, bliższe a czasem dalsze obiektywnej prawdy. Osobiście nic mi to nie przeszkadza, ponieważ zapładniają one myślenie i pomagają trawieniu różnych problemów.

Jednakowoż druga część art. „My i Oni” zupełnie nie udała się p. Mieroszewskiemu, dlatego że do poruszonych przez niego tematów nie można podchodzić metodą spekulatywną, w której Mieroszewski celuje, ale na podstawie innych kryteriów oraz na podstawie dokładnej znajomości tzw. Polonii i to z pierwszej ręki, co jest możliwe tylko na skutek długoletniej pracy z Poloniami.

Główną wadą wszystkich prawie naszych żurnalistów, piszących o Poloniach, emigracji, Polakach zagranicą, ich sposobie myślenia, zapatrzeniach, nastawieniach i wizjach jest to, że pisarze ci patrzą przez szybę na obiekt swego zainteresowania i że nigdy nie przyłożyli ręki do tzw. pracy polonijnej. Może i należą do jakiejś organizacji polskiej zagranicą, którą wybrali z jakiegoś im znanego powodu, ale organizacje polskie i polonijne są tak liczne, że trudno byłoby je zliczyć i tak różnorodne, że nie można ich uogólniać.

Wypunktowane przez Mieroszewskiego wnioski, są jego subiektywnymi wnioskami, wypływającymi — jak sam pisze — z jego dotychczasowych rozważań. To co p. M. nazywa „kryzysem emigracyjnym” trwa już lat 17, a zatem nie jest już kryzysem, ale stanem faktycznym. Istnienie koncepcji legalistycznej i jej ośrodka nie ma nic wspólnego z istnieniem lub nieistnieniem Polonii zagranicznych, ale z polityczną sytuacją Polski.

„Kryzys emigracyjny” jest, zdaniem p. M., konsekwencją braku „trzeciego programu”, który skupiłby Polaków zagranicznych w realistycznej, bezpretensjonalnej organizacji i przyciągnąłby młodzież. Bardzo to ładnie napisane, ale treści żadnej. Zdaje się, wedle p. M., tym „trzecim programem” byłby np. Kongres Polonii W. Brytanii, połączony z podobnymi, już istniejącymi Kongresami Polonii w Stanach Zjedn., Kanadzie itp.

Tak p. M. się zdaje, bo istniejące obecnie Kongresy Polonii oglądał tylko przez szybę i nie jest zdolny przewidzieć co by było, gdyby kierownictwo polityczne, ideologiczne i inne — iczne złożyć w ręce ludzi, do tego zupełnie niepowołanych.

Przed wojną w Polsce panowała metoda taka sama, jaka obowiązuje obecnie w Stanach Zjednoczonych: *organize, deputize and than supervise*. Naturalnie, jest to zasada na wskroś biurokratyczna. W artykule Juliusza Mieroszewskiego przebija się ta sama metoda, którą nazwałbym *piórokracją*.

Łączę wyrazy szacunku.

Juliusz SZYGOWSKI



Sydney, 23.12. 1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z wydaniem setnego numeru pisma, którego byłem kiedyś naczelnym redaktorem, a także z odkryciem irytującego artykułiku w starym numerze tego pisma proszę uprzejmie o zamieszczenie niniejszego listu.

„Dopiero kilka dni temu otrzymałem setny i wspaniały numer „Współczesności” i tego samego dnia, zupełnie przypadkowo wpadł mi w ręce czterdziesty ósmy numer tego pisma.

W swoim czasie, gdy napisałem wspomnienia o grupie literackiej „Współczesność” i jej piśmie, drukowane w „Kulturze”, piękna koperta z wycinkami prasowymi zaginęła, gdzieś na swej drodze do mnie.

Mogłem więc jedynie odpowiedzieć na jadowite ataki zawarte w bratnich pismach „Polityce” i „Kierunkach”. Wiedziałem także, że moi koledzy coś napisali we „Współczesności”. Oczywiście domyślałem się, że tak będzie, ale sądziłem, że względy koleżeństwa i zwykłej przyzwoitości stępują nieco ostro pióra.

Otóż nie, na odwrót artykułik był bardzo paskudny. Typowe bicie poniżej pasa. Nałgać można, i zawsze ktoś temu uwierzy. Żeby nadać tym wymysłom odcień autentyczności nie omieszkano wspomnieć o moim pobycie w Indiach i na Filipinach, lecz nagle i niespodziewanie umieszczono mnie w Paryżu, dokąd niestety nie miałem możliwości dotrzeć. Napisano także, że żyję tam z resztek funduszków otrzymanych na powrót (co jest typowym łgarstwem, gdyż nigdy tych pieniędzy nie brałem) i spytano się retorycznie z czego dalej będę się utrzymywał, gdy użyteczność mojej osoby skończy się dla mych emigrancko-imperialistycznych mocodawców.

Sądzę, że po tych paru latach mogę odpowiedzieć. Żyję z ciężkiej i przeważnie fizycznej pracy. Absolutnie się tego nie wstydzę i mam nadzieję, że moje doświadczenia przydadzą mi się w pracy pisarskiej. Nie jestem ani zachwycony ani rozczarowany, decydując się na emigrację wiedziałem, że materialnie miałbym się znacznie lepiej w Polsce.

Następnie zarzucono mi w tym samym artykułiku lawirantwo polityczne i wulgaryzację literatury. Powtarzam, że jeśli byłem zmuszony lawirować to jedynie dlatego, że innej drogi nie było. Okoliczności zmuszały mnie do wielu dętych oświadczeń, by ratować pismo i jego ideę. Nie należy zapominać, że to co było czasem na pierwszej stronie, nie pokrywało się z resztą zawartości. A jaki nacisk na mnie wywierano, wiedzą o tym najlepiej niektóre osoby w Polsce.

Wiele jeszcze było podobnych zarzutów do, których nie warto wracać. Pisali dalej koledzy, że uważałem, że skoro odejdę pismo upadnie, a oni dopiero poczuli się wolni i twórczy, gdy przejęło ich państwo.

Otóż nie! Wcale tak nie uważałem, żadne pismo nie upadnie, które ma zapewnioną subwencję państwową, choćby miało 99% zwrotów. Uważam natomiast, że zaginęła idea „Współczesności” jako pisma, które chciało wnieść coś nowego do literatury. Wstrząsnąć niejedną czcigodną a zapróchniałą osobistością, słowem być niezależnym, choćby tylko w literaturze.

Cóż, upłynęło tych parę lat. „Współczesność” z prywatnego mieszkania przeniosła się do oficjalnej redakcji. Od użerania się o gotówkę na druk i płacenia honorariów wedle oceny komu bardziej się buty rozlatują, oraz sprzedaży numerów przez redakcję na rogu Alej i Marszałkowskiej — dorobiła się stałych i okazałych finansów.

Wydaje się wspaniały wielostronicowy numer setny. To co było kiedyś marzeniem grupki młodych pisarzy i poetów, ma oficjalną sankcję. Któż jednak z nich pozostał?

Patrzę się na stopkę redakcyjną. Sprawdza się to co pisałem trzy lata temu. Ze starego zespołu, z ludzi, którzy stworzyli pismo, nadali mu treść i charakter, ocalały tylko dwie osoby. W dodatku na technicznych stanowiskach, na których nie mają wpływu na linię pisma.

„Współczesność” istnieje. Prawdopodobnie będzie istnieć, gdyż potrzeba takiego pisma jest oczywista, lecz stała się po prostu uproszczoną edycją „Nowej Kultury” dla początkujących. Jest grzecznie przyzłizana, nie straszy błędami korektorskimi, pisownią nazwisk autorów z małej litery i gwałtownymi polemikami, ale jest także zwyczajnie i po prostu nudna. A to jest grzech śmiertelny dla każdego pisma.

Tak więc moje rozważania niestety sprawdziły się.

Leszek SZYMAŃSKI

Londyn, 30 listopada 1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Lektura artykułu Władysława Mazurkiewicza „Ameryka Łacińska” (Kultura, nry 10 i 11) musiała wielu czytelnikom uzmysłowić trudności z jakimi zmuszony jest borykać się Polak piszący na tematy hiszpańskie i hispanoamerykańskie przy nieistniejącej względnie płynnej terminologii. Już sama nazwa „Ameryka Łacińska”, aczkolwiek zadowolniona w naszym języku, jest o tyle nieporęczna, że nie daje przymiotnika, zmuszając autora artykułu do używania hybrydy „latino-amerykański” oraz „lacin-amerykańscy”. Czy nie zasługiwałoby na uwzględnienie słowo „Ibero-ameryka” i „iberoamerykański”? W ten sposób podkreśliłoby się związek Ameryki Południowej i Środkowej z Półwyspem Iberyjskim a więc Hiszpanią i Portugalią. Określenie „Łacińska” popularnie przyjęte jest mało precyzyjne, gdyż na siłę można by podciągnąć pod nie... Kanadę. Również z nazwiskami hiszpańskimi jest kłopot nielada i czas uregulować ich pisownię i odmianę. W wymienionym artykule mamy na przykład „anticastristów” obok „antycastrowskich”. Z wyjątkiem niektórych (Batistę, z Peronem, rząd Arbenzą) nazwiska nie odmieniają się: „popierają też Castro”; „między studentami pro i anty Castro”; „z dyktatorem Perez Jimenez”; „ruch rewolucyjny Zapata”; „przez przywódcę robotników Vincente Toledano” itd. Ta nicodmienność z kolei paraliżuje nazwiska niehiszpańskie: „poprawka Platt”. Obok odmienionych imion, które dają się spolszczyć: „Henryka Martinez Moreno”, „Jerzy Castaneda”, „przez Franciszka Madero”, znajdziemy „dla Fidel Castro”; „przez Fidel Castro”. „Prezydent Costa Rici” też sygnalizuje potrzebę rewizji terminów.

Śadzę, że w interesie zarówno piszących jak i czytelników wskazane jest ujednolicenie zasad odmiany i pisowni iberyjskich imion własnych i stworzenie terminów brakujących lub nieścisłych. Przy rosnącym zainteresowaniu świata Ameryką Południową jest to problem pilny. Do rozwiązania go przyczyni się współpraca piszących i redaktorów.

Z poważaniem.

Florian ŚMIEJA



Waszyngton, D.C.

Szanowny Panie Redaktorze!

W sprawie art. M. Romeyki w nr. 12/170 „Kultury”, odnośnie ustępu dotyczącego organizowania Polskich Sił Zbrojnych w Rosji w czasie I wojny światowej, chciałbym sprostować względnie uzupełnić:

Ignacy Matuszewski nie był zawodowym oficerem armii rosyjskiej.

Jego „kontakty z emisariuszami Piłsudskiego” nie są tak niejasne, jak się wydaje p. Romeyce.

Matuszewski, kiedy wojna wybuchła, rozważał możliwość wstąpienia do legionów, ale ją odrzucił ze względu na swoje antyniemieckie nastawienie.

Postać Piłsudskiego fascynowała go i dlatego przeforsował go na honorowego prezesa Zjazdu Wojskowych Polaków.

W czasie Zjazdu nie wiadano w Rosji o zmianie nastawienia Piłsudskiego. Inż. Skąpski widział się w Sztokholmie z przedstawicielami z kraju i został nastawiony „aktywistycznie” tzn. proniemiecko. Te anachronistyczne instrukcje, jakie przywiózł do Rosji były zupełnie nie do przełknięcia w chwili, kiedy upadek Niemiec zarysowywał się dosyć wyraźnie. Toteż b. słaba i nierozbudowana organizacja P.O.W. miała związane ręce i nie mogła się rozwijać. I Matuszewski do tej organizacji nie należał. Starał się pomiędzy aktywizmem proniemieckim i prorosyjskim zająć trzecie miejsce, co, jak wiadomo, nie popłaca. Holdował, wbrew aktywistom proniemieckim, myśli o wydzielaniu Polaków z wojska rosyjskiego i wbrew aktywistom prorosyjskim o trzymaniu ich z dala od frontu bojowego. Nawet upierał się przy terminologii „Polskie Siły Zbrojne”, nie zaś „Armia Polska w Rosji”, co jakkolwiek jest sporem o mało znaczącą formułkę, było wówczas przedmiotem wielkich zadrażeń.

Byłem wówczas przeciwnikiem koncepcji Matuszewskiego i jestem i obecnie zdania, że w przeddzień Traktatu Wersalskiego było pożądane czynne zmanifestowanie pozycji proaliantkiej, co zresztą, wobec załamania się frontu rosyjskiego nie groziło wielkim rozlewem krwi.

Przeciwstawiała się tej pasywistycznej koncepcji Matuszewskiego, tajna konspiracja wojskowa, zawiązana po Zjeździe Wojskowych Polaków pod nazwą „Związek Broni”. Była to organizacja dwustopniowa, wyższy szczebel nazywał się „Koło Rycerskie”.

Ponieważ narodowa demokracja zajmowała najbardziej antyniemieckie stanowisko, więc przy zawiązywaniu „Związku Broni” dopuszczono do współkierownictwa elementy z Rady Międzypartyjnej, powołanej do życia przez narodową demokrację. Uważano, że da się przez odpowiedni skład Komendy Naczelnej neutralizować wpływy polityczne z tamtej strony.

Komenda Naczelna składała się z trzech cywilów i z trzech wojskowych. Dwóch cywilów było członkami Rady Międzypartyjnej, ale jeden tylko z nich (Widomski) był członkiem stronnictwa. Drugi — prezes Rady Międzypartyjnej, Stanisław Wojciechowski (późniejszy Prezydent) był byłym socjalistą. Trzecim „cywilnym” członkiem był prezes Nacpółu (Naczelnego Komitetu Polskich Sił Zbrojnych), późniejszy Prezydent, Władysław Raczkiewicz. Zaliczanie go do cywilnej części komendy Naczelnej jest formalnie nie ścisłe, bo był porucznikiem powołanym do wojska i został wyreklamowany, aby objąć funkcje prezesa organizacji wojskowej. Ale praktycznie biorąc i Rada Międzyp. i Nacpół były organizacjami politycznymi i jako przedstawiciele dołów wojskowych weszli do Komendy młodzi ludzie: Henryk Bagiński (później podpułkownik, obecnie w kraju), Tadeusz Lechnicki, późniejszy minister, (który poległ we wrześniu 1939 roku, prowadząc operację pod Janowem) i piszący te słowa.

Zdawałoby się, że połączywszy Nacpół i Radę Międzypartyjną, rachując przy tym na Raczkiewicza, który został Komendantem Naczelnym będzie można uzyskać możliwość sprawnego działania.

Organizacja została rozbudowana, miała oddanych ludzi. Komendantem na Pierwszą Dywizję został por. Małagowski, który poległ w 1919. Szczegół pikantry: zaprzysiął swego dowódcę, wówczas dowodzącego Pierwszą Dywizją — gen. Żeligowskiego. Komendantem 2 Dywizji został Zdzisław Zabłocki, poległy przy przedzieraniu się dywizji na miejsce koncentracji w Bobrujsku. Komendantem na 3 dywizję został Jan Litauer, poległy przy osłanianiu dywizji przebijającej się marszem pieszym w śniegach do odległego o 400 kilometrów Bobrujska. Komendantem Pierwszego Pułku Kresowieckich Ułanów był Bronisław Romer, poległy przy przedzieraniu się do Archangielska.

Kiedy okazało się, że „część cywilna” Komendy Naczelnej traktuje raczej swój udział jako ubezpieczenie się od poczynąń dołów wojskowych,

zostało z inicjatywy trzech wojskowych członków komendy zaaranżowane rzekome rozwiązanie Związku Broni, co zostało przyjęte przez polityków z dobrą wiarą i niejakim poczuciem ulgi.

Przeorganizowany Związek Broni z komendą złożoną już tylko z trzech (Lechnicki, Wańkowicz i dokooptowany Stefan Hubicki, późniejszy Minister Opieki Społecznej) stanął przed szybko nasuwającymi się zdarzeniami. Nastąpiło „powstanie mińskie” na którego komendanta wysunięty został Matuszewski, oficer o wybitnej karcie bojowej, mający od czasów Zjazdu Wojskowych popularne wśród żołnierzy nazwisko, dotąd jednak ubezwładniony przez tragiczne nieporozumienie: nie chciał krzyżować polityki Piłsudskiego, nie wiedząc, że Piłsudski siedzi w Magdeburgu za odwrócenie, jak to słusznie pisze p. Romeyko, swojej polityki o 180 stopni.

Wypadki szybko zbliżały Matuszewskiego do nas. Znalazłem się z nim wspólnie w Bobrujsku, Hubicki pilnował spraw w Mińsku, Lechnicki pojechał do I Korpusu gen. Michaelisa na Ukrainie, by tam umocnić Związek Broni. Pozostawiony sam, czułem, że zadanie przewyższa moje możliwości. Wówczas bardzo zbliżyliśmy się z Kubą Basińskim, pepeesowcem, komendantem P.O.W. istniejącej raczej na papierze. W tych warunkach pozyskanie Matuszewskiego, człowieka niezwykle zdolnego, z którym łączyła mnie długoletnia przyjaźń, byłoby niezmierną zdobyczą.

Pierwszym wysłannikiem peowiackim był kapitan legionowy Korkozowicz, przed którym Małagowski urządził lege artis defiladę załogi swego Pociągu Pancernego. Nawiązaliśmy łączność i niebawem do mego mieszkania w koszarach zgłosił się przyjeżdżający z Polski via Ukraina Horodyński (pseudonim Tadeusza Hołówki, zamordowanego następnie przez Ukraińców). Wreszcie przyjechał i zgłosił się do mego mieszkania Kula-Lis, kapitan legionowy, przeznaczony na objęcie komendy nad POW w II Korpusie. Już to, że się zgłosił do mnie, a nie do swojej organizacji świadczyło o jej nikłym istnieniu.

Pchnąłem ordynansa po Basińskiego i Matuszewskiego. Lis-Kula jednak potraktował sprawę formalnie i pierwszą odprawę odbył tylko z Basińskim i ze mną.

Chcąc oszczędzić mojej miłości własnej, oświadczył, że proponuje połączenie Zw. Broni i P.O.W. pod „nową nazwą” — Związek Walki Czynnej. Uśmiechnąłem się tylko na to — Kula-Lis nie orientował się, że nazwa tej organizacji Piłsudczykowskiej jest mi znana jeszcze z czasów przedwojennych. Ale nie o to przecież chodziło. Wreszcie miałem skończyć partanię amatorską, w której ginęli niepotrzebnie najlepsi, wreszcie mieliśmy dowódcę z prawdziwego zdarzenia i łączność z silną organizacją POW w Polsce.

Kula-Lis, gdyby żył dłużej (poległ w 1919 pod Torczynem), byłby poszedł daleko. Krótko go znałem, ale nieraz mówiliśmy z Matuszewskim, że jeśli bywają ludzie genialni, to kto wie, czy taki człowiek nie objął nad nami dowództwa.

Kula-Lis szybko montował organizację. Matuszewski objął wywiad, ja — prasę i propagandę, Basiński został moim zastępcą. Wydawaliśmy konspiracyjne „Sumienie”, dla którego sprowadziłem maszynę drukarską z Homla. Czcionek polskich odsypał nam hojnie Bagiński, który był redaktorem jawnego pisma „Żołnierz Polski”.

A więc „kiedy Matuszewski nawiązał kontakt z emisariuszami Piłsudskiego”, i w jakich okolicznościach daje się dokładnie ustalić.

Szef P.O.W. na całą Rosję, a więc przełożony Kuli-Lisa, płk. Barthel de Weydenthal, przyjechał przed samym ultimatum niemieckim, żądającym kapitulacji (poległ osłaniając wymarsz dyw. gen. Żeligowskiego z Odessy).

Sprawa aresztowania Dowbora, poderwania Korpusu, załamania się zamachu, rozkazu dziennego gen. Dowbora, wymieniającego z nazwiska

Barthla de Wyedenthala i Kula-Lisa jak „nie Polaków, lecz łotrów działających za obce pieniądze”, wyjazd Komendy POW-Wschód (bo tak nazwa się ustaliła) z rozkazem dla mnie pozostania dla dania świadectwa prawdziwie jako tego, który był odpowiedzialny za propagandę w Korpusie, samobójstwo mego zastępcy Gielniewskiego, Sąd Polowy przed którym stanąłem, pluton egzekucyjny, plan odbicia mnie przez POW, czego musiałem zabronić itd — wszystko to już nie wiąże się z artykułem p. Romeyki, było zaś w swoim czasie opisane.

A co do artykułu — nie są dla mnie jasne jego jakieś nieokreślone rozważania na temat czy postępowanie nasze nie było szkodliwe. Sformułowania p. Romeyki nie są dla mnie na tyle jasne, żebym mógł z nimi polemizować.

Patrząc wstecz — wydaje mi się, że ten mały wycinek historii nie ma w sobie nic niejasnego.

Zapomniałem dodać, że Korpus odwiedził wówczas z ramienia Komendy Naczelnej POW Bogusław Miedziński, którego pierwszy spotkałem w Żłobinie. Bogusław Miedziński na pewno lepiej i dokładniej zna fakty i byłoby pożądane, aby je uzupełnił i ewentualnie sprostował, jeśli w czym mnie pamięć zawiodła.

Melchior WANKOWICZ



Sao Paulo, 31 stycznia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan M. Romeyko, korzystając z przywileju uznanego i pamiętliwego referenta przeszłości, zamieszcza w grudniowym tomie „Kultury”, pomiędzy innymi, również wątek, dotykający pobicie sprawy niedosłego zamachu, wyraźnie w niedomówieniach i aluzjach sugerując współczesnym czytelnikom niewłaściwy pogląd na awanturę 5 stycznia 1919 roku, którą on sam zresztą nazywając zamachem stanu, zaopatruje wyrazy w cudzysłowy.

Pisze pan Romeyko: „Jestem skłonny w dalszym ciągu uważać „zamach stanu” z 5 stycznia 1919 roku za zagadkę nierozwiązalną, przynajmniej dla mnie”... dając jakby do zrozumienia, że autor nie tylko sam ocenia ten zamach poważnie, lecz również zachęca czytelników, by wbrew rzeczywistości, nadawali pospolitej brawadzie cechy dziejowego wydarzenia, otoczonego dla niego i dla niewtajemniczonych nimbem nierozwiązanej zagadki.

Jako świadek i nieomal niedoszły wbrew własnej woli uczestnik tej „zagadki” uważam za wskazane przypomnieć publicznie w jakim politycznym aspekcie wypadło mi z bliska ją obserwować i uświadomić jej pozioł, treść i sens.

4 stycznia pod wieczór odwiedził mnie w Hotelu Europejskim, gdzie w owym czasie mieszkalem, mój dobry znajomy i niezmiernie mi sympatyczny, pan Stefan Podhorski, wydziedziczony przez rosyjską rewolucję wielki obszarnik z Ukrainy. Pan Stefan po paru frazesach wstępnych, zapowiadających dyskrecję, zaproponował w imieniu nieznanej mi grupy osób ni mniej, ni więcej, tylko wejście do nowego Rządu, który od jutra ma powstać w drodze zbrojnego przewrotu i rozpocząć urzędowanie ku chwale Ojczyzny.

Podhorski, niezmiernie dynamiczny i wybuchowy typ kresowca, bardziej zbliżony do Siczowego atamana, niż do polskiego pana, niedawny współtwórca „chliborobowej” hetmańszczyzny generała Skoropadskiego, w Kijowie, jasnie pan starej daty, do tego stopnia był w sobie zadufany, że wszystko co się nie zgadzało z jego społeczno-polityczną opinią odrzucał jako utopię, głupstwo, rewolucję i demagogię, chętnie generalizując i utożsamiając te mgliste pojęcia z modnym, uproszczonym i nie wymagającym kłopotliwego precyzowania, bolszewizmem, lub w najlepszym razie, kryptobolszewizmem.

Nic więc dziwnego, że jako ofiara własnych pasji, był on namiętym przeciwnikiem tego kierunku polityki polskiej, na czele której w owym czasie stał Naczelnik Państwa z Rządem Rzeczypospolitej, czy mądrym, czy niemądrym, lecz legalnym i demokratycznym.

Ponieważ byłem w owym czasie przekonany, że zbrojna walka z rosyjskim bolszewizmem posiada nie tylko sens, lecz i duże szanse powodzenia, a moja aktywność polityczna zwracała na siebie uwagę, Podhorski ignorując całkowicie socjalistyczne i demokratyczne źródła mojej antybolszewickiej inicjatywy, cenił we mnie zdecydowanego przeciwnika rządu Komisarzy Ludowych w Moskwie.

Prócz tego, że nas ze sobą zetknął mój przyjaciel, Władysław Gunther, siostrzeniec pana Stefana, Podhorski żywił dla mnie specjalne ni to kozackie uznanie, ni inteligencki i kontrrewolucyjny podziw za zbrojne i szybkie stłumienie w sierpniu 1917 roku niebezpiecznej i bardzo krwawej rebelii dwu rezerwowych rosyjskich dywizji w Besarabii, gdy byłem Wojennym Komisarzem Rządu Tymczasowego 8 Armii, stacjonującej na Południowym Froncie.

Ponieważ pan Stefanowi w owym czasie wydawało się, zresztą tak jak i wielu innym przedstawicielom polskiej prawicy, że niepokojąco-rewolucyjnej psychozie polskich mas pracujących patronuje radykalizm polskiego Rządu i socjalistyczne nastawienie „piłsudczyzny”, uważał iż „naród Polski” gotów z tym walczyć, że walka z rządem jest patriotycznym obowiązkiem obywateli.

Co miało oznaczać „naród polski” i to „dobro polskie”, tego ani pan Stefan, ani książę Sapieha, ani panowie generałowie, pułkownicy, a zwłaszcza dzielni rotmistrzowie trzech byłych armii zaborczych, na ogół nie bardzo rozumieli, a zapewne i świadomie unikali zbytniego zagłębiania się w obcą dla nich dziedzinę, by nie rozpraszać swojego żywiłowego politycznego dynamizmu przed decydującą chwilą dziejowego czynu.

Rewelacja Podhorskiego przerażała mnie nie tylko jako objaw i dowód warcholstwa, świadczący o poziomie obywatelskiej świadomości i dyscypliny pewnych sfer, poczułem się bardzo zaniepokojony o los mojego sympatycznego znajomego, który upojony brawurą kilku młodych ułanów w salonie i w sali jadalnej Brystolu, zastępujących „polski naród” nie zdawał sobie sprawy z tego, co go czeka w najbliższej perspektywie.

Błagałem go by się wycofał natychmiast z przedsięwzięcia, które jest raczej tragiczną krotoczwilą, niż politycznym dramatem, niepoważną awanturą nie posiadającą żadnych szans powodzenia, która musi się skończyć kompromitacją. Przekonywałem, że zamach wywoła wręcz przeciwnie skutki od zamierzonych, zdemoralizuje masy, obniży w sposób zatruwający zaufanie obywateli do perspektyw przyszłości młodego państwa, da w ręce wszystkich jego przeciwników w kraju i na całym świecie moralny argument deprecjonujący jego wartości, wreszcie spowoduje jak najsmutniejsze konsekwencje osobiste dla inicjatorów i wykonawców tego żałosnego „puczu”.

...., Czy pan zamierza mnie zdradzić i zdemaskować przed władzami” — zapytał pan Stefan w podnieceniu, ledwie łapiąc astmatyczny oddech.

..., Nie mogę i nie potrzebuję łamać słowa, będąc najzupełniej przekonany, że zamierzenia panów nie są żadną tajemnicą dla władz bezpieczeństwa. Proszę mi pozwolić, że w obecności pana przeprowadzę pewną rozmowę, która być może wpłynie na zmianę kierunku myśli pana.

Oddając panu Stefanowi dodatkową słuchawkę połączyłem się z Adiutanturą Generalną.

...tak, Wieniawa...

...tu Aleksander, przepraszam, że cię kłopotę, lecz na mieście się czuje jakieś podnie...

...a tak, tak, oczywiście. Paru panów z Myśliwskiego szykuje na jutro zamach... czy ty też z ni...

...na razie nie... dziękuję, cześć.

K. WĘDZIAGOLSKI



SPROSTOWANIE

Do artykułu prof. Wacława Lednickiego pt. „Aleksander Lednicki (Oszczerstwa i prawda)”, zamieszczonym w 1-szym „Zeszycie Historycznym” wkradły się następujące pomyłki:

Str. 88, wiersz 9 od dołu: jest: „M. Konopczyński” winno zaś być: „M. Bobrzyński, M. Handelsman, K. Waliszewski, a także W. Konopczyński”.

Str. 88, wiersz 6 od dołu: winno być: „Małaków” (nie Makładow).

DO POLSKI WYSYŁAMY

LEKARSTWA , ŻYWNOSĆ, OWOCE, PIENIĄDZE
I INNE ARTYKUŁY.

Z POLSKI IMPORTUJEMY

TOWARY CEPELII, KILIMY, LALKI, CERAMIKĘ

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, Draycott Avenue, London, S.W. 3. tel. Ken 0750

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860.

Wydawca : INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.
Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rana (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b	450 fr. b
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyz, Holon, Sokolow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debiecka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; M. Król, 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y. ; S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ :
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

TOM LXXIV

ADAM CZERNIAWSKI

TOPOGRAFIA WNĘTRZA

POEZJE

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25, 7/6)



TOM LXXV

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVI

CZESŁAW MIŁOSZ

CZŁOWIEK WSRÓD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZozOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)